

**AGATA CHRISTIE**

# **ROSEMARY ZNACZY PAMIĘĆ**

**TLUMACZYŁA AGNIESZKA BIHL**

**KSIEGA PIERWSZA**

**ROSEMARY**

„Co mam uczynić, by przed oczu usunąć wspomnienia?”

Sześcioro ludzi myślało o Rosemary Barton, która zmarła prawie rok temu...

**ROZDZIAŁ PIERWSZY**

**Iris Marie**

Iris Marie myślała o swojej siostrze Rosemary.

Przez niemal rok świadomie próbowała odsunąć od siebie wspomnienia. Nie chciała pamiętać.

Było to zbyt bolesne, zbyt przerażające!

Sina twarz, konwulsyjnie zaciśnięte palce...

Kontrast między tym a wesołą, kochaną Rosemary z poprzedniego dnia... Właściwie nie była wesoła. Miała grypę, czuła się przygnębiona, zmęczona... Wszystko to przypomniano w trakcie śledztwa. Sama Iris położyła nacisk na nastrój siostry. Wyjaśniał samobójstwo Rosemary, prawda?

Kiedy zakończono dochodzenie, Iris usiłowała wyrzucić całą sprawę z pamięci. Co dobrego mogły przynieść wspomnienia? Zapomnieć! Zapomnieć o tym okropnym wydarzeniu!

Lecz teraz uświadomiła sobie, że musi pamiętać. Musi cofnąć się myślami w przeszłość... Przypomnieć sobie dokładnie wszystkie pozornie nieważne szczegóły...

Wymagała tego wczorajsza, niezwykła rozmowa z George'em.

Była tak niespodziewana i okropna. Chociaż... czy niespodziewana? Czy nie było wcześniej żadnych oznak?

George - coraz bardziej pochłonięty sobą, roztargniony, zachowujący się bez sensu i, nie da się tego określić" inaczej: dziwacznie! Wszystko to prowadziło do tamtej chwili wczoraj wieczorem, kiedy to wezwał ją do gabinetu i z szuflady biurka wyciągnął listy.

Teraz nie można już było od tego uciec. Musiała pomyśleć o Rosemary i przypomnieć sobie...

Rosemary - jej siostra...

Iris uświadomiła sobie raptownie, wstrząśnięta, że po raz pierwszy w życiu pomyślała o Rosemary. To znaczy o niej jako o człowieku.

Zawsze akceptowała siostrę, nie myśląc o niej. Przecież nikt nie myśli o swojej matce, ojcu, rodzeństwie, ciotkach. Są związani pokrewieństwem, i to wszystko.

Nie myśli się o nich jak o odrębnych ludziach. Nie roztrząsa się ich osobowości.

Jaka była Rosemary?

Odpowiedź mogła okazać się niezmiernie ważna. Być może wiele od niej zależało. Iris cofnęła się pamięcią w przeszłość. Ona i Rosemary w dzieciństwie...

Rosemary była o sześć lat starsza.

Wróciły do niej wspomnienia z przeszłości: krótkie przebliski dawnych wydarzeń, scenki z tamtych lat. Mała Iris je chleb i mleko, a Rosemary, bardzo ważna, uczesana w kucyki, odrabia przy stole lekcje.

Lato nad morzem. Iris zazdrości Rosemary, która jest „dużą dziewczynką” i potrafi pływać!

Rosemary jedzie do szkoły z internatem i wraca do domu na wakacje. Iris chodzi do szkoły, a Rosemary „kończy edukację” w Paryżu. Uczennica Rosemary: niezgrabna, same ręce i nogi. Rosemary po zakończeniu „edukacji” w Paryżu: obca, trochę przerażająco elegancka, mówiąca z miękkim akcentem, pełna wdzięku, poruszająca się roztańczonym krokiem postać o rudawo-

orzechowych włosach i wielkich, ciemnoniebieskich oczach okolonych czarnymi firankami rzęs. Denerwująco piękna istota, wyrosła w zupełnie innym świecie.

Od tamtej pory rzadko się widziały, a sześćioletnia różnica wieku nigdy nie wydawała się większa.

Iris jeszcze uczyła się w szkole, a Rosemary tańczyła na balach. Nawet kiedy Iris wróciła do domu, nie zmniejszyła się dzieląc je przepaść. Rosemary spędzała poranki w łóżku, jadła lunch z innymi debutantkami i tańczyła niemal każdego wieczoru. Iris siedziała w pokoju szkolnym z mademoiselle chodziła na spacer do parku, jadła kolację o dziewiątej i o dziesiątej była w łóżku. Rozmowy siostr ograniczały się do krótkiej wymiany zdań:

- Cześć, Iris. zadzwoń po taksówkę dla mnie. Ależ z ciebie ciele, okropnie się spóźnię.

Albo:

- Rosemary, nie podoba mi się ta nowa sukienka. Wcale ci nie pasuje: same koronki i falbanki.

Potem Rosemary zaręczyła się z George’em Barto-nem.

Podniecenie, zakupy, strumień paczek, sukienki druchen.

ślub. Idąc wzdłuż nawy za Rosemary, Iris słyszy szepty:

- Jaka z niej piękna panna młoda...

Dlaczego Rosemary wyszła za George’a? Już wtedy Iris była dość zaskoczona. Tylu ekscytujących młodych ludzi dzwoniło do Rosemary, zabierało ją na randki. Dlaczego wybrała George’a Bartona, człowieka starszego o piętnaście lat, życzliwego, miłego, ale zdecydowanie nudnego?

George był zamożny, jednak nie chodziło o pieniądze. Rosemary miała własny, okazały majątek.

Pieniądze wuja Paula...

Iris przywołała wspomnienia, starając się oddzielić to, co wiedziała dziś, od tego, co wiedziała wtedy. Na przykład wuj Paul.

Nie był ich prawdziwym wujem, to wiedziała od zawsze. Chód o pewnych rzeczach nigdy im jasno nie mówiono, znała kilka faktów. Paul Bennet zakochał się w ich matce. Ona jednak wołała innego, biedniejszego mężczyznę. Paul przyjął porażkę bardzo romantycznie. Pozostał przyjacielem rodziny, pełnym sentymentalnego, platonicznego przywiązania. Stał się wujem Paulcm. Był ojcem chrzestnym pierworodnej Rosemary. Po jego śmierci okazało się, że całą swoją fortunę pozostawił chrzestnej córeczce, która miała wówczas trzynaście lat.

Rosemary była nie tylko pięknością, ale i dziedziczką. A poślubiła miłego, nudnego George'a Bartona.

Dlaczego? Wówczas zastanawiało to Iris. Dziwiła się i teraz. Nie wierzyła, że Rosemary kiedykolwiek go kochała. Lecz wyglądała na szczęśliwą z Gcorge'em i bardzo go lubiła. Tak, rzeczywiście tak było. Iris miała okazje to sprawdzić, gdyż w rok po ślubie Rosemary zmarła ich matka - śliczna, delikatna Yiola Marie, a Iris zamieszkała razem z Rosemary Barton i jej mężem.

Miała wtedy siedemnaście lat. Iris zadumała się nad odległym wspomnieniem. Jaka wówczas była? Co czuła, myślała, co widziała?

Doszła do wniosku, że młoda Iris Marie rozwijała się wolno. Nie rozmyślała, brała rzeczy takimi, jakimi są. Czy gniewała ją na przykład miłość matki do Rosemary? W sumie chyba nie. Za oczywiste uznała, że Rosemary jest ważniejsza. Rosemary należało wprowadzić do towarzystwa, więc matka musiała zająć się starszą córką, na ile tylko pozwalało jej zdrowie. To było całkiem naturalne. Pewnego dnia miała nadejść

kolej Ins. Yiola Marie nie była zbyt troskliwą matką, przejęta głównie własnym zdrowiem. Oddawała dzieci niańkom, guwernatkom, szkolnym wychowawcom, choć zawsze była dla nich czarująca w tych krótkich chwilach, kiedy je widziała. Hcctor Marie zmarł, kiedy Iris miała pięć lat. Informację, że ojciec zbyt dużo pił, przekazano jej tak subtelnie, że nie pamiętała nawet, skąd o tym wie.

Siedemnastoletnia Iris Marie przyjmowała życie po prostu; okazała stosowną żalobę po śmierci matki, zaczęła nosić czarne stroje i zamieszkała z siostrą i jej mężem w ich domu na Elvaston Square.

Czasami bywało lam nudno. Iris miała oficjalnie zadebiutować dopiero w następnym roku. Tymczasem trzy razy w tygodniu uczyła się francuskiego i niemieckiego oraz przedmiotów ścisłych. Zdarzało się, że nie miała co robić ani z kim porozmawiać. Gcorge był miły, zawsze pełen przyjaznych i braterskich uczuć. Nigdy się nie zmieniał. Nawet dzisiaj.

A Rosemary? Iris rzadko ją widywała. Rosemary często wychodziła: do krawcowej, na przyjęcia koktajlowe, brydza...

Jeśli się nad tym zastanowić, co naprawdę wiedziała o Rosemary? O jej upodobaniach, nadziejach, obawach? To przerażające, jak niewiele wie się o ludziach, z którymi się mieszka. Sióstr nie łączyły zbyt zażyłe stosunki.

Lecz teraz musiała zacząć myśleć. Musiała sobie przypomnieć. To mogło być ważne.

Na pewno Rosemary wyglądała na zupełnie szczęśliwą...

Aż do tamtego dnia, na tydzień przed tragedią,

Iris nigdy nie zapomni tamtego dnia. Wciąż Irwał przed nią wyraźny jak kryształ; każdy szczegół, każde

słowo. Lśniący mahoniowy stół, odsunięte krzesło, charakterystyczne, pośpieszne pismo...

Iris zamknęła oczy i przywołała tamto zdarzenie...

Weszła do saloniku Rosemary i zatrzymała się raptownie.

Zaskoczyło ją to, co ujrzała. Rosemary siedziała za biurkiem z głową złożoną na wyciągniętych ramionach. Szlochała głośno, bez reszty poddając się rozpacz. Iris nigdy nie widziała Rosemary w łzach i ten przeraźliwy, gwałtowny płacz przeraził ją.

To prawda, że przeszła ciężką gripę. Wstała zaledwie dzień czy dwa wcześniej. Każdy wie, że grypa wprawia w przygnębienie. A jednak... Iris wykrzyknęła dziecinnie, zaskoczona; - Och, Rosemary, co się stało?

Rosemary wyprostowała się, odsunęła włosy ze zmienionej twarzy. Starła się opanować. Powiedziała szybko:

- Nic, nic. Nie patrz tak na mnie!

Wstała i mijając siostrę, wybiegła na korytarz.

Zdezorientowana, wystraszona Iris podeszła do biurka. Jej wzrok powędrował ku leżącej na nim kartce niebieskiego papieru, pokrytej charakterystycznym pismem: duże litery były jeszcze mniej wyraźne niż zwykle w wyniku pośpiechu i wzruszenia, które wiodły trzymającą pióro dłoń. Dostrzegła swoje własne imię skreślone ręką siostry. Czy Rosemary pisała do niej?

Najdroższa Iris,

Nie ma sensu, bym pisała testament, ponieważ moje pieniądze i tak przypadną tobie. Chciałabym jednak, by niektóre 2 moich rzeczy trafiły do konkretnych osób.

Dla George'a przeznaczam biżuterię, którą mi dał oraz emaliowaną szkatułkę kupioną w okresie naszego narzecze listwa.

Dla Glorii King - moją platynową papierośnicę. Dla Maisie - konia z chińskiego fajansu, którym się zawsze zachwycała.

List urywał się na postawionej w rozpaczy kresce; w tym miejscu Rosemary musiała odrzucić pióro i oddać się bezgranicznej rozpaczy.

Iris stała jak zaklęta w kamień.

Co to miało znaczyć? Przecież Rosemary nie zamierzała umrzeć? Była bardzo chora, ale teraz już wyzdrowiała. Zresztą i tak ludzie nie umierają na grypę; może czasem, ale nie Rosemary. Czując się całkiem dobrze, była tylko słaba i wyczerpana.

Iris powtórnie przebiegła wzrokiem treść listu i tym razem z zaskoczeniem zwróciła uwagę na zdanie: „...moje pieniądze i tak przypadną tobie...”

Po raz pierwszy zetknęła się z warunkami testamentu Paula Bennetta. Od dzieciństwa wiedziała, że Rosemary odziedziczyła pieniądze wuja Paula, że była bogata, podczas gdy ona, Iris, pozostała stosunkowo biedna. Lecz aż do tej chwili nigdy nie zastanawiała się, co stanie się z pieniędzmi po śmierci siostry.

Zapytana odparłaby, że przypadną George'owi jako mężowi Rosemary i dodała, iż wydaje się absurdalne, żeby Rosemary miała umrzeć przed George'em!

Lecz miała to przed sobą, spisane czarno na białym, własnoręcznie przez Rosemary. Po jej śmierci pieniądze dziedziczy Iris. Ale to chyba nie mogło być legalne? Majątek przypada przecież mężowi lub żonie, a nie siostrze. Chyba że Paul Bennett zdecydował tak w swoim testamencie. Pewnie tak się stało. Wuj Paul postanowił, że jeśli Rosemary umrze, pieniądze przejdą na Iris. To czyniło testament trochę mniej niesprawiedliwym... Niesprawiedliwym? Zaskoczyło ją słowo, które wkradło się w jej myśli. Czyżby uważała, że to niesprawiedliwe, iż Rosemary dostała wszystkie pieniądze wuja Paula? Najprawdopodobniej głęboko w sercu tak właśnie uważała. To naprawdę było niesprawiedliwe. Ona i Rosemary były siostrami. Dziećmi tej samej matki. Dlaczego wuj Paul zostawił wszystko Rosemary?

Ona zawsze miała wszystko!

Przyjęcia, suknie, zakochanych młodych mężczyzn, uwielbiającego ją męża.

Jedyną niemiią rzeczą, jaka się jej przytrafiła, była grypa! I nawet to nie trwało dłużej niż tydzień!

Iris wahała się, nie odchodząc od biurka. Ta kartka. Rosemary chyba nie chciałaby, żeby znalazła ją służba?

Po minucie rozważań wzięła list, złożyła na pół i wsunęła do jednej z szuflad biurka.

Znaleziono go tam po tragicznym przyjęciu. List stał się kolejnym dowodem - jeśli jakiegos jeszcze potrzebowano - że Rosemary była przygnębiona i nieszczęśliwa po chorobie i

prawdopodobnie już wtedy myślała o samobójstwie.

Depresja po przebytej grypie. Ten motyw wysunięto w trakcie śledztwa, a Iris pomogła go potwierdzić. Nie było to może właściwe wyjaśnienie, ale tylko takie istniało i ostatecznie zostało przyjęte. Tamtego roku szalał bardzo groźny wirus grypy.

Wtedy ani Iris, ani George Barton nie potrafili podsunąć policji żadnego innego motywu.

Teraz, wspominając incydent na strychu, Iris dziwiła się, że mogła być aż tak ślepa.

Wszystko działo się tuż przed jej oczyma! A ona nic nie zauważyła, niczego nie dostrzegła!

Ominęła pośpiesznie tragedię, do jakiej doszło podczas przyjęcia urodzinowego. Nie ma sensu tego wspominać. Co było, minęło. Zapomnij o tym koszmarze,

o dochodzeniu, o skurczonej w bólu twarzy George'a, jego zaczerwienionych oczach. Przejdź od razu do skrzyni na strychu.

Wydarzyło się to jakieś sześć miesięcy po śmierci Rosemary.

Iris nadal mieszkała w domu przy Elvaston Square. Po pogrzebie rozmawiał z nią prawnik rodziny Marie, szarmancki starszy dżentelmen z lśniąco łysiną i zaskakująco przenikliwym wzrokiem. Z godną podziwu klarownością wyilumaczył dziewczynie, że zgodnie z ostatnią wolą Paula Bennetta Rosemary odziedziczyła jego majątek z zastrzeżeniem, iż po śmierci przekaze go swojemu dziecku. Gdyby zmarła bezdzietnie, cały spadek przechodził na Iris. Prawnika wyjaśnił, że jest to ogromna fortuna, którą odziedziczy w dniu ukończenia dwudziestu jeden lat lub w dniu ślubu.

Tymczasem pierwszą rzeczą, jaką należało ustalić, było miejsce jej pobytu. Pan George Barton z ochotą zaofiarował jej dalszą gościnę i zaproponował, by siostra jej ojca, pani Drake, doprowadzona do ubóstwa finansowymi żądaniami syna (czarnej owcy w rodzinie Mar-le'ów), zamieszkała wraz z nimi i wprowadziła Iris do towarzystwa. Czy Iris akceptuje ten plan?

Iris zaakceptowała go z radością, wdzięczna, że nie zmuszają jej do podejmowania decyzji. Pamiętała ciotkę Lucillę jako sympatyczną kurę domową pozbawioną własnej woli.

Tak więc sprawę ustalono. George Barton był wprost wzruszająco zadowolony, że szwagierka pozostanie przy nim; traktował ją z uczuciem brata wobec młodszej siostry. Pani Drake, chociaż nie była ekscytującą towarzyszką, całkowicie ulegała życzeniom Iris. Mieszkańcy domu żyli w zgodzie.

Prawie pół roku później Lis dokonała odkrycia na strychu.

W domu przy Elvaston Square poddasze przeznaczono na skład starych mebli, skrzyń i waliz.

Iris zawędrowała na górę pewnego dnia po nieudanych poszukiwaniach ulubionego czerwonego swetra. George poprosił ją, by nie nosiła żałoby po siostrze. Wyjaśnił, że Rosemary była temu zawsze przeciwna. Iris wiedziała, że to prawda, więc zgodziła się i ubierała się tak jak przedtem, ku lekkiej dezaprobach Lucilli Drake, która była staromodna i, jak mawiała, ceniła sobie

przestrzeganie „zasad przyzwoitości”. Sama pani Drake wciąż nosiła krepę po mężu zmarłym dwadzieścia parę lat wcześniej.

- Iris wiedziała, że stare ubrania pakowano do skrzyni na strychu. Zaczęła przekopywać ją w poszukiwaniu swojego swetra i przy okazji natrafiła na dawno zapomniane stroje: szary żakiet i spódnicę, stos pończoch, swój strój narciarski i ze dwa stroje kąpielowe.

Wtedy też znalazła stary szlafrok, który należał do Rosemary; najwidoczniej zapomniano oddać go wraz z resztą jej rzeczy. Był to męski szlafrok z cetkowanego jedwabiu, z dużymi kieszeniami.

Iris strzepnęła go i stwierdziła, że jest w świetnym stanie. Potem złożyła go ostrożnie i odłożyła z powrotem do skrzyni. Czyniąc to wyczuła coś szeleszczącego w kieszeni. Włożyła do środka rękę i wyjęła pogniecioną kartkę, pokrytą pismem Rosemary. Iris wygładziła ją i zaczęła czytać.

Mój kochany Tygrysku, chyba tak nie myślisz... Nic możesz...

Kochamy się przecież! Należymy do siebie! Musisz o tym wiedzieć tak, jak ja o tym wiem. Nie możemy powiedzieć sobie „do widzenia” i żyć spokojnie dalej. Wiesz, kochany, że to niemożliwe. Zupełnie niemożliwe. Należymy do siebie. Na zawsze. Nie obchodzą mnie konwenanse ani to, co mówią ludzie. Miłość znaczy dla mnie więcej niż wszystko. Wyjedziemy razem i będziemy szczęśliwi. Ja uczynię Cię szczęśliwym. Powiedziałeś mi kiedyś, że beze mnie świat zmieniłby się w zgliszcza. Czy pamiętasz, kochany? A teraz piszesz spokojnie, że lepiej to zakończyć, że tak będzie w porządku wobec mnie. Wobec mnie? Ależ ja nie potrafię tyć bez Ciebie. Żal mi George’a, zawsze był dla mnie taki słodki - ale on zrozumie. Zwróci mi wolność. To nie jest w porządku: mieszkać razem, kiedy nie ma już miłości. Bóg przeznaczył nas sobie, mój najdroższy. Wiem, że On tak chciał. Będziemy bardzo szczęśliwi, ale musimy zdobyć się na odwagę. Sama powiem George’owi. Chcę wszystko wyjaśnić, ale dopiero po moich urodzinach.

Wiem, że postępuję słusznie, najdroższy Tygrysku. Nie potrafię żyć bez Ciebie. Nie potrafię. NIE MOGĘ. Głupio z mojej strony, że tyle piszę. Wystarczyłyby dwie linijki. Po prostu: Kocham Cię. Nigdy nie pozwolę Ci odejść. Och, mój kochany

Tu list się urywał.

Iris stała bez ruchu, wpatrzona w kartkę.

Jak słabo znała własną siostrę!

Tak więc Rosemary miała kochanka, pisała do niego namiętne listy miłosne, zamierzała z nim uciec!

Co się stało? Nie wysłała tego listu. Czy wysłała inny? Co ostatecznie postanowiła wraz z tym nieznanym mężczyzną?

(„Tygrysek”! Co za głupstwa wymyślają zakochani. To takie dziecinne. Wyobrażam sobie tego Tygryską!)



Kim on był? Czy kochał Rosemary równie mocno, jak ona jego? Na pewno. Rosemary była nieprawdopodobnie śliczna. A jednak, jak wynikało z listu, proponował, by to „zakończyć”. Świadczyło to... o czym właściwie? O ostrożności? Wyraźnie stwierdził, że zrywa dla dobra Rosemary. Że tylko taka decyzja będzie w porządku wobec niej. No tak, ale czy mężczyźni nie mówią tego, by zachować twarz? Czy w rzeczywistości nie znaczyło to, że kimkolwiek był tajemniczy mężczyzna, znudził mu się ich związek? Może dla niego była to przelotna miłostka. Może nigdy naprawdę nie zależało mu na Rosemary. Iris miała wrażenie, że nieznajomy był zdecydowany za wszelką cenę zerwać z jej siostrą...

Lecz Rosemary tak nie uważała. Nie zamierzała brać pod uwagę ceny, jaką przyjdzie jej zapłacić za tę namiętność. Rosemary postanowiła, że...

Iris zadrzała.

A ona, Iris, nie miała o tym pojęcia! Nic nie podejrzewała! Uznała za pewnik, że Rosemary jest szczęśliwa i zadowolona, że dobrze jej z George’em. Ślepa! Musiała być ślepa, żeby nie dostrzec, co się dzieje z jej siostrą.

Lecz kim był ten mężczyzna?

Cofnęła się pamięcią wstecz, zastanawiając się, przywołując wspomnienia. Wokół Rosemary kręciło się tylu mężczyzn: podziwiali ją, zapraszali na randki, wydzwaniali do niej. Nie było nikogo szczególnego. Tyle że musiał być, a cała reszta stanowiła tylko kamuflaż dla tego jedyne, który się liczył. Iris zmarszczyła w skupieniu czoło. Co pamiętała z tamtych dni?

Przypomniała sobie dwa nazwiska. Musiało chodzić o któregoś z tych dwóch mężczyzn. Stephen Faraday?

Na pewno. Co Rosemary w nim widziała? Sztywny, pompatyczny młodzieniec, właściwie nawet nie tak bardzo miody. Mówiono oczywiście, że jest błyskotliwy. Polityk, który robi karierę; przepowiadano, że zostanie podsekretarzem. Miał powiązania z Kidderminsterem. Przypuszczalnie kolejnym premierem! Czy to dodało mu blasku w oczach Rosemary? Bo na pewno nie mogło jej tak szalenie zależeć na nim samym - zimnym, pełnym rezerwy człowieku? Lecz mówiono, że jego żona kochała go namiętnie, że sprzeciwiła się swojej potężnej rodzinie, by go poślubić - nic nie znaczącego młodzieńca o politycznych ambicjach! Jeśli jedna kobieta była w nim tak zakochana, mogło się to przydarzyć i drugiej. Tak, na pewno chodzi o Stephena Farradaya.

Ponieważ jeśli nie o niego, to o Anthony’ego Browne’a.

A Iris nie chciała, by to był on.

To prawda, że zachowywał się jak niewolnik Rosemary: zawsze na jej zawołanie. Jego ciemna, przystojna twarz wyrażała pełną humoru desperację. Lecz przecież swoje przywiązanie okazywał zbyt otwarcie, by mógł je traktować poważnie?

Dziwne, że zniknął zaraz po śmierci Rosemary. Nie widziano go nigdy więcej.

Choć nie powinno to aż tak dziwić, przecież sporo podróżował. Mówił o Argentynie, Kanadzie, Ugandzie, Ameryce. Iris przypuszczała, że sam był Amerykaninem lub Kanadyjczykiem, choć nie miał obcego akcentu. Nie, nie powinna się dziwić, że nie zobaczyła go nigdy więcej.

To Rosemary była jego przyjaciółką. Nie miał powodu, by nadal ich odwiedzać. Był przyjacielem Rosemary. Ale nie jej kochankiem! Nie chciała, by okazał się jej kochankiem. To by ją zraniło, i to bardzo...

19

Zerknęła na trzymany w dłoni list. Zmięta go. Wyrzuci go, spali...

Powstrzymał ją instynkt.

Pewnego dnia ten list może stać się ważny...

Wygladziła kartkę, wzięła ze sobą i zamknęła w swojej szkatułce na klejnoty.

Pewnego dnia dzięki niemu będzie można udowodnić, dlaczego Rosemary odebrała sobie życie.

III

- I co jeszcze?

Ten śmieszny zwrot nieoczekiwanie przyszedł Iris do głowy i zmusił do wykrzywienia ust w sztucznym uśmiechu. Pytanie, jakie bez namysłu zadaje sprzedawca, dokładnie oddawało tok jej myśli.

Czy nie to właśnie próbowała zrobić, podsumowując przeszłość? Rozprawiała się już ze zdumiewającym odkryciem na strychu. A teraz - co jeszcze? Co jeszcze było ważne?

Na pewno coraz bardziej osobliwe zachowanie Geor-ge'a. Zaczęło się dawno. W świetle zdumiewającej rozmowy przeprowadzonej wczorajszego wieczoru jasne stały się drobne rzeczy, które ją dotąd dziwiły. Nie mające pozornie ze sobą związku uwagi i gesty ułożyły się w spójną całość.

Powrócił Anthony Browne. Tak, być może tym powinna się teraz zająć, gdyż stało się to zaledwie w tydzień po znalezieniu listu.

Iris nie potrafiła dokładnie przypomnieć sobie własnych odczuć...

20

Rosemary zmarła w listopadzie. W maju następnego roku Iris pod skrzydłami Lucilli Drake rozpoczęła życie towarzyskie. Chodziła na lunche, herbatki i tańce, choć nie bawiły jej zbyt. Była zubożniała i niezadowolona. Na raczej nudnej zabawie pod koniec czerwca usłyszała czyjś głos za plecami:

- Przecież to Iris Marie, prawda?

Odwróciła się zarumieniona i spojrzała wprost w ciemną, kpiącą twarz Anthony'ego. Tony'ego. Powiedział:

- Pewnie mnie nie pamiętasz, ale... Przerwała mu:

- Ależ pamiętam ci?. Oczywiście, że pamiętam!

- Świetnie. Bałem się, że zapomniałaś. Ostatni raz widziałem ci? tak dawno temu,

- Wiem. Na przyjęciu urodzinowym Rosę... Urwała. Słowa przyszły na jej usta tak radośnie,

bezmyślnie. Zbladła nagle, jej policzki stały się niemal przezroczyste, bezkrwiste, wargi zdrząły, w oczach odmalowało się przerażenie.

Anthony powiedział szybko:

- Bardzo cię przepraszam. Zachowuję się jak ostatni cham, przypominając ci o tym.

Iris przełknęła ślinę i odezwała się:

- Wszystko w porządku.

(Ale nic nie było w porządku od urodzinowego przyjęcia Rosemary. Od czasu jej samobójstwa. Nie będzie o tym myśleć. Nie chce o tym pamiętać!)

Anthony mówił dalej:

- Strasznie mi przykro. Proszę, wybacz mi. Zatańczymy?

Skinęła głową. Choć poproszono ją wcześniej do tańca, który się właśnie zaczynał, popłynęła po parkiecie w jego ramionach. Dostrzegła swego partnera - zaczer-

21

wionego, niedojrzałego chłopca w za dużym kołnierzyku, szukającego jej wzrokiem. Z takimi tancerzami muszą zadawać się debiutantki - pomyślała z pogardą. W niczym nie przypomina przyjaciela Rosemary,

Jej serce zabiło gwałtowniej. Przyjaciel Rosemary. List. Czy napisano go do mężczyzny, z którym tańczyła? Coś w miękkim, kocim wdzięku, z jakim tańczył, nadawało sensu przezwisku

„Tygrysek”. Czy on i Rosemary...?

Odezwała się ostrym tonem:

- Gdzie byłeś przez cały ten czas?

Odsunął ją nieco od siebie i spojrzał w dół na jej twarz. Nie uśmiechał się, a jego głos zabrzmiał chłodno. - Podróżowałem. W interesach.

- Rozumiem - i bez namysłu ciągnęła dalej: - Dlaczego wróciłeś?

Na to uśmiechnął się i odpowiedział lekkim tonem:

- Być może, by zobaczyć ciebie, Iris Marie.

Nagle objął ją mocniej i okręcił z cudownym wyczuciem rytmu, prowadząc śmiało między tancerzami. Z uczuciem niemal niezmaconej przyjemności Iris zdziwiła się, że czegoś się obawiała.

Od tamtej pory Anthony stał się częścią jej życia. Widziała go co najmniej raz w tygodniu.

Spotykała go w parku, na tańcach, odkrywała, że siedzi obok niej na obiedzie.

Jedynym miejscem, w którym nigdy się nie zjawił, był dom przy Elvaston Square. Zauważyła to dopiero po jakimś czasie - tak zręcznie unikał i odmawiał przyjęcia zaproszenia. Kiedy to sobie uświadomiła, zaczęła zastanawiać się, dlaczego. Czy dlatego, że on i Rosemary...

Potem, ku jej zdumieniu, napomknął o nim George - wyrozumiały, nie wtrącający się do niczego George.

- Co to za facet, ten Anthony Browne, z którym się zadajesz? Co o nim wiesz?

Spojrzała na niego.

- Co o nim wiem? Przecież był przyjacielem Rose-mary!

Twarz George'a skurczyła się w grymasie bólu. Zamrugał oczami i powiedział posępnym, stłumionym tonem:

- Rzeczywiście.

Iris wykrzyknęła skruszona:

- Tak mi przykro! Nie powinnam ci o tym przypominać.

Lecz George potrząsnął głową i rzekł łagodnie:

- Nie, nie. Nic chce o niej zapomnieć. Nigdy. Zresztą to właśnie znaczy jej imię: pamięć - mówił z trudem, odwróciwszy wzrok. Spojrzał na Iris. - Nie chcę, byś zapomniała o swojej siostrze.

Dziewczyna odetchnęła gwałtownie.

- Nigdy o niej nie zapomnę. George ciągnął dalej:

- Chodzi mi o tego młodego człowieka, Anthony'ego Browne'a. Być może Rosemary go lubiła, ale nie mogła wiele o nim wiedzieć. Musisz być ostrożna, Iris. Jesteś bardzo bogatą młodą kobietą.

Poczula raptowny gniew.

- Tony... Anthony ma mnóstwo pieniędzy. Kiedy jest w Londynie, zatrzymuje się w hotelu „ClaridgeY\*!

George Barton uśmiechnął się lekko i powiedział cicho:

- Godne szacunku i równie kosztowne. Mimo to, moja droga, nikt nie zna tego człowieka dobrze.

- Jest Amerykaninem.

- Możliwe. Jeśli tak, dziwne, że jego ambasada nic wspiera go bardziej. Nieczęsto tu zachodzi, prawda?

- Tak. I rozumiem dlaczego, jeśli tak bardzo go nie lubisz!

George potrząsnął głową.

- Chyba wtrącam się w nie swoje sprawy. No dobrze. Chciałem tylko w porę cię uprzedzić. Zamienię słówko z Lucillą..

- Z Lucillą! - wykrzyknęła Iris pogardliwie. George spytał z napięciem:

- Czy wszystko w porządku? To znaczy, czy Lucillą pilnuje, byś miała swoje rozrywki? Przyjęcia i tym podobne?;; - Tak, stara się i pracuje nad tym jak wół...

- Bo jeśli nie, wystarczy, że mi powiesz. Możemy znaleźć kogoś innego. Młodszego i bardziej nowoczesnego. Chcę, żebyś się dobrze bawiła,

- Ależ dobrze się bawię, George. Naprawdę. Powiedział dość ponurym tonem:

- W takim razie wszystko w porządku. Ze mnie nie ma zbyt wielkiego pożytku pod tym względem, zresztą nigdy nic było. Ale ty powinnaś otrzymać wszystko, czego chcesz. Nie musimy oszczędzać.

To był właśnie cały George: życzliwy, niezręczny, ciągle popełniający gafy.

Zgodnie ze swoją obietnicą lub groźbą „zamienił słówko" t panią Drake na temat Anthony'ego Browne'a, lecz zrządzeniem Opatrzności chwila nie była odpowiednia do tego, by przyciągnął uwagę

Lucilli.

Właśnie otrzymała telegram od znajdującego się ciągle w opałach syna. Był jej oczkiem w głowic i aż za dobrze wiedział, jak pociągać za struny matczynej miłości, by osiągnąć korzyści finansowe,

„Czy możesz wysłać dwieście funtów. Zdesperowany. Sprawa życia lub śmierci. Victor.”

- Victor jest taki szlachetny. Wie, że jestem w ciężkiej sytuacji i prosi mnie o pomoc tylko w ostateczności. Zawsze tak było. Boję się, że kiedyś się zastrzeli.

- Nie on - stwierdził obojętnie George.

- Nie znasz go. Jestem jego matką i wiem, jaki jest mój własny syn. Nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie zrobiła tego, o co prosi. Mogłabym sprzedać moje obligacje.

George westchnął.

- Posłuchaj, Lucillo. Dowiem się wszystkiego telegraficznie przez moich tamtejszych współpracowników. Sprawdzimy, w jakie kłopoty wpakował się Victor. Lecz radzę ci, żebyś pozwoliła mu wypić piwo, którego nawarzył. Nigdy nie poprawi się, dopóki mu będziesz pomagać.

- Jesteś bezwzględny, George. Biedny chłopiec zawsze miał pecha...

George powstrzymał się przed wypowiedzeniem swojego zdania w tej sprawie. Nie ma sensu dyskutować z kobietami.

Powiedział tylko:

- Każę Ruth natychmiast się tym zająć. Do jutra będziemy wszystko wiedzieć.

To częściowo uspokoiło panią Drake. Dwieście funtów obcięto w końcu do pięćdziesięciu. Lucilla uparła się, by choć taką sumę wysłać.

Iris wiedziała, że George sam dostarczył tę sumę, choć udawał, że sprzedał obligacje Lucilli. Iris podziwiała szwagra za hojność i powiedziała mu o tym. Jego odpowiedź była prosta.

- Ja patrzę na to tak: w każdej rodzinie jest jakaś czarna owca. Ktoś, komu trzeba pomagać. Ktoś będzie musiał płacić długi Victora, póki nie umrze.

- Ale to nie musisz być ty. On nie należy do twojej rodziny.

- Rodzina Rosemary jest moją rodziną.

- Jesteś kochany. Ale może ja mogłabym to robić? Zawsze mi powtarzasz, że opływam w bogactwa.

Uśmiechnął się do niej.

- W tej sprawie nie możesz nic zrobić, dopóki nie skończysz dwudziestu jeden lat, młoda damo. A jeśli będziesz mądra, nie dasz mu grosza nawet wtedy. Zdradzę ci jedno. Kiedy ktoś telegrafuje, że skończy ze sobą, jeśli nie dostanie kilkuset funtów, odkrywasz zwykle, że dwadzieścia będzie aż nadto... Starczy nawet dziesięć! Nie powstrzymasz matki przed płaceniem długów syna, ale możesz przynajmniej zmniejszyć sumę. Pamiętaj

o tym. Oczywiście Victor Drake nigdy z e sobą nie skończy. Nie on! Ludzie, którzy grożą samobójstwem, nigdy go nie popełnią.

Nigdy? Iris pomyślała o Rosemary. Potem odepchnęła od siebie tę myśl. George nie mówił o Rosemary. Miał na myśli pozbawionego skrupułów, obłudnego młodzieńca L Rio de Janeiro.

Iris skorzystała na tym, gdyż pochłonięta matczynymi troskami Lucilla nic mogła poświęcić należytej uwagi przyjaźni, jaka łączyła jej podopieczną z Anthonyem Browne'em.

Tak więc „Co jeszcze, proszę pani?” Zmiana, jaka zaszła w George'ut Iris nie mogła odkładać dłużej tej sprawy. Jaki był początek? I jaka przyczyna?

Nawet teraz, cofając się pamięcią wstecz, Iris nie potrafiła wskazać chwili, w której się to zaczęło. Od śmierci Rosemary George był roztargniony, przestawał słuchać i popadał w zamyślenie. Wydawał się starszy

i bardziej ociężały. Właściwie było to dość naturalne. Lecz w którym momencie jego roztargnienie stało się czymś więcej ponad to, czego należało oczekiwać?

Po sprzeczce o Anthony'ego Browne'a zauważyła po raz pierwszy, że George patrzy na nią półprzytomnie, z zakłopotaniem. Potem nabrał zwyczaju wracania z pracy wcześniej i zamykania się w swoim gabinecie.

Najwyraźniej nic tam nie robił. Kiedy weszła raz do środka, siedział za biurkiem i patrzył przed siebie. Spojrzał na nią przygasłym wzrokiem. Zachowywał się jak człowiek w szoku, lecz na pytanie, co się stało, odparł krótko:

- Nic.

Wraz z upływem dni wydawał się coraz bardziej zatroskany, jakby trapiło go konkretne zmartwienie.

Nikt nie zwrócił na to uwagi. Na pewno nie Iris. Kłopoty, dogodnie dla niej, zawsze dotyczyły „interesów”.

Potem w nierównych odstępach czasu i bez widocznych powodów George zaczął zadawać jej pytania. Wtedy właśnie uznała jego zachowanie za „dziwaczną”.

- Słuchaj, Iris, czy Rosemary często z tobą rozmawiała?

Iris spojrzała na niego.

- Oczywiście. Ale o czym?

- No... o sobie, o znajomych, o tym, jak się jej wiedzie. Czy jest szczęśliwa.

Przypuszczała, że wie, o co mu chodzi. Musiał dowiedzieć się o romansie żony. Powiedziała wolno:

- Nigdy nie mówiła za wiele. Zawsze była czymś zajęta.

- A ty byłeś tylko dzieckiem. Rozumiem. A jednak pomyślałem, że mogła ci o czymś powiedzieć.

Spojrzał na nią pytająco, trochę jak pełen nadziei pies. Nie chciała zranić George'a. Zresztą Rosemary nigdy niczego nie powiedziała. Potrząsnęła przecząco głową. George westchnął. Odezwał się posępnie:

- Och, to i tak nie ma znaczenia.

Innego dnia zapytał ją nagle o nazwiska przyjaciółek Rosemary.

Iris zastanowiła się.

- - Gloria King. Pani Atwell... Maisie Atwell, Jean Raymond.

- Jak bardzo była z nimi zaprzyjaźniona?

- Właściwie nie wiem.

„ - Czy według ciebie mogła się którejś zwierzać?

- Naprawdę nie mam pojęcia... To raczej niezbyt prawdopodobne... A o jakie zwierzenia ci chodzi?

Natychmiast pożałowała, że zapytała, lecz odpowiedź George'a zaskoczyła ją.

A „- Czy Rosemary kiedykolwiek mówiła, że kogoś się boi?

- Boi? - Iris spojrzała na szwagra ze zdumieniem.

- Próbuję dowiedzieć się, czy miała jakichś wrogów.

- Wśród innych kobiet?

- Nie, nie, nie o tym mówić. Chodzi mi o prawdziwych wrogów. Czy wiesz o kimś, kto mógłby mieć do niej żal?



Szczerze spojrzenie Iris wytrąciło go z równowagi. Zaczerwienił się i wymamrotał:

- Wiem, że to głupio brzmi. Melodramaty c znie. Tylko się zastanawiałem.

Dzień czy dwa później zaczął pytać o Farradayów. Jak często Rosemary spotykała się z nimi? Iris nie była pewna.

- Naprawdę nie wiem, George.

- Czy kiedykolwiek wspominała o nich?

- Nie, raczej nie.

- Czy byli bardzo zaprzyjaźnieni?

- Rosemary interesowała się polityką.

- Tak. Od chwili, kiedy spotkała Farradayów w Szwajcarii. Wcześniej za grosz o nią nie dbała.

- Rzeczywiście. Chyba Stephen Farraday sprawił, że zaczęła się nią interesować. Pożyczał jej do przeczytania różne broszury.

- A co myślała o tym Sandra Farraday? - zapytał George.

- O czym?

- O tym, że jej mąż pożyczał Rosemary różne broszury?

Iris poczuła się niezręcznie.

- Nie wiem.

- Jest pełna rezerwy - zauważył George - i wydaje się zimna jak lód. Ale podobno szaleje za Farradayem. Takie jak ona raczej nie aprobują przyjaźni swoich mężów z innymi kobietami.

- Może i nie.

- Czy Rosemary i żona Farradaya lubiły się? Iris odparła powoli:

- Nie sędzę. Rosemary śmiała się z Sandry, Mówiła, że to jedna z tych nadętych żon polityków, sztywnych jak drewniany koń na biegunach. Zresztą sam wiesz, że jest podobna do konia. Rosemary powtarzała, że „jeśli by ją przekłuć, ze środka wysypałyby się trociny”.

George chrząknął, a potem powiedział:

- Nadal widzisz się z Anthony Brownem?

- Dość często - odparła chłodno, lecz George nie powtórzył swoich ostrzeżeń. Przeciwnie -

wydawał się zainteresowany,

- Sporo podróżował, prawda? Musiał mieć ciekawe życie. Czy opowiadał ci o tym?

- Niezbyt wiele. Ale często wyjeżdża.

- W interesach, jak sądzę?

- Tak przypuszczam.

- A czym się zajmuje?

- Nie wiem.

- Chyba handlem bronią, prawda?

- Nigdy mi o tym nie mówił.

- Nie wspominaj mu, że pytałem. Tylko się zastanawiam. Zeszłej jesieni czysto widywano go z Dews-burym, szefem United Arms Ltd.. Rosemary spędzała dużo czasu z Anthonym, prawda?

- Tak... tak.

- Ale nie znała go od dawna? Był chyba jednym z jej dalszych znajomych? Zabierał ją na lance, prawda?

- Tak.

- Widzisz, byłem dość zaskoczony, że zaprosiła go na swoje urodziny, Nie wiedziałem, że zna go tak dobrze. ^/r Iris odezwała się cicho:

- Bardzo dobrze tańczy...

- No tak, oczywiście...

Wbrew jej woli powróciło do niej wspomnienie przyjęcia.

Okrągły stół w „Luksembourgu”, przyćmione światła, kwiaty. Orkiestra gra rytmiczne, nagłące do tańca melodie. Wokół stołu zgromadziło się siedem osób: ona, Anthony B równe, Rosemary, Stephen Farraday, Ruth Lessing, George, a po jego prawej ręce żona Stephena Farradaya, lady Alexandra Farraday o jasnych, prostych włosach i lekko zakrzywionym nosie, mówiąca czystym głosem pełnym arogancji. Jaka wesoła kompania! A może nie?

A w środku przyjęcia Rosemary... ale nie, lepiej o tym nie myśleć! Lepiej pamiętać tylko, że siedziała obok Tony’ego. Wtedy po raz pierwszy naprawdę go zauważyła. Wcześniej był tylko

nazwiskiem, cieniem w holu, towarzyszem sprowadzającym Rosemary po frontowych schodach do czekającej taksówki.

Tony...

Raptownie powróciła do rzeczywistości. George pytał ją o coś po raz drugi.

- Dziwne, że wyjechał tak szybko. Wiesz, dokąd?

Odparta z roztargnieniem:

- Chyba na Cejlon lub do Indii.

- Nie wspominał o podróży tamtego wieczoru. Iris rzuciła ostro:

- Dlaczego miałby to robić? I czy w ogóle musimy mówić o tamtym wieczorze?

Twarz George'a pokryła się szkarłatem.

- Skąd, oczywiście, nie musimy. Przepraszam. Przy okazji, zaproś kiedyś Browne'a na obiad. Chciałbym się znowu z nim zobaczyć.

Iris była zachwycona. George znów stawał się dawnym sobą. Przekazała zaproszenie, które zostało przyjęte, ale w ostatniej chwili Anthony musiał wyjechać w interesach na północ i nie dał rady przyjść.

Któregoś dnia pod koniec czerwca George zaskoczył Lucille i Iris oznajmiając, że kupił dom na wsi.

- Kupiłeś dom? - Iris nie mogła w to uwierzyć. - Myślałam, że mamy wynająć na dwa miesiące will? w Goring?

- Ale miło jest mieć własny dom, prawda? Przez cały rok można spędzać tam weekendy.

- Gdzie to jest? Nad rzeką?

- Nie całkiem. Właściwie w ogóle nie. W Sussex. W Marlingham. Posiadłość nazywa się „Little Priors”. Ma dwanaście akrów. To mały, georgiański domek.

- To znaczy, że kupiłeś coś, czego wcale nie widziałyśmy?

- To była nie lada gratka. Dopiero co wystawiono go na sprzedaż. Skorzystałem z okazji.

Pani Drake zauważyła:

- Podejrzewam, że wymaga solidnego sprzątnięcia i remontu.

- To żaden problem - odparł George lekceważąco. - Ruth dopilnowała wszystkiego.

Przyjęły wzmiankę o Ruth Lessing, uzdolnionej sekretarce George'a, pełnym szacunku milczeniem. Ruth była instytucją i praktycznie członkiem rodziny. Wyglądała świetnie w surowym czarno-białym kostiumie i stanowiła esencje wydajności połączonej z taktem...

Za życia Rosemary często mawiała: „Niech Ruth się tym zajmie. Jest cudowna. Och, zostawcie to Ruth”.

Zdolne palce panny Lessing mogły rozplatać każdą trudność. Pokonywała wszystkie przeszkody uśmiechnięta, miła, powściągliwa. Rządziła biurem George'a i, jak podejrzewano, samym George'em. Był do niej przywiązany i w każdej kwestii polegał na jej opinii. Wydawało się, że Ruth nie ma żadnych własnych potrzeb ani pragnień.

Mimo to, tym razem Lucilla Drake była zagniewana.

- Mój drogi, może i na Ruth można polegać, ale kobieta lubi sama ustalić kolorystykę własnego salonu! Powinieneś być skonsultować się z Iris. Nie wspominam o sobie. Ja się nie liczę. Lecz sytuacja jest bardzo denerwująca dla Iris.

Najwyraźniej George'a zaczęły dręczyć wyrzuty sumienia.

- Chciałem, żeby to była niespodzianka! Lucilla musiała się uśmiechnąć.

- Ależ z ciebie mały chłopiec.

- Nie obchodzi mnie kolorystyka - odezwała się Iris. - Na pewno Ruth świetnie wybrała. Jest taka mądra. Co będziemy tam robić? Mam nadzieję, że jest tam kort tenisowy?

- Tak. Sześć mil dalej jest pole golfowe, a do morza jest tylko czternaście mil. Co więcej, będziemy mieli sąsiadów. Myślę, że mądrze jest zamieszkać wśród znajomych.

- Jakich sąsiadów? - spytała ostro Iris.

32

George nic patrzył na nią.

- Farradayów - powiedział. - Mieszkają półtorej mili dalej, idąc przez park.

Iris nie spuszczała z niego wzroku. W ciągu jednej chwili nabrała pewności, że wszystkie komplikacje -kupno i wyposażenie wiejskiego domu - zostały przedsięwzięte w jednym tylko celu: by George nawiązał bliskie stosunki ze Stephenem i Sandrą Farraday. Na wsi dwie sąsiadujące ze sobą rodziny musiały nawiązać bliskie stosunki. Łączyła je albo przyjaźń, albo całkowita obojętność!

Ale dlaczego? Dlaczego George tak przyczepił się do Farradayów? Dlaczego w tak kosztowny sposób chciał osiągnąć zupełnie niezrozumiały cel?

Czy George podejrzewał, że Rosemary i Stephen Farradaya łączyło coś więcej niż przyjaźń?

Czy była to dziwaczna manifestacja pośmiertnej zazdrości? Już samo przypuszczenie brzmiało zbyt absurdalnie, by ubrać je w słowa!

Lecz czego George chciał od Farradayów? Jaki sens miały dziwaczne pytania, którymi bez przerwy bombardował Iris? Czy w zachowaniu George'a nie było ostatnio czegoś bardzo osobliwego?

Wieczorami wyglądał jak zamroczony! Lucilla przypisywała to dodatkowej szklance porto. Jak to Lucilla.

Zdecydowanie zachowanie George'a w ostatnim okresie było osobliwe. Wyglądało na to, że pracuje w podnieceniu przerywanym długimi okresami zupełnej apatii, kiedy to zapadał w drzemkę.

Prawie cały sierpień spędzili na wsi w „Little Priors”. Okropny dom! Iris wstrząsnęła się. Nienawidziła go. Pełen wdzięku, dobrze zbudowany, harmonijnie umeblowany i odnowiony (Ruth Lessing nie popełniała błędów!). A jednak wydawał się przerażająco pusty. Nie

mieszkali w nim. Zajmowali go, jak żołnierze w czasie wojny okupujący wysunięty przyczółek.

Okropne było takie życie. Na pozór normalne, zwyczajne, letnie zajęcia. Goście zjeżdżający na weekend, partie tenisa, nieformalne obiady z Farradayami. Sandra była czarująca, zachowywała się bardzo właściwie wobec sąsiadów, z którymi zaprzyjaźniła się wcześniej. Przedstawiła ich w hrabstwie, służyła George'owi i Iris radą przy zakupie koni, dla Lucilli miała szacunek należny starszym.

Przybrała maskę ozdobioną bladym uśmiechem i nikt nie wiedział, co naprawdę myślała. Kobicla-sfinks.

Rzadziej widywali Stephena. Był bardzo zajęty i często wyjeżdżał w sprawach związanych ze swoimi parlamentarnymi obowiązkami. Dla Iris było jasne, że unikał mieszkańców „Little Priors”, jak tylko mógł.

Tak minął sierpień i wrzesień, a w październiku postanowiono, że wrócą do londyńskiego domu.

Iris westchnęła głęboko z ulgą. Może kiedy wrócą, George odzyska swoje normalne „ja”.

Zeszłej nocy obudziło ją ciche stukanie do drzwi. Włączyła światło i zerknęła na zegarek. Dopiero pierwsza. Poszła spać o wpół do jedenastej i sądziła, że jest dużo później.

Narzuciła szlafrok i podeszła do drzwi. Wydało jej się to bardziej naturalne niżby miała krzyknąć: „Proszę wejść!”

Na progu stał George. Nie poszedł jeszcze spać i miał na sobie strój wieczorowy. Oddychał nierówno, a jego twarz wydawała się sina.

Powiedział:

- Zejdź na dół do gabinetu. Muszę z tobą pomówić. Nie wytrzymam, jeśli z kimś nie porozmawiam.

Posłuchała go z zaciekawiona i wciąż nieco oszołomiona snem.

Kiedy dotarli do pokoju, George zamknął drzwi i usadził ją na krześle naprzeciw biurka. Pchnął w jej stronę paczkę papierosów, jednocześnie wyciągając jednego i zapalając go trzęsącą się dłonią po jednej czy dwóch nieudanych próbach.

- Czy coś się stało, George? - spytała Iris.

Była naprawdę zaniepokojona. George wyglądał okropnie. Odezwał się oddychając gwałtownie, jak człowiek po długim biegu.

- Sam już sobie nie poradzę. Nie wytrzymam dłużej. Musisz powiedzieć mi, co myślisz... czy to prawda... czy to możliwe...

- O czym ty mówisz?

- Na pewno coś zauważyłaś, coś dostrzegłaś. Ona musiała coś powiedzieć. Musiał być jakiś powód...

Patrzyła na niego ze zdumieniem. Potarł ręką czoło.

- Nie wiesz, o czym mówię. Widzę to. Nie patrz na mnie z takim przerażeniem, dziecko. Musisz mi pomóc. Musisz przypomnieć sobie każdy cholerny szczegół. Wiem, że mówię niezbyt składnie, ale zaraz zrozumiesz. Pokażę ci listy.

Przekręcił klucz w jednej z szuflad biurka i wyjął dwie kartki papieru.

Były bladobłękitne, pokryte pedantycznym, drukowanym pismem.

- Przeczytaj - powiedział George.

Iris spojrzała na listy. Informację napisano jasno i bez ogródek,

**MYŚLISZ, ZE TWOJA ŻONA POPEŁNIŁA SAMOBÓJSTWO. NIEPRAWDA. ZOSTAŁA ZABITA.**

Drugi list brzmiał następująco:

**TWOJA ŻONA ROSEMARY NIE ZABIŁA SIĘ. ZOSTAŁA ZAMORDOWANA.**

Iris wciąż patrzyła na kartki, kiedy George ciągnął dalej:

- Nadeszły jakieś trzy miesiące temu. Najpierw pomyślałem, że to żart - okrutny, paskudny żart. Potem zacząłem się zastanawiać. Dlaczego Rosemary miałyby się zabić?

Iris powiedziała mechanicznie:

- Depresja po grypie.

- No takf ale jeśli to rozważysz, powód jest dość głupi, prawda? Mnóstwo ludzi ma grypę i czują się potem trochę przygnębieni... Co mówisz?

- Może była nieszczęśliwa? - powiedziała Iris z wysiłkiem.

- Możliwe - George rozważył to ze spokojem, -Lecz mimo to nie sądzę, żeby Rosemary mogła ze sobą skończyć dlatego, że czuła się nieszczęśliwa. Mogła grozić, że się zabije, ale nie zrobiłaby tego.

- Ale zrobiła, George! Masz inne wyjaśnienie? Przecież nawet znaleziono truciznę w jej torebce!

- Wiem. Wszystko do siebie pasuje. Ale odkąd je przysłano - postukał paznokciem w anonimy - wciąż nad tym rozmyślam. I im więcej się zastanawiam, tym bardziej wydaje mi się, że coś w tym jest. Dlatego zadawałem ci te wszystkie pytania: czy Rosemary miała jakichś wrogów, co mówiła, czy bała się kogokolwiek. Ktokolwiek ją zabił, musiał mieć jakiś powód...

- George, tracisz rozum...

- Czasami tak myślę. A czasem uważam, że jestem na właściwej drodze. Muszę wiedzieć. Muszę to odkryć. A ty masz mi pomóc. Pomyśl. Przypomnij sobie. Właśnie tak; przypomnij sobie. Wróć myślami do tamtej nocy. Sama rozumiesz, że jeśli Rosemary została zabita, mordercą jest jeden z gości, Rozumiesz to, prawda?

Tak, rozumiała. Nie mogła dłużej odpychać wspomnień z tamtego wieczoru. Musiała sobie wszystko przy-

pomnieć. Muzykę, perkusję, przyćmione światła, kabaret, jasne oświetlenie i Rosemary osuniętą na blat stołu, z wykrzywioną, siną twarzą.

Iris wzdrygnęła się. Była przerażona, potwornie przerażona...

Musi pomyśleć... cofnąć się w przeszłość... przypomnieć sobie.

Rosemary znaczy pamięć,

Nie dane jej było zapomnieć.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

**Ruth Lessing**

W rzadkiej chwili spokoju pośród pracowitego dnia Ruth Lessing wspominała żonę swojego pracodawcy, Rosmary Barton.

Nie lubiła jej. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo, aż do tamtego listopadowego poranka, kiedy to po raz pierwszy rozmawiała z Yictorem Drakiem.

Spotkanie z Yictorem było początkiem wszystkiego - wprawiło całą machinę w ruch. Przedtem jej uczucia i myśli zdawały się tak głęboko ukryte w podświadomości, że właściwie ich nie znała.

Była przywiązana do George'a Bartona. Od zawsze. Kiedy przyszła do niego po raz pierwszy - chłodna, kompetentna dwudziesto trzy letnia kobieta - dostrzegła, że wymaga opieki. Więc zaopiekowała się nim. Oszczędzała jego pieniądze, czas i chroniła go od zmartwień. Wybierała mu przyjaciół i wskazywała odpowiednie rozrywki. Powstrzymywała go przed nierozważnymi przedsięwzięciami, a czasem zachęcała do podjęcia wyważonego ryzyka. Ani razu w czasie ich długiej współpracy George nie podejrzewał, że Ruth jest czymś więcej niż podległą, pilną i posłuszną pracownicą. Jej wygląd sprawiał mu nieświadomą przyjemność: lśniące, gładko upięte czarne włosy, eleganckie kostiumy i zawsze świeże bluzki, małe perły w jej kształtnych uszach, blada, dyskretnie upudrowana twarz i delikatny, różowy odcień szminki.

Miał wrażenie, że Ruth jest ideałem.

Podobała mu się jej obojętność i bezosobowość, całkowity brak sentymentalizmu czy poufałości. W efekcie często mówił z nią o swoich prywatnych sprawach, a ona słuchała ze współczuciem i zawsze znalazła pożyteczną radę.

Jednakże nic miała nic wspólnego z jego żoną. Nie lubiła jej, chociaż zaakceptowała małżeństwo, a jej pomoc w przygotowaniu weselnego przyjęcia była nieoceniona i uwolniła panią Marie od nadmiaru pracy.

Przez jakiś czas po ślubie stosunki Ruth z szefem były trochę mniej zażyłe. Ograniczyła się wyłącznie do kwestii biurowych. George pozostawiał wiece spraw w jej rękach.

Tym niemniej panna Lessing była tak kompetentna, że Rosemary odkryła wkrótce, iż sekretarka George'a stanowi nieocenioną pomoc w każdej sprawie. Panna Lessing zawsze była miła, uśmiechnięta i uprzejma.

George, Rosemary i Iris mówili do niej Ruth i często zapraszali na Elvaston Square na lunch. Miała teraz dwadzieścia dziewięć lat i wyglądała tak samo, jak w wieku dwudziestu trzech lat.

Mimo że nie padło między nimi żadne intymne słowo, Ruth bezbłędnie odczytywała nawet najskrytsze uczucia George'a. Wiedziała, kiedy pierwsze uniesienie małżeństwem zmieniło się w przyjemne zadowolenie i zauważyła, kiedy to zadowolenie odeszło na rzecz czegoś trudnego do zdefiniowania. Lekceważenie szczegółów, jakie George okazywał w tamtym czasie, nadrabiała



własną przezornością.

Niezależnie jak bardzo George był roztargniony, Ruth Lessing zdawała się nigdy tego nie dostrzegać. Był jej za to wdzięczny.

Któregoś listopadowego poranka wszczął z nią rozmowę o Yictorze DrakeTu.

- Chciałbym, żebyś załatwiła dla mnie pewną dość nieprzyjemną sprawę.

Spojrzała na niego pytająco. Nie musiała mówić, że oczywiście to zrobi. Oboje o tym wiedzieli.

- W każdej rodzinie jest jakaś czarna owca - powiedział George.

Skinęła ze zrozumieniem głową.

- Chodzi o kuzyna mojej żony, skończonego nicponia, jak się obawiam. Doprowadził do niemal całkowitej ruiny swoją matkę - głupią, sentymentalną kobietę, która dla niego sprzedała większość swoich nielicznych obligacji. Zaczął od sfalszowania czeku w Oksfordzie, co szybko zatuszowano, a od tamtej pory krąży po świecie, nigdzie nie czyniąc nic dobrego.

Ruth słuchała niezbyt uważnie. Znała ten typ ludzi. Uprawiali sady pomarańczowe, zakładali kurze fermy, emigrowali do Australii, by hodować owce, pracowali w mięsnych chłodniach w Nowej Zelandii. Nigdzie nie potrafili się sprawdzić, nie zatrzymywali się w żadnym miejscu na długo i zawsze tracili pieniądze zainwestowane w ich imieniu. Nie interesowali jej zbytnio. Wolała ludzi sukcesu.

- Teraz zjawił się w Londynie. Moja żona bardzo się o niego martwi. Nie widziała go od czasów, kiedy była w szkole, ale z niego taki obłudnik i łajdak, że pisze do niej prosząc o pieniądze. Nie zamierzam tego tolerować. Umówiłem się z nim na spotkanie: dziś

o dwunastej w jego hotelu. Chcę, żebyś się tym zajęła. Mówiąc szczerze, wolę się z nim nie spotykać. Nie widziałem go nigdy przedtem i nie zamierzam oglądać go teraz, nie chcę też, by zrobiła to Rosemary. Myślę, że całą sprawę można potraktować jak zwyczajny interes

i załatwić przez kogoś trzeciego.

- To zawsze jest dobrym rozwiązaniem. Co ustaliłeś?

- Sto funtów gotówką i bilet do Buenos Aires. Pieniądze otrzyma dopiero na pokładzie statku.

Ruth uśmiechnęła się.

- Jasne. Chcesz mieć pewność, że wyjedzie.

- Rozumiesz, jak widzę.

- To żaden niezwykły przypadek - stwierdziła obojętnie.
- Tak, jest wielu takich jak on - George zawahał się. - Na pewno nie masz nic przeciw temu?
- Oczywiście, że nie - Ruth była trochę rozbawiona.
- Zapewniam cię, że jestem w stanie to załatwić.
- Jesteś w stanie załatwić wszystko.
- Zarezerwować dla niego bilet? Właśnie, jak się nazywa?
- Yictor Drake. Bilet jest tutaj. Wczoraj zadzwoniłem do kompanii przewozowej. Statek nazywa się „San Cri-stobal” i jutro wypływa z Tilbury,

Ruth wzięła bilet, obejrzała go sprawdzając, czy wypisano go poprawnie, i włożyła do torebki.

- Wszystko ustalone. Załatwię to. Godzina dwunasta. Jaki to hotel?

- „Rupert” przy Russell Square, Zapisała to.

- Nie wiem, co począłbym bez ciebie, moja droga

- George z uczuciem położył dłoń na jej ramieniu; zrobił to po raz pierwszy. - Jesteś moją prawą ręką, moim drugim „ja”.

Zarumieniła się zadowolona.

- Nigdy nie potrafiłem przemawiać. Wszystko, co robiłaś, przyjmowałam jako rzecz naturalną, ale nie całkiem tak to traktuję. Nie wiesz, jak bardzo polegam na tobie we wszystkim... we wszystkim - powtórzył. - Jesteś najmiłą, najdroższą, najbardziej pomocną dziewczyną na całym świecie!

Ruth odezwała się ze śmiechem, próbując ukryć zadowolenie i zakłopotanie:

- Zepsujesz mnie, mówiąc takie miłe rzeczy.

- Ale naprawdę tak uważani. Jesteś częścią firmy, Ruth. Życie bez ciebie byłoby nie do pomyślenia.

Poczuła ciepło płynące z jego słów. Czowała je nadal, kiedy dotarła na spotkanie w hotelu „Rupert”. Ife Nieczuła się zakłopotana tym, co ją czekało. Była pewna, że potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji. Nie wzruszały jej historie o urodzonych pechowcach. Była gotowa potraktować Yictora Drake’a jak cześć swojej pracy.

Wyglądał niemal dokładnie tak, jak sobie wyobrażała, choć był zdecydowanie bardziej atrakcyjny. Nie pomyliła się, oceniając jego charakter. Niewiele było w nim dobrego. Yictor Drake miał osobowość tak zimną i wyrachowaną, jak to tylko możliwe, skrytą za maską sympatycznego

zuchwalstwa. Nie przewidziała wcześniej, jak łatwo potrafi odczytać cudze myśli i zagrać na czyichś uczuciach. Być może przeceniła też własną odporność na jego urok. A miał go wiele.

Powitał ją okazując zaskoczenie i zachwyt.

- Emisariuszka George'a? Ależ to wspaniale! Co za niespodzianka!

Sucho i bez emocji przedstawiła mu warunki George'a. Yictor przyjął je bardzo uprzejmie.

- Sto funtów? Wcale nieźle. Biedny staruszek. Wziąłbym sześćdziesiąt, ale proszę mu o tym nie mówić! Warunki: „Nie sprawiaj przykrości kochanej kuzynce Rosemary, nie skalaj niewinności kuzynki Iris, nic zwracaj głowy zacnemu kuzynowi George'owi" - wszystkie przyjmuję! Kto odprowadzi mnie na „San Cristo-bata”? Pani, droga panno Lessing? Doskonale.

Zmarszczył czoło, a jego ciemne oczy rozbliły współczuciem. Miał szczupłą, brązową twarz i coś

w nim przywodziło na myśl toreadora. Cóż za romantyczny pomysł! Był atrakcyjny dla kobiet i dobrze o tym wiedział.

- Pracuje pani dla Bartona od dawna, prawda, panno Lessing?

- Od sześciu lat.

- I nie wiedziałby, co bez pani zrobić. Tak, wiem o tym. I znam panią, panno Lessing.

- Jak to? - spytała ostro Ruth. Yictor uśmiechnął się szeroko.

- Rosemary mi opowiadała.

- Rosemary? Ależ...

- Wszystko w porządku. Nie zamierzam martwić Rosemary. Była dla mnie bardzo miła i pełna współczucia. Dostałem od niej sto funtów,

- Pan...

Urwała, a Yictor roześmiał się. Jego śmiech był zaraźliwy i Ruth stwierdziła, że sama się śmieje,

- Bardzo nieładnie z pana strony, panie Drake.

- Jestem niezwykle utalentowanym pasożytem. Mam świetną technikę. Na przykład matka zawsze się złamie, jeśli wyślę jej telegram sugerując, że zamierzam natychmiast popełnić samobójstwo.

- Powinien się pan wstydić.

- Bardzo się potępiam. Jestem zty, panno Lessing. Chciałbym, by wiedziała pani, jak bardzo.

- Dlaczego? - zapytała zaciekawiona.

- Nie wiem. Pani jest inna. Nie mogę odstawić przed panią zwykłej gierki. Ma pani takie czyste oczy... nie nabrałbym pani. Nie skruszyłbym lodów zwyczajnym „Więcej przeciw niemu zgrzeszono, niż on sam grzechów popełnił”. Nie ma pani litości.

Jej rysy stwardniały.

- Gardzę litością.

- Mimo pani imienia\*? Ma pani na imię Ruth, prawda? Dość pikantne. Bezwzględna Ruth.

- Nie mam współczucia dla słabości - powiedziała.

- A kto mówił, że jestem słaby? Nie, tu się pani myli, moja droga. Być może podły. Ale jedno przemawia za mną.

Skrzywiła z pogardą usta. Zaczyna się usprawiedliwiać.

- Tak?

- Dobrze się bawię. Tak - skinął głową. - Bardzo dobrze się bawię. Widziałem sporo w życiu, moja Ruth. Robiłem niemal wszystko. Byłem aktorem, magazynierem, kelnerem, człowiekiem do wynajęcia, bagażowym i rekwizytorem w cyrku! Służyłem jako majtek na frachtowcu. Startowałem w wyborach prezydenckich w jednej z republik południowoamerykańskich. Siedziałem w więzieniu! Nie robiłem tylko dwóch rzeczy: nie przepracowałem jednego dnia uczciwie i nigdy nie zapłaciłem za siebie.

Spojrzał na nią z uśmiechem. Czują, że powinna być oburzona. Lecz Yictor Drake miał w sobie diabelską moc. Przy nim zło wydawało się zabawne. Patrzył na nią niesamowitym, przenikliwym wzrokiem.

- Nie bądź taka drobnomieszczańska, Ruth. Nie jesteś tak moralna, jak myślisz. Twoim fetyszem jest sukces. Dziewczyny takie jak ty wychodzą za mąż za swoich szefów. To powinnaś zrobić. George nie powinien był poślubić tej małej gęsi, Rosemary. Powinien był ożenić się z tobą. Wyszedłby na tym dużo lepiej.

- Myślę, że mnie pan obraża.

- Rosemary jest potwornie głupia, zawsze taka była. Śliczna jak rajski ptak i głupia jak królik. Mężczyźni zakochują się w takich jak ona, ale nigdy z nimi nie

ruth (ang.) - litość, współczucie

zostają. Ale ty jesteś inna. Mój Boże, jeśli jakiś mężczyzna zakocha się w tobie, nigdy się nie

znudzi.

Dotknął jej bolesnego miejsca. Odezwała się raptownie, z brutalną szczerością:

- Jeśli! Ale on nigdy się we mnie nie zakocha!

- Masz na myśli George'a? Nie okłamuj się, Ruth. Gdyby coś przytrafiło się Rosemary, George z miejsca by się z tobą ożenił.

(Tak, tak właśnie wszystko się zaczęło.) Yictor odezwał się, obserwując ją uważnie:

- Ale o tym wiesz równie dobrze jak ja.

(Dłonie George'a na jej dłoniach, pełen uczucia głos, ciepło... Tak, to musiała być prawda... Zwracał się zawsze do niej, polegał na niej...)

Yictor powiedział łagodnie:

- Powinnaś mieć więcej pewności siebie, moja droga. Mogłabyś owinać sobie George'a wokół małego płaca. Rosemary jest tylko głupią gąską.

„To prawda - pomyślała Ruth. - Gdyby nie Rosemary, potrafiłabym zmusić George'a, by poprosił mnie o rękę. Byłabym dla niego dobra. Zająłabym się nim.”

Poczuła nagły, ślepy gniew, raptowną, namiętą nienawiść. Yictor Drake obserwował ją z rozbawieniem. Lubił podsuwać ludziom nowe pomysły. Albo, jak w tym przypadku, pokazywać im te, na które sami wpadli już wcześniej...

Tak, tak właśnie się to zaczęło - od tego przypadkowego spotkania z człowiekiem, który następnego dnia wyjeżdżał na drugi koniec świata. Ruth, która wróciła do biura, nie była tą samą Ruth, która z niego wyszła, choć nikt nie zauważyłby zmiany w jej zachowaniu czy wyglądzie.

Wkrótce po jej powrocie do biura, zadzwoniła Rosemary Barton.

- Pan Barton wyszedł na lunch. Czy mogę w czymś ci pomóc?

- Och, Ruth, zechciałabyś? Ten nudny pułkownik Race przysłał telegram, że nie zdąży wrócić na moje przyjęcie. Spytaj George'a, kogo chciałby zaprosić zamiast niego. Powinniśmy mieć jeszcze jednego mężczyznę. Będą cztery kobiety: oczywiście ja, Iris, Sandra Farraday i... kto jeszcze, do diabła? Nie mogę sobie przypomnieć.

- Ja jestem czwarta, jak sądzę. Zechciała mnie pani zaprosić.

- Och, oczywiście. Całkiem o tobie zapomniałam! Rosemary roześmiała się lekko, srebrzyście. Nie widziała, że Ruth zarumieniła się nagle i zacisnęła szczęki, i

Zaproszono ją na przyjęcie z łaski, ustępując Geor- [ gejowi. „No dobrze, niech będzie la

twoja Ruth Lessing. i Sprawimy jej przyjemność, a poza tym jest bardzo po- · zyteczna. No i prezentuje się nie najgorzej".

W tej chwili Ruth Lessing wiedziała, że nienawidzi [ Rosemary Barton.

Nienawidzi jej za to, że jest bogata, piękna, beztroska i bezmyślna. Na Rosemary nie czekała rutynowa praca w biurze. Jej wszystko podawano na złotym talerzu. Romanse, zaślepiony mąż... żadnej potrzeby pracy czy robienia planów... :

Znienawidzona, protekcyjna, zarozumiała, pusto-; głowa piękność...

- Chciałabym, żebyś umarła - powiedziała cicho Ruth do milczącego lefefonu.

Zaskoczyły ją własne słowa. Nie pasowały do niej. Nigdy nie była namiętna ani porywcza. Zawsze chłodna,; opanowana i kompetentna. i

- Co się ze mną dzieje? - powiedziała na głos. Nienawidziła Rosemary Barton tamtego popołudnia.

Nadal nienawidziła jej rok później. L

Kiedys być może będzie w stanie wybaczyć Rosemary. Lecz jeszcze nie teraz.

Wróciła myślami do tamtego listopada.

Siedziała wpatrzona w telefon, czując rosnącą w sercu nienawiść...

Uprzejmym, opanowanym tonem przekazała Geor-ge'owi wiadomość od Rosemary. Zaproponowała, że nie przyjdzie, by liczba gości pozostała równa. George natychmiast odrzucił sugestię!

Następnego dnia przyszła z informacją, że „San Cri-stobal" wypłynął z portu. George był wdzięczny i pełen ulgi.

- Tak więc wyjechał?

- Tak. Pieniądze wręczyłam mu tuż przed zdjęciem trapu - zawahała się. zanim podjęła dalej: - Pomachał ręką, kiedy statek wypływał i zawołał: „Ucałowania dla George^! Powiedz mu, że wypiję dziś wieczór za jego zdrowie!"

- Bezcelność! - stwierdził George. Spytał po chwili z ciekawością:

- Co o nim sądzisz, Ruth?

Odpowiedziała tonem celowo bezbarwnym i obojętnym:

- Jak się spodziewałam, to słaby człowiek. George nie zauważył, nie dostrzegł niczego! Miała

ocholę wykrzyknąć: „Dlaczego mnie do niego wysłałeś? Nie wiedziałeś, co może mi zrobić? Nie widzisz, że od wczoraj jestem inną kobietą? Nie widzisz, że jestem niebezpieczna? Że nie można przewidzieć, co zrobię?” Zamiast tego powiedziała urzędowym tonem:

- Jeśli chodzi o ten list z San Paulo... Była świetną, kompetentną sekretarką... Pięć dni później.

Urodziny Rosemary.

Spokojny dzień w biurze, wizyta u fryzjera, nowa czarna suknia, zręcznie nałożony makijaż. Z lustra patrzyła na nią twarz, która nie całkiem należała do niej. Błada, zdeterminowana, ostra.

Victor Drake powiedział prawdę. Nie miała w sobie litości.

W parę godzin potem, kiedy patrzyła przez stół na siną, wykrzywioną twarz Rosemary Barton, nadal nie czuła litości.

Teraz, jedenaście miesięcy później, wspominając Rosemary, nagle poczuła strach...

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

### **Anthony Browne**

Anthony Browne ze zmarszczonym czołem rozmyślał o Rosemary Barton.

Był skończonym głupcem, że związał się z tą ko-bielą. Choć każdemu mężczyźnie można by to wybaczyć! Rosemary wpadała w oko. Tamtego wieczoru w Dorchester nie mógł patrzeć na nikogo innego. Piękna jak hurysa - i prawdopodobnie równie inteligentna!

A mimo to zakochał się w niej. Wiele energii kosztowała go próba znalezienia kogoś, kto mógłby go przedstawić. Rzecz niewybaczalna w czasie, kiedy powinien był zająć się wyłącznie interesami. W końcu nie spędzał jałowych dni w hotelu „Claridge's” dla własnej przyjemności.

Lecz Rosemary Barton była na tyle piękna, by usprawiedliwić chwilowe zaniedbanie obowiązków. Teraz mógł tylko narzekać i zastanawiać się, dlaczego był takim głupcem. Na szczęście nie miał czego żałować. Czar rozwiązał się niemal natychmiast, gdy zaczął z nią rozmawiać. Rzeczy na powrót przybrały właściwe proporcje. To nie była miłość i jeszcze nie zaślepienie. Mieli się po prostu dobrze bawić - i nic więcej.

Cóż, on bawił się dobrze. Podobnie jak Rosemary. Tańczyła jak anioł i gdziekolwiek ją zabrał, mężczyźni odwracali się, by na nią spojrzeć. To sprawiało mu przyjemność. Dopóki nie pragnął z nią inteligentnie porozmawiać. Dziękował swej szczęśliwej gwiazdzie, że

nie była jego żoną. Co by począł, gdyby przywykł już do jej perfekcyjnej twarzy i kształtów? Nie potrafiła nawet inteligentnie słuchać. Taka dziewczyna oczekuje, że co rano przy śniadaniu powiesz jej, że ją namiętnie kochasz., Łatwo teraz o tym myśleć.

Ale przecież zadurzył się w niej, prawda?

Nadskakiwał jej. Wydzwaniał do niej, zabierał wieczorami, tańczył z nią, całował w taksówkach. Był na dobrej drodze, by zrobić z siebie kompletnego głupca, aż do tamtego szokującego, niesamowitego dnia.

Pamiętał jedynie, jak wyglądała: pasmo orzechowych włosów opadające za ucho, opuszczone rzęsy i połyskujące przez nie ciemnoniebieskie oczy. Odęte, miękkie, czerwone wargi.

- Anthony Browne. Jakie ładne nazwisko! Powiedział lekko:

- Stare i godne szacunku. Jeden z szambelanów Henryka VIII nazywał się Anthony Browne.

- To pański przodek?

- Nie dałbym za to głowy.

- No myślę! Uniósł w górę brwi.

- Ja pochodzę z kolonialnej linii.

- Nie włoskiej?

- Och - roześmiał się. - Chodzi o moją oliwkową karnację? Matka byJa Hiszpanką,

- To wszystko wyjaśnia.

- To znaczy co?

- Bardzo wiele, panie Browne.

- Polubiła pani moje nazwisko.

- Jak mówiłam wcześniej: jest ładne.

. A potem nagle, jak nieoczekiwany cios pięścią: - Ładniejsze niż Tony Morelli.

Przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym uszom. To było nic wiary godne! Niemożliwe!

Złapał ją brutalnie za ramię. Skrzywiła się.

- To boli!

- Gdzie usłyszałaś to nazwisko? Jego głos był chrapliwy, groźny.



Roześmiała się zadowolona z efektu, jaki wywołała. Nieprawdopodobna idiotka!

- Kto ci powiedział?

- Ktoś, kto cię rozpoznał.

- Kto? To poważna sprawa, Rosemary. Muszę to wiedzieć.

Zerknęła na niego.

- Mój niecny kuzyn. Yictor Drake.

- Nie spotkałem nigdy człowieka o takim nazwisku.

- Chyba nie używał go w czasach, gdy ty go znałaś. Oszczędzał uczucia rodziny.

Anthony powiedział wolno:

- Rozumiem. To było... w więzieniu?

- Tak. Właśnie wypominałam Yictorowi jego niepoprawne zachowanie, mówiłam, że przynosi nam hańbę. Oczywiście, wcale się tym nic przejął. A potem uśmiechnął się i powiedział: „Sama nie zawsze jesteś tak drobiazgowa, kochana. Poprzedniego wieczoru widziałem, jak tańczyłaś z byłym więziennym ptaszkiem. Jest chyba jednym z twoich najbliższych przyjaciół. Nazywa się Anthony Browne, jak styszatem, ale w ciupie zwał się Tony Morelli”.

Anthony rzucił lekko:

- Muszę odnowić znajomość z przyjacielem młodości. My, starzy więzienni kumple, musimy trzymać się razem.

Rosemary potrząsnęła głową.

- Za późno. Jest w drodze do Ameryki Południowej. Wypłynął wczoraj.

- Rozumiem - Anthony wziął głęboki oddech. -Więc jesteś jedyną osobą, która zna mój brzydki sekret? Skinęła głową,

- Nie wydam cię.

- Nie radziłbym - jego głos stał się groźny. - To niebezpieczne, Rosemary. Nie chcesz, by ktoś pociął ci twoją śliczną buzię, prawda? Istnieją ludzie, którzy nie zawahaliby się przed takim drobiazgiem, jak zniszczenie dziewczynie urody. Albo zakatrupienie kogoś. Takie rzeczy nie dzieją się wyłącznie w książkach czy na filmie. Mogą przydarzyć się również w prawdziwym życiu.

- Grozisz mi, Tony?

- Ostrzegam cię.

Czy zrozumiała ostrzeżenie? Czy zdała sobie sprawę, że był śmiertelnie poważny? Głupia geś. W tej ślicznej główce nie miała za grosz rozumu, Nie powinien liczyć, że utrzyma buzię na kłódkę. Mimo to musiał spróbować wbić jej to do głowy.

- Zapomnij, że kiedykolwiek słyszałaś nazwisko Tony Morelli, rozumiesz?

- Ale mnie to wcale nie przeszkadza, Tony. Jestem tolerancyjna. Dla mnie spotkanie z kryminalistą jest nawet ekscytujące. Nie musisz się wstydzić.

Kompletna idiotka. Spojrzał na nią zimno. W tej chwili dziwił się, jak kiedykolwiek mógł wyobrazić sobie, że mu na niej zależy. Nigdy nie potrafił ścierpieć głupców - nawet tych o ślicznych buziach.

- Zapomnij o Tonym Morelli - powtórzył twardo. - Mówię poważnie. Nie wspominaj nigdy tego nazwiska.

Musiał wyjechać. To było jedyne rozwiązanie. Nie mógł jej zaufać. Zacznie mówić, kiedy tylko zechce.

Uśmiechała się do niego - niezwykle czarująco, lecz jego to nie wzruszyło.

- Nie bądź taki groźny. Zabierz mnie na tańce do „Jarrow's” w przyszłym tygodniu.

- Nie będzie mnie. Wyjeżdżam,

- Nie przed moim przyjęciem urodzinowym. Nie możesz mnie zawieść. Liczę na ciebie. Nie mów nie. Byłam okropnie chora, miałam tak potworną grypę? i ciągle czuję się przeraźliwie słaba. Nie wolno mnie denerwować. Musisz przyjść.

Mógł się jej oprzeć. Rzucić wszystko i natychmiast wyjechać.

Ale przez otwarte drzwi dojrzał Iris schodzącą po schodach. Wyprostowaną, bardzo szczupłą Iris o bladej twarzy, czarnych włosach i szarych oczach. Iris o tyle mniej piękną od Rosemary, ale z charakterem, którego Rosemary nigdy nie miała.

Znienawidził się w tamtej chwili za to, że stał się ofiarą, choćby w niewielkim stopniu, bezmyślnego uroku Rosemary. Czuł się tak jak Romeo wspominający Ro-salinde, kiedy po raz pierwszy ujrzał Julie.

Anthony Browne zmienił zdanie,

W ułamku sekundy zdecydował się postąpić zupełnie inaczej.

## Stephen Farraday

Stephen Farraday rozmyślał o Rosemary - myślał

o niej z pełnym niedowierzania zdumieniem, które zawsze wywoływał w nim jej obraz. Zazwyczaj odpychał od siebie wszystko, co się z nią wiązało. Lecz zdarzało się, że - uparta po śmierci tak samo jak za życia - nic zgadzała się, by ją zdawkowo zbywano.

Jego pierwsza reakcja zawsze była taka sama: szybkie, mimowolne wzdrygnięcie na wspomnienie sceny w restauracji. Ale przecież nie musi myśleć akurat o tym! Cofnął się pamięcią dalej w przeszłość, do Rosemary żywej, uśmiechniętej, oddychającej, patrzącej mu w oczy...

Jakim głupcem, jakim niewiarygodnym głupcem by! wtedy!

Ogarnęło go zdumienie - pełne niedowierzania zdumienie. Jak mogło do tego dojść? Zupełnie tego nie rozumiał. Jakby jego życie podzieliło się na dwie części: większa to rozsądny, zrównoważony, stały rozwój i druga - krótkie, nietypowe dla niego szaleństwo. Obie części nie pasowały do siebie.

Mimo swoich zdolności, bystrości i inteligencji Stephen nie znał siebie na tyle dobrze, by dostrzec, że w rzeczywistości obie części aż za dobrze do siebie pasowały.

Niekiedy spoglądał na swoje dotychczasowe życie

i oceniał je zimno, bez zbędnych emocji, jednocześnie z zadowoleniem gratulując sobie w duchu. Od najwcześ-

niejszych lat był zdecydowany odnieść sukces i odniósł go mimo trudów i początkowych niedogodności.

Zawsze wyznawał prostą wiarę i miał nieskomplikowane poglądy. Wierzył w silną wolę. To, czego mąż-czyna pragnął, mógł zdobyć!

Mały Stephen Farraday wytrwale ćwiczył swoją wolę. Wokół siebie znajdował niewiele pomocy poza tym, co zdobył własnym wysiłkiem. Mały, blade siedmiolatek z wysokim czołem i zdecydowanym podbródkiem zamierzał zająć wysoko - i tak się stało. Już wówczas wiedział, że nie będzie miał pożytku z rodziców. Jego matka wyszła za człowieka o niższym statusie społecznym i żałowała tego poniewczasie. Ojcem - drobnym przedsiębiorcą budowlanym, sprytnym, przebiegłym i skąpym - gardziła zarówno żona, jak i syn... Dla swojej matki, żyjącej bez celu, poddającej się gwałtownym zmianom nastroju, Stephen czuł jedynie całkowity brak zrozumienia aż do dnia, kiedy znalazł ją wpółleżącą na blacie stołu z pustą butelką wody kolońskiej, która wysunęła się z jej dłoni.

Nigdy nie pomyślał, że alkohol mógł tłumaczyć jej nastroje. Nie pił wódki ani piwa, a on nigdy nie uświadomił sobie, że jej namiętność do wody kolońskiej miała jeszcze inne podłoże oprócz niejasnych wyjaśnień, że boli ją głowa.

W tamtej chwili zdał sobie sprawę, że nie ma zbyt wielu ciepłych uczuć dla swoich rodziców. Podejrzewał słusznie, że i oni nie mieli ich dla niego. Był niski jak na swój wiek, cichy, zdarzało mu się jąkać. Ojciec nazywał go ekliwym dzieciakiem. Zachowywał się poprawnie, nie sprawiał kłopotów. Pan Farraday wolałby bardziej żywiołowego syna, „Ja w jego wieku zawsze pakowałem się w kabałę.” Czasem, patrząc na Stephena, odczuwał z przykrością swoją klasową niższość wobec żony. Stephen przypominał jej rodzinę.

Spokojnie, z rosnącym uporem, Stephen planował swoje życie. Zamierzał odnieść sukces. Postanowił wystawić swoją silną wolę na próbę i opanować jąkanie, Ćwiczył mówienie wolno, z lekkim wahaniem pomiędzy poszczególnymi słowami. Z czasem jego wysiłki zosłały ukoronowane sukcesem. Przestał się jąkać. W szkole uczył się pilnie. Zamierzał zdobyć solidne wykształcenie. Mogło go wysoko zaprowadzić. Wkrótce nauczyciele zainteresowali się nim i zaczęli mu pomagać. Zdobył stypendium. Władze szkolne porozumiały się z jego rodzicami, a ci obiecali chłopcu wsparcie. Pana Farradaya, który zarabiał na stawianiu tandetnych szeregowych domów, przekonano, by zainwestował pieniądze w edukację syna.

Mając dwadzieścia dwa lata Stephen powrócił z Oksfordu z dyplomem, reputacją świetnego i dowcipnego mówcy i talentem do pisania artykułów. Zdobył również użytecznych przyjaciół. Pociągała go polityka. Nauczył się pokonywać wrodzoną nieśmiałość i nabrał odpowiednich manier - był skromny, przyjacielski, błyskotliwy na tyle, by mówiono: „Ten młody człowiek daleko zajdzie”. Choć skłaniał się ku liberałom, zdawał sobie sprawę, że przynajmniej na razie Partia Liberalna nie miała szans. Wstąpił w szeregi Partii Pracy. Wkrótce stał się znany jako „wybijający się” młody człowiek. Lecz Partia Pracy nie zadowalała Stephena. Odkrył, że jej członkowie nie są otwarci na nowe pomysły, a bardziej związani z tradycją niż ich potężni i wpływowi rywale. W dodatku Partia Konserwatywna polowała na młode talenty.

Zaakceptowali Stephena Farradaya - właśnie kogoś takiego szukali. Stał do wyborów w labourzystowskim okręgu i wygrał je niewielką przewagą głosów. Z uczuciem triumfu zajął swoje miejsce w Izbie Gmin. Jego

kariera zaczęła się, i była to odpowiednia kariera. Mógł jej poświęcić wszystkie swoje zdolności i ambicje. Czuł, że potrafi rządzić, i to dobrze. Miał talent do postępowania z ludźmi, wiedział, kiedy pochlebiać, a kiedy się sprzeciwiać. Przysiągł sobie, że pewnego dnia znajdzie się w rządzie.

Tym niemniej, kiedy minęło już podniecenie tym, że zasiada w parlamencie, doznał raptownego rozczarowania. Wygrane z trudem wybory postawiły go w światłach rampy, lecz teraz znalazł się w cieniu: był nic nie znaczącym, szeregowym członkiem partii, podległym partyjnym naganiaczom\* i trzymanym przez nich w miejscu. Stąd trudno było dojść do sławy. Na młodość patrzono podejrzliwie. Trzeba było mieć coś więcej niż zdolności. Tym czymś były wpływy.

Istniały pewne firmy, pewne rodziny. Należało zdobyć ich poparcie.

Stephen zaczął zastanawiać się nad odpowiednim małżeństwem. Do tej pory niewiele myślał o tej sprawie. Gdzieś na dnie umysłu miał niejasny obraz pięknej istoty, która będzie szła z nim ręką w rękę, dzieląc jego życie i ambicje; która urodzi mu dzieci i której będzie mógł zwierzyć się ze swoich trosk i kłopotów. Kobieta, która czułaby to samo, co on, pożądała jego sukcesu i była z niego dumna, kiedy ten sukces osiągnie.

Pewnego dnia wybrał się na jedno z wielkich przyjęć wydawanych przez Kidderminsterów. Mieli najpotężniejsze wpływy w całej Anglii. Od zawsze byli związani z polityką. Wysoką, majestatyczną postać lorda Kidder-minstera, odznaczonego Orderem Imperium, znano wszędzie choćby z widzenia. Duża, końska twarz lady Kid-

derminster pojawiała się na trybunach i w komitetach na terenie całej Anglii. Mieli pięć córek, z których trzy były piękne, i syna studiującego jeszcze w Eton.

Kiddermins tero wie dbali o to, by popierać młodych członków partii. Stąd zaproszenie Farradaya.

Nie znał zbyt wielu osób i przez pierwsze dwadzieścia minut stał samotnie przy oknie. Kiedy goście zaczęli przechodzić do innych pokoi, tłum wokół stołu z zakąskami zmniejszył się, i Stephen zauważył wysoką dziewczynę w czerni. Stała sama przy stole i wyglądała na zagubioną.

Stephen Farraday miał świetną pamięć do twarzy. Tego samego ranka w metrze znalazł porzucone przez jakąś pasażerkę czasopismo - „Domowego plotkarza” - i przejrzał je z lekkim rozbawieniem. W gazecie było niewyraźne, rozmazane zdjęcie lady Alexandry Hayle, trzeciej córki lorda Kidderminstera, a pod nim plotkarski

artykułik o niej samej: ..... zawsze nieśmiała, skromna,

lubiąca zwierzęta lady Alexandra podjęła kurs zajęć domowych, jako że lady Kidderminster pragnie, by jej córki otrzymały doskonałe przygotowanie we wszystkich pracach związanych z prowadzeniem gospodarstwa”.

Koło stołu stała lady Alexandra. Z trafnością osoby nieśmiałej Stephen odgadł, że i ona nie grzeszy odwagą. Była najbardziej nijaką z pięciu córek i zawsze cierpiała na kompleks niższości. Otrzymała to samo wykształcenie i wychowanie, co jej siostry, ale nigdy nie osiągnęła ich savoir-faire, co bardzo irytowało matkę. „Sandra musi się starać - to wręcz niedorzeczne być tak niezgrabną, tak gaucfie.”

Stephen nie wiedział o tym, ale zauważył, że dziewczyna jest skępowana i nieszczęśliwa. Nagle poczuł pewność: to jego szansa! Bierz ją, ty głupcze! Teraz albo nigdy!

Przeszedł przez pokój do bufetu. Stał obok dziewczyny i wziął kanapkę. Potem odwrócił się i odezwał

nerwowo, z wysiłkiem (nie udawał, naprawdę był zdenerwowany!):

- Nie ma pani nic przeciwko rozmowie? Nie znam tu wielu osób i jak widzę, pani też nie. Proszę mnie nie odprawiać. W rzeczywistości jestem okropnie n-n-nieśmiały - jękanie się sprzed lat powróciło w najbardziej korzystnej chwili - i myślę, że pani też jest n-n-nieśmiała, prawda?

Dziewczyna zarumieniła się, otworzyła usta. Lecz tak jak zgadywał, nie potrafiła tego powiedzieć. Zbyt trudno było jej znaleźć słowa, by obwieścić: „Jestem córką gospodarzy”. Zamiast tego przyznała cicho:

- Rzeczywiście, jestem... nieśmiała. Zawsze byłam. Stephen podjął szybko:

- To okropne uczucie. Nie wiem, czy można się go pozbyć. Czasem mam zupełnie związany język.

- Ja też.

Mówił dalej, dość szybko, jękając się trochę. Zachowywał się chłopięco, błagalnie. Takie zachowanie cechowało go kilka lat temu, a teraz świadomie do niego powrócił. Był młody, naiwny, bezbronny.

Szybko nakierował rozmowę na sztuki teatralne, wspominał o jednej, która przyciągała sporo uwagi. Sandra widziała przedstawienie. Omówili je. Sztuka dotyczyła służb socjalnych i oboje pograżyli się w dyskusji o tych sprawach.

Stephen nie usiłował przedobrzyć. Dostrzegł lady Kidderminster - weszła do pokoju i szukała córki wzrokiem. Nie chciał, by w tej chwili go przedstawiono. Wymamrotał słowa pożegnania.

- Bardzo miło mi się z panią rozmawiało. Wprost nienawidziłem tego przyjęcia, póki pani nie znalazłem, Dziękuję.

Opuścił dom Kidderminsterów pełen radości. Wykorzystał szansę. Teraz należało ugruntować to, co zaczął.

Przez parę następnych dni krążył w sąsiedztwie domu Kidderminsterów. Raz Sandra wyszła z jedną, z sióstr. Innym razem była sama, lecz szła krokiem pośpiesznym, Potrząsnął głową. Niedobrze, najwyraźniej była w drodze na jakieś spotkanie. W tydzień po przyjęciu jego cierpliwość została nagrodzona. Rankiem wyszła na spacer z małym, czarnym terierem szkockim i wolno skierowała się w stronę Hyde Parku.

Pięć minut później młody człowiek idący spiesznie w przeciwnym kierunku zatrzymał się raptownie i stanął przed Sandra. Wykrzyknął pogodnie:

- No nie, ale szczęście! Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś panią spotkam.

Mówił z takim zadowoleniem, że zarumieniła się tylko trochę.

Pochylił się nad psem. - Fajny psiak. Jak się wabi? MacTavish. - Bardzo po szkocku.

Rozmawiali przez chwilę o psach. A potem Stephen rzucił z lekkim zakłopotaniem:

- Nie przedstawiłem się wtedy. Nazywam się Farra-day. Stephen Farraday. Zwyczajny członek parlamentu.

Spojrzał na nią pytająco i zobaczył, jak czerwieni się znowu, mówiąc:

- Alexandra Hayle.

Zareagował na to odpowiednio. Jak aktor. Zdziwienie, zrozumienie, przerażenie, zakłopotanie!

- Och, więc pani to,,. lady Alexandra Hayle... mój Boże! Musiała mnie pani uznać za kompletnego idiotę!

Mogła odpowiedzieć tylko jedno. Zarówno jej wychowanie, jak i wrodzona uprzejmość kazały jej uspokoić go, przywrócić mu pewność siebie.

Powinnam była wówczas panu powiedzieć.

- To ja powinienem był wiedzieć. Na pewno uznała mnie pani za kompletnego idiotę!

- Skąd miał pan wiedzieć? A w każdym razie, jakie to ma znaczenie? Proszę, panie Farraday, niech się pan tak nie przejmuje. Chodźmy nad staw. Proszę spojrzeć: MacTavish ciągnie.

Spotkał ją potem kilkakrotnie w Hyde Parku. Opowiedział jej o swoich ambicjach. Przedyskutowali tematy polityczne. Odkrył, że jest inteligentna, dobrze poinformowana i sympatyczna. Miała bystry rozum i bezstronny osąd. Zaprzyjaźnili się.

Kolejnym krokiem było zaproszenie go do domu Kidderminsterów na obiad i tańce. W ostatniej chwili zawiódł jeden z gości. Kiedy lady Kidderminster zamartwiała się, Sandra zaproponowała cicho:

- A może Stephen Farraday?

- Stephen Farraday?

- Był na twoim przyjęciu parę dni temu, a ja spotkałam go potem raz czy dwa.

Skonsultowano to z lordem Kidderminsterem, a on był jak najbardziej za popieraniem młodych ludzi stanowiących nadzieję brytyjskiej polityki.

- Błyskotliwy młody facet, naprawdę inteligentny. Nie słyszałem nic o jego rodzinie, ale wkrótce sam zdobędzie sławę.

Stephen stawiał się i sprawił się dzielnie.

- Pożyteczny młody człowiek - oceniła lady Kidderminster z nieświadomą arogancją.

Dwa miesiące później Stephen postanowił sprawdzić własne szczęście. Siedzieli nad stawem w Hyde Parku, MacTavish oparł łeb na stopie Sandry.

- Sandro, wiesz... musisz wiedzieć, że cię kocham. Chce, żebyś za mnie wyszła. Nie prosiłbym o to, gdybym nie wierzył, że pewnego dnia zdobędę sławę. Go-

raco w to wierze. Nie powstydzisz się swojego wyboru. Przysięgam.

- Nie wstydzę się - powiedziała.

- Więc zależy ci na mnie? - Nie wiedziałeś o tym?

- Miałem nadzieje, ale nie mogłem być pewny. Czy wiesz, że kocham cię od tamtej pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem cię po drugiej stronie pokoju, zebrałem całą swoją odwagę i podszedłem do ciebie? Nigdy wcześniej się tak nie bałem.

- Ja chyba też wtedy cię pokochałam... - powiedziała. Nie wszystko poszło gładko. Ciche oświadczenie San-

dry, że zamierza wyjść za Stephena Farradaya, wywołało natychmiastowy sprzeciw całej rodziny. Kim był? Co o nim wiedzieli?

Wobec lorda Kidderminstera Stephen był absolutnie uczciwy w kwestii swojej rodziny i pochodzenia. Odsunął od siebie przelotną myśl, że dla jego planów dobrze się złożyło, iż rodzice już nie żyli.

Lord Kidderminster powiedział żonie:

- Hm... mogło być gorzej.

Znał dobrze swoją córkę, wiedział, że jej ciche zachowanie kryje niezłomny upór. Jeśli zamierzała wyjść za tego faceta, wyjdzie za niego. Nigdy się nie podda.

- Ten człowiek ma przed sobą karierę. Przy odrobinie wsparcia zajdzie wysoko. Bóg wie, że przyda nam się trochę świeżej krwi. Poza tym wygląda na przyzwoitego gościa.

Lady Kidderminster zgodziła się niechętnie. To nie był jej ideał dobrego związku dla córki. Jednak Sandra sprawiała najwięcej kłopotów z całej rodziny. Susan miała urodę, Esther rozum. Diana, mądre dziecko, wyszła za młodego księcia Harwich - prawdziwe parli sezonu. Sandra miała o wiele mniej uroku, była nieśmiała...

a jeśli len młodzieniec miał przed sobą przyszłość, jak wszyscy najwyraźniej myśleli...

Poddała się, mrużąc:

- Oczywiście, trzeba będzie użyć wpływów...



Tak więc Alexandra Catherine Hayle wzięła Stephenę Leonarda Farradaya na dobre i na złe, w białych atłasach i brukselskich koronkach, z sześcioma druhnikami i dwoma malutkimi paziami oraz wszystkimi elementami arystokratycznego ślubu. W podróż poślubną pojechali do Włoch i wrócili do małego, czarującego domku w Westminster. Wkrótce potem zmarła matka chrzestna Sandry, zostawiając jej zachwycający wiejski dom z czasów królowej Anny. Młodej parze wszystko układało się dobrze. Stephen pograżył się w życiu parlamentu z nowym zapałem, a Sandra pomagała mu i pobudzała go do czynu, wspierając sercem i umysłem jego ambicje. Niekiedy Stephen uświadamiał sobie ze zdumieniem, jak szczerze obdarowała go fortuna. Związek z potężnymi Kiddenninsterami zapewniał mu błyskawiczną karierę. Własne zdolności i intelekt umocniły pozycję, na której znalazł się dzięki Opatrzności. Wierzył szczerze we własną siłę i był gotów nie oszczędzać się w pracy dla kraju.

Często, patrząc przez stół na żonę, odczuwał z zadowoleniem, jak idealną była towarzyszką - taką, o jakiej zawsze marzył. Podobała mu się czysta linia jej głowy i szyi, bezpośrednie spojrzenie piwnych oczu pod prostymi brwiami, dość wysokie, białe czoło i ślad arogancji w zarysie orlego nosa. Przypominała raczej konia wyścigowego - dobrze ułożonego i dumnego. Znalazł w niej idealną towarzyszkę; ich umysły zmierzały szybko do tych samych wniosków, Stephen Farraday, ten mały, posępny chłopiec, poradził sobie świetnie. Jego życie układało się dokładnie tak, jak to sobie zaplanował.

Miał dopiero trzydzieści dwa lata, a sukces już leżał w jego rękach.

W tym nastroju triumfalnego samozadowolenia wybrał się z żoną na dwa tygodnie do St Moritz i w hotelowym holu ujrzał Rosemary Barton.

Nigdy nic zrozumiał, co stało się z nim w tym momencie. Niczym za sprawą złośliwego bóstwa słowa, które powiedział kiedyś innej kobiecie, teraz stały się prawdą. Stojąc w drugim końcu holu zakochał się. Głęboko, przytłaczająco, i szaleńczo. Było to desperackie, bezmyślne, niedojrzałe, cię - i lecę zadurzenie, jakiego powinien był doświadczyć wiele lat temu i mieć już za sobą.

Zakładał zawsze, że nie należy do namiętnych mężczyzn. Jeden czy dwa przelotne romanse, flirt - to jak dotąd była dla niego „miłość”. Nie odczuł nigdy zmysłowych rozkoszy. Mówił sobie, że jest na to zbyt wymagający.

Gdyby spytano go, czy kocha żonę, odparłby „oczywiście”; lecz bardzo dobrze wiedział, że nie poślubiłby jej, gdyby była na przykład córką wiejskiego dżentelmena bez grosza przy duszy. Lubił ją, podziwiał i darzył głębokim przywiązaniem; był też jej szczerze wdzięczny za to, co przyniosła mu jej pozycja społeczna.

Nie spodziewał się, że kiedykolwiek zakocha się bez pamięci, nieszczęśliwie jak żółtodziób. Nie mógł myśleć o nikim innym oprócz Rosemary. O jej ślicznej, roześmianej twarzy, gęstych kasztanowych włosach, giętkiej, zmysłowej postaci. Nie mógł jeść ani spać. Wybrali się razem na narty. Tańczył z nią. I kiedy trzymał ją blisko, wiedział, że pragnie jej bardziej niż czegokolwiek na świecie. Więc ta rozpacz, ten ból pełen tęsknoty - to była miłość!

Nawet pochłonięty miłością błogosławił los za to, że obdarzył go naturą chłodną i spokojną.

Nikt nie

zgadnął ani nie wiedział, co czuł - prócz samej Rosemary.

Bartonowie wyjechali tydzień przed Farradayami. Stephen powiedział Sandrze, że St Moritz nie jest zbyt rozrywkowe. Czy nie powinni wrócić wcześniej do Londynu? Zgodziła się chętnie. Dwa tygodnie po powrocie został kochankiem Rosemary.

Dziwaczny, namiętny, gorączkowy okres - oderwany od rzeczywistości. Trwał... jak długo trwał? Najwyżej pół roku. Sześć miesięcy, w czasie których Stephen chodził jak zwykle do pracy, spotykał się ze swoimi wyborcami, zadawał pytania w parlamencie, przemawiał na najróżniejszych zebraniach, dyskutował z Sandrą o polityce i myślał tylko o jednym - o Rosemary.

Ich tajemne spotkania w małym mieszkanku, jej uroda, namiętne pieszczoty, którymi ją obsypywał, jej zmysłowe, kurczowo obejmujące go ramiona. Sen. Namiętny, szaleńczy sen.

A potem - przebudzenie. Nastąpiło bardzo szybko. Jak wyjście z tunelu w światło dnia. Jednego dnia był bezwolnym kochankiem, następnego - znów sobą, Stephenem Farradayem, który zastanawia się, że być może nic powinien tak często spotykać się z Rosemary. Niech to, podejmowali ogromne ryzyko. Gdyby Sandrą zaczęła coś podejrzewać... Spojrzał na nią ukradkiem przez stół, przy którym jedli śniadanie. Dzięki Bogu, nic nie podejrzewała. Nie miała zielonego pojęcia. A jednak usprawiedliwienia, którymi tłumaczył swoją nieobecność, często były szyte grubymi nićmi. Niektóre kobiety zaczęłyby domyślać się kłamstwa. Dobrze, że Sandra nie należała do podejrzliwych.

Odetchnął głęboko. Naprawdę, byli z Rosemary bardzo nieostrożni. Aż dziw, że jej mąż ani trochę nie

zmądrzał. Należał do tych głupich, ufnych facetów,

o wiele starszych od żony.

Ależ z niej było śliczne stworzenie... Pomyślał raptem o golfie. Świeże powietrze, wiatr nad piaszkowych wydm, włóczęga z kijami... Wymach

I czysty strzał na początek gry, uderzenie prosto do dołka. Mężczyźni. Mężczyźni w pumpach, palący fajki, Żadnej kobiecie nie wolno wejść na pole!

Odezwał się nagle do Sandry:

- Nie mogliśmy tak pojechać do Fairhaven? Podniosła wzrok, zaskoczona.

- Chcesz? Możesz wyjechać? - Tylko na parę dni. Chciałbym pograć w golfa. Zesztywniałem.

- Moglibyśmy wyjechać jutro, jeśli chcesz. Musielibyśmy przełożyć spotkanie z Astleyami i odwołać spotkanie we wtorek. A co z Lovatami?

- Och, to też przełożmy. Wymyślimy jakąś wymówkę. Chcę wyjechać.

W Fairhaven było spokojnie, z Sandrą i psami siedzącymi na tarasie lub w starym, otoczonym murem ogrodzie. Grał w golfa w Sandley Heath i włączył się wieczorami po farmie, z MacTavishem u nogi.

Czuł się jak ktoś wracający do zdrowia po ciężkiej chorobie.

Zmarszczył brwi, kiedy zobaczył list od Rosemary. Powiedział jej, żeby do niego nie pisała. Było to zbyt niebezpieczne. Nie dlatego, żeby Sandrą pytała kiedykolwiek, od kogo otrzymuje listy. Lecz mimo wszystko było to nierozsądne. Nie zawsze można ufać służbie.

Zabrał list do swojego gabinetu i z rozdrażnieniem rozdarł kopertę. Strony. Całe strony.

Kiedy je czytał, ogarnęło go dawne zauroczenie. Uwielbiała go, kochała bardziej niż kiedykolwiek, nie

mogła znieść tego, że nie ujrzy go przez całe pięć dni. Czy odczuwał to samo? Czy Tygrysek tęsknił za swoją Czarną Niewolnicą?

Uśmiechnął się z westchnieniem. Ten śmieszny żart... Zrodził się, kiedy kupił jej męski cętkowany szlafrok. Uwielbiała go. Tygrys mógł zmienić paski, ale on powiedział: „Tobie nie wolno zmienić skóry, kochanie”. A potem ona nazwała go Tygrysiem, a on ją - Czarną Pięknością.

Cholernie głupie. Tak, naprawdę cholernie głupie. Słodko z jej strony, że zapisała tyle kartek. Lecz nie powinna była tego robić. Niech to, muszą być ostrożni! Sandra nie należała do kobiet, które ścierpiałyby coś takiego. Gdyby domyśliła się czegoś... Listy były niebezpieczne. Tak powiedział Rosemary. Dlaczego nic mogła poczekać, aż wróci do miasta? Niech to, zobaczy ją za dwa lub trzy dni.

Następnego ranka na stole śniadaniowym leżał kolejny list. Tym razem Stephen zaklął w duchu. Wydawało mu się, że Sandra zatrzymała na nim wzrok przez kilka sekund. Lecz nic nie powiedziała. Dzięki Bogu nie była kobietą, która pyta o korespondencję męża.

Po śniadaniu pojechał samochodem do odległego o osiem mil miasteczka. Obawiał się dzwonić z wioski. Telefon odebrała Rosemary.

- Halo, to ty, Rosemary? Nie pisz więcej listów.

- Stephen, kochanie, jak cudownie usłyszeć twój głos!

- Bądź ostrożna. Nikt cię nie słyszy?

- Ależ skąd. Och, mój aniele, tak tęskniłam. A ty?

- Tak, oczywiście. Ale nie pisz więcej. To zbyt ryzykowne.

- Podobał ci się mój list? Czy czułeś, jakbym była przy tobie? Kochany, chcę być z tobą w każdej chwili. Ty też tak czujesz?

: - Tak. Ale nie mówmy o tym przez telefon.

- Jesteś śmiesznie ostrożny. Jakie to ma znaczenie?

- Myśl? również o tobie, Rosemary. Nie zniósłbym, gdybyś miała przeze mnie jakieś kłopoty.

- Nieważne, co stanie się ze mną. Wiesz o tym.

- Dla mnie to jest ważne, kochanie.

- Kiedy wracasz?

- We wtorek.

- Spotkamy się w naszym mieszkanku w środę, tak? - Tak... tak.

- Najdroższy, ledwie mogę się doczekać. Nie możesz znaleźć jakiejś wymówki i wrócić dzisiaj? Och, Stephen, przecież mógłbyś! Wymyśl coś z polityką albo podobnym głupstwem.

- Obawiam się, że to riie wchodzi w grę.

- Nie wierzę, że tęsknisz choć w połowie tak jak ja.

- Nonsens, oczywiście, że tęsknie.

Kiedy odwiesił słuchawkę, poczuł znużenie. Dlaczego kobiety tak upierały się, by postępować nieostrożnie? Muszą bardziej uważać w przyszłości. Powinni spotykać się rzadziej.

Potem sprawy stały się trudniejsze. On był zajęty, nawet bardzo zajęty. Nie mógł poświęcać Rosemary tyle czasu i ogromnie męczyło go, że ona nie jest w stanie tego zrozumieć. Tłumaczył jej, ale ona po prostu nie słuchała.

- Och, ta twoja głupia polityka! Jakby to było ważne!

- Ależ jest...

Nie rozumiała tego. Dla niej to nie miało znaczenia. Nie interesowała się jego pracą, ambicjami, karierą. Chciała jedynie, by zapewniał ją wciąż od nowa o swojej miłości.

- Tak jak zawsze? Powiedz mi jeszcze raz, że naprawdę mnie kochasz.

Pomyślał, że do tej pory mogła już to uznać za pewnik! Była ślicznym stworzeniem, naprawdę ślicznym... Kłopot polegał na tym, że nie można z nią było rozmawiać.

Za często się spotykali. Nie można utrzymać romansu w temperaturze wrzenia. Powinni spotykać się rzadziej

- zwolnić trochę.

Lecz to ją uraziło, i to bardzo. Teraz robiła mu ciągle wyrzuty.

- Nie kochasz mnie tak jak dawniej.

Musiał ją zapewniać, przysięgać, że nadal ją kocha. A ona stale powtarzała wszystko, co jej kiedyś powiedział.

- Pamiętasz, jak mówiłeś, że byłoby cudownie umrzeć razem? Zasnąć na zawsze w ramionach kochanki? Pamiętasz, jak mówiłeś, żebyśmy wzięli przyczepę i pojechali na pustynię? Tylko gwiazdy, wielbłądy, a my zapominamy o całym świecie?

Jakież głupstwa mówił zakochany mężczyzna! Wtedy nie brzmiały idiotycznie, ale kiedy przypominało się je na zimno! Czemu kobiety nie potrafiły zostawić pewnych rzeczy w spokoju? Mężczyzna nie lubi, jeśli stale przypomina mu się, jakiego zrobił z siebie osła.

Nagle zaczęła stawiać mu idiotyczne żądania. Czy nie mógłby wyjechać na południe Francji, a ona by do niego dojechała? Albo pojechać na Sycylię lub Korsykę

- gdzieś tam, gdzie nie można spotkać znajomych. Stephen stwierdził ponuro, że nie ma takiego miejsca na całym świecie. W najbardziej nieprawdopodobnych miejscach spotykało się nie widzianego od lat kumpla ze starej szkoły.

A potem powiedziała coś, co go przeraziło.

- Przecież to by nic miało żadnego znaczenia, prawda? Stał się czujny, uważny, nagle zimny w środku.

- - Co masz są myśli?

Uśmiechała się do niego tym samym czarującym uśmiechem, który niegdyś sprawił, że serce ścisnęło mu się i całe ciało zaczęło boleć z pragnienia. Teraz tylko stracił cierpliwość.

- Tygrysku, moje kochanie, myślę czasem, jacy z nas głupcy, że staramy się utrzymać wszystko w sekrecie. To nie jest tego warte. Wyjedźmy razem. Skończmy z udawaniem. George da mi rozwód, twoja żona rozwiedzie się z tobą i będziemy mogli się pobrać.

Tak po prostu! Zupełna katastrofa! Ruina! A ona tego nie rozumiała!

- Nie pozwoliłbym ci tego zrobić.

- Ale kochany, mnie na tym nie zależy. Nie przejmuj się konwenansami.

„Lecz ja tak. Ja tak” - pomyślał Stephen.

- Wierzę, że miłość jest najważniejszą rzeczą na świecie. Nieważne, co pomyślą o nas ludzie.

- Dla mnie to ma znaczenie, moja droga. Taki skandal oznaczałby koniec mojej kariery.

- I co z tego? Mógłbyś robić setki innych rzeczy,

- Nie bądź niemądra.

- A dlaczego w ogóle miałbyś coś robić? Wiesz, że ja mam mnóstwo pieniędzy. Własnych, nie George'a. Moglibyśmy zwiedzić cały świat, jeździć do najcudowniejszych i najmniej znanych miejsc, może nawet takich, gdzie nikogo jeszcze nie było. Albo popłynąć na jakąś wyspę na Pacyfiku. Pomyśl tylko: upalne słońce, błękitne morze i rafy koralowe.

Pomyślał. Jakaś południowa wysepka! Najgłupszy ze wszystkich pomysłów. Za kogo ona go uważała? Za rybaka?

Spojrzał na nią oczyma, z których opadły ostatnie łuski. Śliczna istota z kurzym mózdzkiem! Musiał oszaleć - kompletnie, całkowicie oszaleć. Ale teraz był

zdrowy. Trzeba wydostać się z tego bigosu. Jeśli me będzie ostrożny, ona zniszczy mu życie.

Powiedział to, co setki mężczyzn mówiło przed ni/n. Napisał, że muszą to skończyć. Tylko to było w porządku wobec niej. Nie mógł ryzykować, że sprowadzi na nią nieszczęście. Nie rozumiała... i tak dalej.

To już koniec - musiał zmusić ją, by to do niej dotarło.

Lecz na to właśnie się nie zgadzała. Nie można było tego tak łatwo zakończyć. Uwielbiała go, kochała bardziej niż kiedykolwiek przedtem, nie mogła bez niego żyć! Dla niej jedynym uczciwym rozwiązaniem było powiedzieć o wszystkim mężowi, a dla Stephena - wyznać prawdę? żonie! Pamiętał, jaki poczuł chłód, kiedy siedział z jej listem w ręku. Mała idiotka! Mała, cze-pialska idiotka! Pójdzie i wypaple wszystko George'owi Bartonowi, a George da jej rozwód i poda go jako współwinnego. Sandra rozwiedzie się z nim. Nie miał najmniejszych wątpliwości. Opowiadała mu kiedyś o swojej znajomej i stwierdziła z lekkim zdziwieniem:

- Lecz oczywiście kiedy odkryła, że on ma romans z inną kobietą, co innego mogła zrobić? Jedyne rozwieść się z nim.

Tak czułaby Sandra. Była dumna. Nie mogłaby dzielić się swoim mężem z inną.

Byłby skończony - Kidderminsterowie cofnęliby swoje potężne wsparcie. Nie mógłby wymazać takiego skandalu, nawet jeśli opinia publiczna była bardziej tolerancyjna niż dawniej. Na pewno nie w przypadku tak jawnego romansu! Koniec jego marzeń i ambicji. Wszystko zniszczone, stracone - ponieważ zadurzył się w głupiej kobiecie. Cieleca miłość, nie więcej. Cieleca miłość, która przyszła w najbardziej nieodpowiedniej chwili.

Straciłby wszystko, co osiągnął. Upadek! Hańba! Straciłby Sandrę...

I raptem z zaskoczeniem uświadomił sobie, że tego by najbardziej żałował. Straciłby Sandrę. Sandrę z jej kwadratowym, białym czołem i czystymi, piwnymi oczyma. Sandrę, swojego najdroższego przyjaciela i towarzysza, swoją arogancką, dumną, l ojalna Sandrę. Nie, nie mógł jej

stracić.. nie mógł... Wszystko, tylko nie to. Pot skropił mu czoło. Musi jakoś wydostać się z (ej)fcabafy. Zmusić Rosemary, by wysłuchała głosu rozsądku... Ale czy ona to zrobi?.' Rosemary i rozsądek nie pasowali do siebie. Przypuśmy, że powie jej, iż mimo wszystko kocha swoją żonę. Nie, nie uwierzy. Była taka głupia. Pustogłowa, czepiająca się jak rzep, zaborcza. I nadal go kochała - w tym była cała bieda.

Narosła w nim ślepa wściekłość. Jak, na litość boską, miał ją zmusić do milczenia? Zamknąć jej usta? Nie załatwiłoby tego nic prócz trucizny - pomyślał zawzięcie.

Przy jego dłoni zabzyczafa osa. Patrzył na nią z roztargnieniem. Wleciała do pełnego konfitur słoja z kryształowego szkła i próbowała się teraz wydostać.

Tak jak ja - pomyślał - złapała się na lep i teraz, biedaczka, nie może się uwolnić.

Lecz on, Stephen Farraday, jakoś odzyska wolność. Czas. Potrzeba mu czasu.

Rosemary leżała w łóżku z gripą. Przesłał jej konwencjonalne pozdrowienia i wielką wiązanek kwiatów. To pozwoliło mu trochę wychnąć. W następnym tygodniu zostali z Sandrą zaproszeni do Bartonów na urodzinowe przyjęcie Rosemary. Rosemary powiedziała mu: - Nie zrobię nic przed przyjęciem - byłoby to zbyt okrutne dla George'a. Tak bardzo się starał. Jest kochany. Kiedy przyjęcie się skończy, wyjaśnimy wszystko.

Przypuśmy, iż powie jej brutalnie, że z nimi koniec, że jemu przestało na niej zależeć. Wstrząsnął nim dreszcz. Nie, nie odważy się tego zrobić. Mogłaby w hysterii polecieć do George'a. Może nawet do Sandry. Niemal słyszał jej ptaczliwy, zdumiony głos. „Mówi, że mnie już nie kocha, ale ja wiem, że to nieprawda. Usiłuje być lojalny, rozegrać to uczciwie, ale na pewno zgodzisz się ze mną, że kiedy dwoje ludzi się kocha, szczerłość jest jedynym rozwiązaniem. Dlatego proszę cię, byś zwróciła mu wolność".

Ważnie taki przyprawiający o mdłości stek bzdur wyrzuciłaby z siebie. A Sandra, z twarzą dumną i pogardliwą, powiedziałałaby: „Może sobie wziąć swoją wolność!"

Nie uwierzyłaby - jakżeby mogła? Gdyby Rosemary pokazała jej listy - listy, które w swojej głupocie do niej pisał. Bóg jeden wie, co wypisywał. Dość, a nawet więcej, by przekonać Sandrę... Takich listów nigdy nie pisał do niej...

Musi coś wymyślić - jakiś sposób, by uciszyć Rosemary.

„Szkoda - pomyślał mściwie - że nie żyjemy w czasach Borgiów..."

Kieliszek zatrutego szampana był chyba jedyną rzeczą, która uciszyłaby Rosemary. Tak, właśnie tak pomyślał.

Cyjanek potasu w jej kieliszku, cyjanek potasu w jej wieczorowej torebce. Depresja pogrypowa. Nad stołem napotkał wzrok Sandry. Minał już niemal rok - a on jeszcze nie potrafił zapomnieć.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Alexandra Farraday

Sandra Farraday nie zapomniała o Rosemary Barton.

Myślała o niej właśnie w tej chwili - o tamtej nocy, restauracji i Rosemary osuniętej na blat stołu.

Pamiętała, jak gwałtownie wciągnęła oddech i podniósłszy wzrok ujrzała obserwującego ją uważnie Sle-phena...

Czy odczytał w jej oczach prawdę? Czy zobaczył nienawiść i przerażenie zmieszane z Iriumfem?

Minął już niemal rok - a wspomnienie było w jej pamięci tak wyraźne, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj! Rosemary oznacza pamięć. Jak okrutnie to było prawdziwe. Śmierć nie miała sensu, jeśli zmarły wciąż żył w myślach innych ludzi. To właśnie robiła Rosemary. Żyła w myślach Sandry... a może i Stephena? Nie była pewna, ale uznała to za prawdopodobne.

„Luxembourg” - znieawidzone miejsce z doskonałym jedzeniem i zwinną, błyskawiczną obsługą, z luksusowym wystrojem, pięknie położony. Nie można go było ominąć, gdyż zawsze ktoś cię tam zapraszał.

Chciałaby zapomnieć - lecz wszystko sprzysięgło się, by pamiętać. Nawet Fairhaven nie było już spokojne, odkąd George Barton zamieszkał w „Little Priors”.

Nie pasowało to do niego, ale George Barton zawsze był dziwakiem. Nie takiego sąsiada pragnęła. Jego obecność zepsuła urok i spokój Fairhaven. Aż do tego lata

było to miejsce odpoczynku, oddechu. Miejsce, gdzie byli ze Stephenem szczęśliwi - o ile kiedykolwiek byli?

Jej wargi zacisnęły się w wąską kreskę. Tak, tysiąc razy tak! Mogli być szczęśliwi, gdyby nie Rosemary. To Rosemary zniszczyła delikatny gmach wzajemnego zaufania i czułości, jaki zaczynali ze Stephenem wznosić. Jakiś szósty zmysł nakazał jej ukryć przed mężem własną namiętność i przywiązanie. Kochała go od dnia, kiedy podszedł do niej na przyjęciu, udając nieśmiałość, udając, że nie wie, kim ona jest.

Ponieważ wiedział. Nie potrafiła powiedzieć, kiedy po raz pierwszy to do niej dotarło. W jakiś czas po ich ślubie, kiedy objaśniał jej polityczne manipulacje niezbędne, by przeprowadzić



jakąś ustawę.

Pomyślała wówczas nagle: To mi coś przypomina. Co? Później uświadomiła sobie, że taką samą taktykę zastosował na przyjęciu u jej rodziców. Przyjęła to bez zdziwienia, jakby wiedziała o tym od dawna, tyle że dopiero teraz informacja przedostała się do jej świadomości.

Od dnia ich ślubu zdawała sobie sprawę, że Stephen nie kochał jej tak, jak ona jego. Uznała jednak za możliwe, że po prostu nie był zdolny do takiej miłości. Potęga uczucia była jej własnym, nieszczęsnym dziedzictwem. Troszczyć się o drugą osobę rozpaczliwie i intensywnie - jak rzadko zdarza się kobiecie. Z chęcią umarłaby dla niego; była gotowa dla niego kłamać, oszukiwać, cierpieć! Zamiast tego dumnie i z rezerwą zajęła miejsce, jakie jej wyznaczył. Pragnął jej współpracy, współczucia, praktycznej i intelektualnej pomocy. Chciał nie jej serca, lecz rozumu oraz materialnych korzyści, które dawało jej urodzenie.

Jednego nie zrobiłaby nigdy: nie wprawiłaby go w zakłopotanie, wyznając mu swoje poświęcenie. Nie

mógłby odplacić się jej niczym podobnym. Wierzyła szczerze, że ją lubi, że jej towarzystwo sprawia mu przyjemność. Widziała przed sobą przyszłość, w której jej brzemię stanie się o wiele lżejsze - przyszłość wypełnioną przyjaźnią i czułością.

Na swój sposób ją kocha - tak myślała. A potem zjawiała się Rosemary.

Zastanawiała się czasem, zaciskając boleśnie wargi, jakim cudem sądził, że ona o niczym nie wie. Wiedziała od pierwszej chwili - tam w St Moritz - kiedy po raz pierwszy dostrzegła, jak patrzył na tamtą kobietę. Wiedziała, którego dnia tamta została jego kochanką, Znała perfumy, jakich używała...

Mogła czytać w uprzejmej twarzy Stephena, w jego roztargnionym wzroku - znała jego wspomnienia, myśli. A myślał tylko o tamtej kobiecie, kobiecie, od której dopiero co wyszedł!

Może pewnego dnia zauroczenie minie...

Trudno było - pomyślała beznamiętnie - wytrzymać! podobne cierpienia. Znosić dzień po dniu piekielne męki, gdy nic nie mogło jej podtrzymać, prócz wiary w odwagę - prócz wrodzonej dumy. Nie mogła okazać, co czuła. Nigdy by tego nie zrobiła. Straciła na wadze, stała się chudsza, bledsza, kości twarzy i ramion przebijały się wyraźnie przez opinającą je ciasno skórę. Zmuszała się do jedzenia, ale nie mogła zmusić się do snu. Leżała w długie noce wpatrując się suchymi oczyma w ciemność. Uważała, że branie tabletek to słabość. Potrafiła wytrwać. Okazać, jak jest zraniona, błagać, protestować - to wszystko było jej wstrętne.

Miała jedną pociechę, skromną wprawdzie: że Stephen jej nie opuści. Oczywiście, ze względu na swoją karierę, a nie przywiązanie do żony. Lecz fakt pozostawał faktem. Nie chciał jej zostawić.

Co on w ogóle widział w tej dziewczynie? Była atrakcyjna, piękna - podobnie jak inne kobiety. Co więc zauroczyło go akurat w Rosemary Barton?

Była bezmyślna, głupia i - Sandra szczególnie liczyła na tę wadę - nie potrafiła nawet być zabawna. Gdyby miała dowcip, czar, prowokacyjne maniery - to trzymało mężczyznę przy kobiecie. Sandra pocieszała się myślą, że ich romans się skończy, że kiedyś Stephen się znudzi. Była przekonana, że najważniejszą rzeczą w jego życiu stanowi praca. Był przeznaczony do spraw wielkich i wiedział o tym. Miał umysł świętego polityka i uwielbiał z niego korzystać. To było wyznaczone mu zadanie. Na pewno, gdy zadurzenie zacznie mijać, zda sobie z tego sprawę?

Ani przez chwilę Sandra nie rozważała możliwości odejścia od męża. Nigdy jej to nie przyszło na myśl. Należała do niego ciałem i duszą, mógł ją wziąć lub porzucić. Był jej życiem, jej istnieniem. Miłość płonęła w niej z niezwykłą siłą.

W pewnym momencie nabrała nadziei. Pojechali do Fairhaven. Stephen zachowywał się niemal jak dawniej. Poczuli, że nagle odrodziła się między nimi dawna sympatia. Nadzieja w jej sercu rosła. Nadal jej pragnął, cieszył się jej towarzystwem, polegał na jej sądach. Na chwilę uciekł przed szponami tamtej kobiety. Był szczęśliwszy, bardziej naturalny. Nie padło między nimi żadne ostateczne słowo, a teraz Stephen odzyskiwał rozsądek. Gdyby tylko potrafił zdecydować się i zerwać z nią...

Polem wrócili do Londynu i jej mąż popadł w dawny nałóg. Wyglądał na zmęczonego, zmartwionego, chorego. Nie był w stanie skupić się na pracy.

Sądziła, że zna przyczynę. Rosemary chciała, by wyjechali razem... Decydował się, aby zrobić ten krok

- zerwać ze wszystkim, na czym najbardziej mu zależało, Głupota! Szaleństwo! Należał do ludzi, dla których praca jest zawsze na pierwszym miejscu - prawdziwy Brytyjczyk. Musiał o tym wiedzieć. Tak, lecz Rosemary była prześliczna... i bardzo głupia. Stephen nie byłby pierwszym mężczyzną, który porzucił karierę dla kobiety i potem tego żałował!

Na jakimś koktajlowym przyjęciu Sandra pochwyciła parę słów.

- Powiem George'owi... Musimy się zdecydować. JMStWkrótce potem Rosemary rozchorowała się na grypę?.

Sandra nabrała trochę nadziei. A gdyby dostała zapalenia płuc? Ludzie często chorowali na płuca po grypie. Jej młoda przyjaciółka zmarła na to zaledwie zeszłej zimy. Gdyby Rosemary umarła...

Nie usiłowała stłumić tej myśli - nie czuła do siebie odrazy. Miała w sobie dość okrucieństwa, by nienawidzić w spokoju, bez wyrzutów sumienia.

Nienawidziła Rosemary Barton. Gdyby myśli mogły zabijać, zabiłaby ją.

Lecz myśli nie zabijają...

Same myśli nie wystarczą...

Jak pięknie wyglądała Rosemary tamtego wieczoru w „Luxembourg”, ze srebrnym lisem zsuwającym się z jej ramion w damskiej przebieralni. Chudsza i bledsza po chorobie - delikatność czyniła jej urodę bardziej eteryczną. Stała przed lustrem i poprawiała makijaż...

Sandra, stojąc za nią, popatrzyła na ich wspólne odbicie. Jej własna twarz niczym wyrzeźbiona, chłodna, bez życia. Żadnych uczuć, można by rzec: zimna, twarda kobieta.

Rosemary odezwała się wówczas:

- Och, Sandra, czy zajmuje całe lustro? Już skończyłam. Wyczerpała mnie ta potworna grypa- Wyglądam okropnie. Ciągle jestem słaba i boli mnie głowa.

Sandra spytała cicho, troskliwie:

- Teraz też?

- Tylko trochę. Nie masz aspiryny?

- Mam faivre.

Otworzyła torebkę, wyjęła kapsułkę. Rosemary wzięła

&

- Schowam ją do torebki, na wszelki wypadek.

Operację obserwowała ta kompetentna, ciemnowłosa dziewczyna, sekretarka Bartona. Podeszła do lustra i musnęła twarz pudrem. Miła dziewczyna, niemal przystojna. Sandra miała wrażenie, że ona też nie lubi Rosemary.

Wyszły z przebieralni, Sandra pierwsza, potem Rosemary, na końcu panna Lessing... och, i oczywiście mata Iris, siostra Rosemary, ona też tam była. Bardzo podniecona; duże szare oczy i szkolna biała sukienka.

Przyłączyły się do mężczyzn w holu.

Nadszedł spieszenie główny kelner i poprowadził ich do stolika. Przeszli pod olbrzymim łukiem i nic, absolutnie nic nie ostrzegło jednej z kobiet, że nie wyjdzie już stąd żywa...

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

**George Barton**

Rosemary...

George Barton opuścił trzymaną w rękę szklankę i półprzytomnie zapatrzył się w ogień.

Wypił akurat tyle, by móc uzalać się nad samym sobą.

Ależ z niej była śliczna dziewczyna. Oszalał na jej punkcie. Wiedziała o tym, ale jak przypuszczał, śmiała się tylko.

Nawet kiedy po raz pierwszy poprosił ją o rękę, mówił bez przekonania.

Krzywił się i mamrotał niewyraźnie. Zachowywał się jak skończony kretyn.

- Wiesz sama, staruszko: w każdej chwili. Starczy, że powiesz słówko. Wiem, że to nie ma sensu. Nawet nie spojrzysz na mnie. Zawsze był ze mnie ostatni głupiec. Mam już nawet brzuszek. Ale wiesz, co czuję, co? To znaczy... zawsze tu jestem. Wiem, że nie mam najmniejszych szans, ale pomyślałem sobie, że chociaż ci o tym wspomnę.

A Rosemary roześmiała się i ucałowała go w czubek głowy.

- Jesteś słodki, George. Zapamiętam tę miłą propozycję, ale jak na razie nie wychodzę za nikogo.

A on odparł z powagą:

- Bardzo dobrze. Masz mnóstwo czasu, by się rozejrzeć. To twoje najlepsze lata.

Nigdy nie miał nadziei - żadnej nadziei.

Dlatego czuł się tak zaskoczony, oszołomiony, kiedy Rosemary powiedziała, że wyjdzie za niego.

Oczywiście nie kochała go. Dobrze to wiedział. Właściwie sama to przyznała.

- Rozumiesz, prawda? Chcę czuć się szczęśliwa, bezpieczna, mieć własne miejsce. Tak będę się czuła przy tobie. Mam dość miłości. Zawsze coś idzie nie tak i kończy się bałaganem. Lubię cię, George. Jesteś miły, zabawny i słodki, i uważasz, że ja jestem wspaniała. Tego właśnie chcę.

Odpowiedział ze spokojem:

- To wystarczy. Będziemy szczęśliwi jak para królewska.

Cóż, nie pomylił się zbytnio. Byli szczęśliwi. Zawsze zachowywał się z pokorą. Powtarzał sobie, że muszą być jakieś rafa. Rosemary nie mogła zadowól ić się takim nudnym facetem jak on. Zdarzały się pewne incydenty. Uczył sieje akceptować. Trzymał się twardo przekonania, że nie

potrwają długo. Rosemary zawsze do niego wróci. Jeśli tylko pogodzi się z jej romansami, wszystko będzie dobrze.

Gdyż lubiła go. Jej uczucie do niego było trwałe, niezmienne. Istniało poza jej flirtami i miłośkami.

Nauczył się to akceptować. Powiedział sobie, że nie można tego uniknąć przy kobiecie o wrażliwym usposobieniu i niezwyklej urodzie. Nie przewidział jedynie własnych reakcji.

Flirt z tym młodzieńcem i inne romanse nie miały znaczenia, lecz kiedy po raz pierwszy wpadł na ślad poważnego związku...

Dowiedział się szybko, wyczuł w niej zmianę. Rosnące podniecenie, rozkwitająca uroda, bijący od niej blask. A potem to, co podpowiadał mu instynkt, potwierdziły brzydkie, jednoznaczne fakty.

Wszedł któregoś dnia do jej pokoju, a ona odruchowo zakryła dłonią kartkę listu, który pisała. Wiedział. Pisała do kochanka.

Natychmiast, kiedy wyszła z pokoju, podszedł do biurka. Zabrała list ze sobą, ale bibułka była jeszcze wilgotna. Wziął ją i podszedł do okna. Odczytał rozrzucone litery postawione ręką Rosemary: „Mój najdroższy...”

Krew zatętniła mu w skroniach. Zrozumiał w tamtej chwili, co czuł Ottello. Rozsądne postanowienia? Akurat. Liczył się tylko gniew. Pragnął wydrzeć z niej życie! Chciał zamordować tamtego z zimną krwią. Kim on był? Może ten Browne? Czy ten sztywniak, Stephen Farraday? Obaj robili do niej cięzące oczy.

Dostrzegł swoje odbicie w szybie. Białka nabiegły mu krwią. Wyglądał, jakby miał dostać ataku serca.

Kiedy przypomniał to sobie, szklanka wypadła mu z dłoni. Jeszcze raz poczuł to dławiące uczucie, szum krwi w uszach. Jeszcze dziś...

Z trudem odepchnął od siebie wspomnienia. Nie wolno mu znowu przez to przechodzić. To przeszłość - zamknięta na zawsze. Już nigdy nie będzie tak cierpiał. Rosemary nie żyła. Była martwa i spokojna. On także odczuwał spokój. Koniec cierpień...

Śmieszne, że to właśnie oznaczała dla niego jej śmierć: spokój...

Nie powiedział o tym nawet Ruth. Dobra z niej dziewczyna. Mądra. Doprawdy nie wiedział, co począłby bez niej. Pomagała mu. Współczuła. I ani śladu seksu. Nie szalała za facetami jak Rosemary.,.

Rosemary... Siedziała przy okrągłym stoliku w restauracji. Zeszczupiała na twarzy po grypie, była troszkę osłabiona, lecz nadal śliczna, prześliczna. A zaledwie w godzinę potem...

Nie, nie będzie o tym rozmyślał. Nie teraz. Teraz pomyśli o swoim planie.

Pomówi 7, Race'em. Pokaże mu listy. Co Race wyczyta z tych listów? Iris wprawiły w osłupienie. Nie miała najmniejszego pojęcia.

Cóż, teraz on panował nad sytuacją. Ustalił wszystko.

Plan. Wszystko dopracowane. Data. Miejsce.

Drugi listopada. Zaduszki. To był świetny ruch. Oczywiście „Luxembourg”. Spróbuje zamówić ten sam stolik.

I ci sami goście. Anthony Browne, Stephen Farraday, Sandra Farraday. No i oczywiście Ruth, Iris i on sam. A jako nieparzystego, siódmego gościa zaprosił Race'a. Race'a, który miał być na tamym obiedzie.

Jedno miejsce zostanie puste.

Wspaniale!

Dramatycznie!

Powtórka zbrodni.

Właściwie nie całkiem powtórka...

Cofnął się myślami w przeszłość...

Urodziny Rosemary...

Rosemary, osunięta na stół, martwa...

## **KSIĘGA DRUGA ZADUSZKI**

### **„Rosemary znaczy pamięć”.**

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Lucilla Drake świergotała. Takiego słowa używała zawsze jej rodzina i naprawdę idealnie

oddawało ono dźwięk, jaki wydobywał się z ust Lucilli.

Tego ranka zajmowało ją wiele spraw - tak wiele, że nie potrafiła skupić się na żadnej z nich. Wracali do Londynu, a z tym wiązały się typowo domowe problemy: służba, gospodarstwo domowe, zapasy na zimę i tysiące pomniejszych kwestii. W tym zamieszaniu Lucilla niepokoiła się jeszcze wyglądem Ins.

- Doprawdy, kochanie, martwię się o ciebie. Jesteś taka blada, bez kolorów, jakbyś wcale nie spała. Spałaś? Jeśli nie, mam doskonale pigułki doktora Wylie'ego... a może doktora Gaskella? To przypomina mi, że powinnam osobiście wybrać się na zakupy. Albo służące zamawiają coś dla siebie, albo właściciel sklepu nas oszukuje. Całe paczki płatków mydlanych - a ja przecież nie pozwalam brać więcej niż trzy tygodniowo. A może środek uspokajający pomoże ci bardziej? Kiedy byłam młoda, podawano syrop Batona. I oczywiście szpinak. Powiem kucharce, żeby ugotowała szpinak na lunch.

Iris była zbyt ospała i zbyt przyzwyczajona do gadatliwości pani Drake, by pytać, dlaczego doktor Gaskell przypomniał ciotce o miejscowym sklepikarzu. Choć gdyby to zrobiła, otrzymałaby natychmiastową odpowiedź: „Ponieważ, kochanie, sklepikarz nazywa się Cran-ford”. Rozumowanie ciotki Lucilli dla niej samej było krystalicznie jasne.

Iris powiedziała tylko, zdobywając się na odrobinę wysiłku:

- Czuje się doskonale, ciociu.

- Masz podkrążone oczy - zauważyła pani Drake. - Przpracowujesz się.

- Przecież nie robiłam nic od tygodni.

- Tak ci się tylko wydaje. Ale zbyt dużo tenisa to meczące dla młodych dziewcząt. I według mnie, tutejsze powietrze osłabia organizm. Mieszkamy w kotlinie. Gdyby tylko George poradził się mnie, a nie tej dziewczyny!

- Jakiej dziewczyny? Si sJ-sw&a\s& a^tó? .

- No, tej swojej panny Lessing, o której ma tak wysokie mniemanie. Powiem ci otwarcie: ona nadaje si? do biura, ale wielkim błędem jest przenosić ją z właściwego jej miejsca. Zachęcać, by uważała się za członka rodziny. Nie to, żeby potrzebowała jakiegokolwiek zachęty.

- Ależ ciociu, Ruth praktycznie jest członkiem rodziny.

Pani Drake prychnęła z pogardą.

- Do tego zmierza, to całkiem jasne. Biedny George, jest jak dziecko, jeśli chodzi o kobiety. Ale to się jej nie uda, moja Iris. George'a trzeba chronić przed nim samym, i na twoim miejscu postawiłabym sprawę jasno: może i panna Lessing jest miła, ale małżeństwo nie wchodzi w grę.

Na chwilę Iris otrząsnęła się z apatii.

- Nigdy nie myślałam, że George mógłby poślubić Ruth.

- Nie widzisz, co dzieje się tuż pod twoim nosem, Iziecko, Oczywiście, zupełnie nie masz doświadczenia.

Iris uśmiechnęła się mimowolnie. Czasami ciotka >ywała bardzo zabawna.

- Ta młoda kobieta szuka sobie męża.

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- Czy ma jakieś znaczenie? Oczywiście.

- Czy tak nie byłoby lepiej?

Ciotka spojrzała na nią ze zdumieniem.

- To znaczy, lepiej dla George'a. Może i dobrze ją oceniasz. Chyba go lubi. I byłaby dla niego świetną żoną. Opiekowałyby się George'em.

Pani Drake prychnęła, a na jej życzliwej, przypominającej owcą twarzą pojawiło się uczucie bliskie oburzenia.

- George ma doskonałą opiekę. Czego jeszcze mógłby chcieć? Wyśmienite posiłki, naprawione ubranie. Miło mu mieć koło siebie atrakcyjną młodą dziewczynę, taką jak ty, a kiedy pewnego dnia wyjdiesz za męża, spodziewam się, że nadal będę potrafiła dopilnować, by czuł się wygodnie i zatroszczyć się o jego zdrowie. Równie dobrze albo nawet lepiej niż ta dziewczyna z biura. Co ona wie o prowadzeniu domu? Liczby, księgi rachunkowe, stenografia i maszynopisanie - na co to może przydać się w domu?

Iris uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, ale nie sprzeczała się. Myślała o gładkich, aksamitnie czarnych włosach Ruih, jej czystej cerze i figurze tak dobrze podkreślonej surowymi, szytymi na miarę strojami, które Rulh lubiła. Biedna ciotka, skupiona na wygodzie i prowadzeniu domu. Wszelkie myśli o miłości były tak od niej odległe, że prawdopodobnie zapomniiała, co to w ogóle znaczy. O ile kiedykolwiek wiedziała - pomyślała Iris, przypomniawszy sobie wuja.

Lucilla Drake była przyrodnią siostrą Hectora Marleś, pochodziła z pierwszego małżeństwa ojca. Po śmierci matki opiekowała się dużo młodszym bratem. Prowadziła ojcu dom i w końcu wiodła żywot samotnej starej panny. Zbliżała się do czterdziestki, kiedy poznała wielebnego Caleba Drake'a, który miał wówczas ponad pięćdziesiąt lat. Krótka była mężatką - zaledwie dwa lata. Została wdową z niemowlęciem. Macierzyństwo, które nadeszło późno i nieoczekiwanie, było najwspa-

nialszym doświadczeniem w jej życiu. Syn okazał się źródłem niepokoju, smutku i bezustannych wydatków -lecz nigdy jej nie rozczarował. Pani Drake mc dopatrywała się żadnych wad w Yictorze prócz jednej, wynikającej z życzliwości - jedynej słabości jego charakteru. Yictor za bardzo ufał ludziom - zbyt łatwo pozwalał sprowadzać się na złą drogę nieodpowiednim znajomym, ponieważ



sam im wierzył. Yictora oszukiwano. Yictora nabierano. Był zabawką podłych mężczyzn, którzy wykorzystywali jego niewinność. Miła, niezbyt mądra, owcza twarz Lucilli twardniała z uporem, kiedy krytykowano Yictora. Znała swojego syna. Był pełnym życia, kochanym chłopcem, co wykorzystywali jego tak zwani przyjaciele. Sama wiedziała najlepiej, jak bardzo Yictor nie lubi prosić jej o pieniądze. Lecz kiedy biedak znajdował się kłopotach, co innego mógł zrobić? Nie miał nikogo prócz niej.

Przyznawała, że zaproszenie George'a, by zamieszkała w jego domu i zaopiekowała się Iris, nadeszło jak dar Opatrzności, i to w chwili, kiedy naprawdę była zdesperowana i biedna. Zeszły rok przyniósł jej szczęście i poczucie komfortu. Żaden człowiek nie potrafiłby patrzeć życzliwie, jak tego wszystkiego pozbawia go jakaś młoda parweniuszka, uosobienie nowoczesnej wydajności i odpowiedzialności, która i tak - jak przekonywała samą siebie Lucilla - poślubiłaby George'a wyłącznie dla pieniędzy. Oczywiście, że o to jej chodziło! Wygodny dom i bogaty, pobłażliwy mąż. Nikt nie wytłumaczyłby ciotce Lucilli, która miała swoje lata, że jakakolwiek młoda kobieta naprawdę lubi zarabiać na swoje utrzymanie! Dziewczyny nie zmieniły się - wolały zmusić mężczyznę, by zapewnił im wygodę. Ta Ruth Lessing była mądra, krok po kroku zdobywała pozycje osoby zaufanej, pomagającej George'owi umeblować

dom, niezastąpionej - lecz, dzięki Bogu, przynajmniej jedna osoba wiedziała, do czego Ruth naprawdę dąży! Lucilla Drake kilkakrotnie pokiwała głową, aż zadrżał jej podbródek, uniosła w górę brwi z wyrazem najwyższej ludzkiej mądrości i porzuciła ten temat dla innego, równie przyjemnego i prawdopodobnie bardziej naglącego.

- Nic mogę się zdecydować, co zrobić z kocami, kochanie. Widzisz, nie mogę ustalić z George'em, czy nie wrócimy tu już aż do przyszłej wiosny, czy też on będzie przyjeżdżał na weekend. Nie chce mi powiedzieć.

- Prawdopodobnie sam nie wie - Iris usiłowała skupić się na kwestii zupełnie nieistotnej. - Przy ładnej pogodzie można by tu czasem przyjechać. Choć ja sama nie mam na to szczególnej ochoty. Ale będziemy mieli dokąd się wybrać, jeśli zechcemy wyjechać z miasta.

- No tak, kochanie, ale ja wolałabym o tym wiedzieć. Bo, widzisz, jeśli nie wrócimy przed następną wiosną, trzeba by poskładać koce i włożyć między nie kulki przeciw molom. A jeżeli przyjedziemy, kulki nie są konieczne, bo koców będziemy używać. W dodatku środek przeciw molom nie pachnie zbyt przyjemnie.

- Więc nie wkładaj ich.

- No tak, ale lato było gorące i lata mnóstwo moli. Wszyscy mówią, że tego roku będzie ich zatrzęsienie. Tak samo jak os. Hawkins mówił mi wczoraj, że tego lata znalazł aż trzydzieści gniazd. Pomyśl tylko: trzydzieści...

Iris pomyślała o Hawkinsie jak wyrusza w półmroku z cyjankiem w rękę... Cyjanek... Rosemary... Dlaczego wszystko sprowadzało się właśnie do tego?

Cieniutki głosik ciotki Lucilli brzęczał dalej; tym razem pani Drake omawiała inny temat:

- ...i czy powinno się odesłać srebra do banku? Lady Alexandra mówi, że było dużo włamań. No, my oczy-

wiecie mamy mocne okiennice... Nie podoba mi się to, co zrobiła ze swoimi włosami, jej twarz jest przez to taka surowa... ale pewnie ona sama jest taka. I w dodatku nerwowa. Każdy jest, w dzisiejszych czasach. Kiedy Ja byłam młoda, ludzie nie wiedzieli, co to nerwy. To przypomina mi, że George nie podoba mi się ostatnio. Zastanawiam się, czy nie złapie grypy. Parę razy wydawało mi się, że ma gorączkę. Choć może martwi się interesami. Wygląda zupełnie, jakby go coś trapiło.

Iris wzdrygnęła się, a Lucilla Drake wykrzyknęła z triumfem:

- Widzisz, mówiłam, że jest ci zimno!

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Szkoda, że lu przyjechali.

Sandra Farraday wymówiła te słowa z tak niezwykłą u niej zawziętością, że mąż obejrzał się i spojrział na nią ze zdumieniem. Zupełnie jakby jego własne myśli ubrano w słowa - myśli, które tak bardzo usiłował ukryć. Więc Sandra czuła to samo, co on? Ona także miała wrażenie, że Fairhaven zostało skażone, że naruszono jego spokój? A wszystko przez nowych sąsiadów mieszkających mile dalej, po drugiej stronie parku. Odezwał się impulsywnie, ubierając swoje zaskoczenie w słowa:

- Nie wiedziałem, że czujesz to samo.

Wydało mu się, że z miejsca na powrót zamknęła się w sobie.

- Sąsiedzi na wsi są bardzo ważni. Trzeba się z nimi zaprzyjaźnić albo pokłócić; nie można, jak w Londynie, utrzymywać przyjacielskich stosunków na odległość.

- Rzeczywiście - przyznał Stephen - nie można.

- A teraz zmuszono nas, żebyśmy przyszli na to niezwykle przyjęcie.

Oboje zamilkli, przypominając sobie scenę lunchu. George Barton był przyjacielski, a nawet wylewny; oboje też zdali sobie sprawę z jego skrywanego podniecenia. W tamtych dniach George Barton zachowywał się naprawdę dziwacznie. Stephen nie dostrzegał go w czasach przed śmiercią Rosemary. Stał gdzieś w tle - życzliwy, nudny mąż młodej i pięknej kobiety. Stephen nigdy nie odczuwał niepokoju na myśl, że oszukuje George'a. Taki mąż urodził się po to, by go zdradzano. Był dużo starszy, pozbawiony zalet niezbędnych, by utrzymać przy sobie atrakcyjną i kapryśną żonę.

Czy George dał się nabrać? Stephen nie sądził. Przypuszczał, że George dobrze znał Rosemary. Kochał ją i z pokorą przyjmował fakt, że udaje mu się utrzymać jej zainteresowanie.

Mimo to musiał cierpieć...

W miesiącach po tragedii rzadko go widywali. Dopiero gdy nagle wystąpił jako ich sąsiad z „Little Priors”, wkroczył powtórnie w ich życie i od razu, jak uznał Stephen, wydał się inny.

Bardziej ożywiony i stanowczy. J zdecydowanie... dziwaczny.

Dziś zachował się bardzo osobliwie. To nieoczekiwane zaproszenie. Przyjęcie z okazji osiemnastych urodzin Ins. Miał szczerą nadzieję, że oboje przyjdą, I San-dra, i Stephen okazali im tyle życzliwości.

Sandra odparła szybko, że oczywiście, będą zachwyceni. Po powrocie do Londynu Stephen będzie dość zajęty, ona sama miała mnóstwo męczących obowiązków, ale prawdopodobnie dadzą radę przyjść.

- Ustalmy wiec dzień, dobrze?

Twarz George'a - zaczerwieniona, uśmiechnięta, uparta.

- Myślałem o którymś wieczorze za dwa tygodnie

- środa lub czwartek? Czwartek to drugi listopada. Pasuje wam? Możemy ustalić dzień, który bardziej wam odpowiada.

To było zaproszenie, którego nie było jak odrzucić

- co za brak savoir-faire. Stephen dostrzegł, że Iris zarumieniła się i wyglądała na zmieszaną. Sandra zareagowała idealnie. Z uśmiechem poddała się nieuniknionemu i powiedziała, że czwartek drugiego listopada bardzo im odpowiada.

Ujawniając raptownie swoje odczucia, Stephen powiedział ostro:

- Nie musimy iść.

Sandra zwróciła lekko głowę w jego stronę. Jej twarz wyrażała troskę i zamyślenie.

- Tak sądzisz?

- Łatwo wymyślić jakąś wymówkę.

- Będzie nalegał, żebyśmy przyszli innego dnia albo zmienili datę przyjęcia. Najwyraźniej bardzo się... uparł, żebyśmy przyszli.

- Nie rozumiem, dlaczego. To przyjęcie Iris i nie wierze, że tak bardzo zależy jej na naszym

towarzystwie.

- Nie... nie - powiedziała Sandra z namysłem. A potem spytała: - Wiesz, gdzie jest to przyjęcie?

- Nie.

- W restauracji „Luxembourg”.

Zaskoczenie niemal odebrało mu mowę. Poczuł, jak jego policzki pokrywają się rumieńcem. Zebrał siły i spojrzał jej w oczy. Czy wyobraził to sobie, czy jej spokojne spojrzenie skrywało ukryte znaczenie?

- Ależ to niedorzeczne! - wykrzyknął, usiłując gwałtowną reakcją pokryć własne odczucia. - Restauracja „Luxembourg”, żeby to wszystko ożyło. Ten człowiek oszalał.

- Zastanawiałam się nad tym - przyznała Sandra.

- Ale w takim wypadku musimy odmówić. To wszystko było potwornie nieprzyjemne. Pamiętasz dziennikarzy i zdjęcia w gazetach.

- Pamiętam nieprzyjemności - powiedziała Sandra.

- Czy on nie wie, jak bardzo będzie to dla nas niemiłe?

- Ma swoje powody. Przedstawił mi je.

- Jakie powody?

Poczuł wdzięczność, że nie spojrzała na niego, mówiąc:

- Wziął mnie na stronę po lunchu. Powiedział, że chciałby się wytłumaczyć. Dziewczyna, to znaczy Iris, nie otrząsnęła się do końca po szoku wywołanym śmiercią siostry.

Umilkła i Stephen zgodził się niechętnie:

- Cóż, mogę uznać, że to prawda... Iris nie wygląda zbyt dobrze. W czasie lunchu pomyślałem sobie, że musi być chora.

- Tak. też to zauważyłam. Choć w sumie ostatnio wygląda na zdrową i wesołą. Powtarzam ci tylko, co powiedział George Barton. Podobno Iris wciąż omija „Luxembourg”, jak tylko może.

- Nie dziwie się.

- Ale według niego to niedobrze. Najwyraźniej skonsultował się ze specjalistą od nerwów, jednym z lych nowoczesnych lekarzy. Jego rada brzmiała, że po każdym szoku należy stawić czoła problemowi, a nie go unikać. Zasada jest chyba taka, jak ze zmuszaniem pilota do latania natychmiast

po kraksie.

,tw - Czy ten specjalista sugeruje kolejne samobójstwo? Sandra odparła cicho:

- Twierdzi, że należy pokonać skojarzenia związane z restauracją. W końcu jest to tylko restauracja. Zaproponował zwyczajne, miłe przyjęcie z tymi samymi gośćmi, o ile to możliwe.

- Wręcz zachwycająca przyjemność dla gości!

- Tak bardzo ci to przeszkadza, Stephen? Odczuł nagłą panikę. Powiedział pośpiesznie:

- Oczywiście, że nie. Uznałem to po prostu za dość makabryczny pomysł. Osobiście nie mam nic przeciwko... Tak naprawdę myślałem o tobie. Jeśli tobie to nie przeszkadza...

Przerwała mu:

- Przeszkadza. I to bardzo. Ale sposób, w jaki przedstawił to George, czyni odmowę bardzo trudną. W końcu od tamtej pory często bywałam w „Luxembourg”, podobnie jak ty. Wciąż nas tam zapraszają.

- Ale nie w takich okolicznościach.

- Nie.

- Masz rację, trudno odmówić - zauważył Stephen. - A jeśli odwołamy spotkanie, zaproszenie zostanie powtórzone kiedy indziej. Lecz nie ma powodu, byś ty miała to znosić. Pójdę sam, a ty zrezygnujesz w ostatniej chwili - ból głowy, przeziębienie czy coś w tym stylu.

Zauważył, że uniosła w górę podbródek.

- To byłoby tchórzostwem. Nie, Stephen, jeśli ty pójdziesz, ja pójde również. Mimo wszystko - położyła mu dłoń na ramieniu - niezależnie, jak niewiele znaczy nasze małżeństwo, powinno przynajmniej oznaczać dzielenie się kłopotami.

Wpatrywał się w nią, przytłoczony jednym znaczącym zwrotem, który nasunął się jej tak łatwo, jakby wspominała od dawna znany i niezbyt ważny szczegół.

Odzyskawszy równowagę, odpowiedział:

- Dlaczego to powiedziałaś? „Jak niewiele znaczy nasze małżeństwo”?

Spojrzała na niego spokojnie, szczerze, prosto w oczy.

- Czy nie jest to prawdą?

- Nie, po tysiącokroć nie. Nasze małżeństwo jest dla mnie wszystkim.

Uśmiechnęła się.

- Przypuszczam, że tak - w pewnym sensie. Stanowimy dobry zespół. Ciągniemy to razem z zadowolającym wynikiem.

- Nie o to mi chodziło - oddychał nierówno. Obama dłońmi chwycił jej rękę i przytrzymał blisko. - Sandra, czy nie wiesz, że jesteś dla mnie całym światem?

I nagle zrozumiała to. Było to niesamowite - niespodziewane, ale prawdziwe.

Znalazła się w jego ramionach; trzymał ją blisko, całował, jękając się plótł coś nieskładnie,

- Sandra... Sandra... najdroższa. Kocham cię... Tak się bałem... tak bardzo się bałem, że cię stracę.

Usłyszała swoje własne słowa:

- Przez Rosemary?

- Tak - puścił ją, cofnął się, a jego twarz wydawała się aż nedorzecznie przerażona.

- Wiedziałaś... o Rosemary?

- Oczywiście. Od początku.

- I rozumiesz? Potrząsnęła przecząco głową.

0:1 - Nie, nie rozumiem. I nie sędzę, że kiedykolwiek zrozumiem. Kochałeś ją?

- Właściwie nie. To ciebie kochałem.

<r& Poczwała nagle ukłucie goryczy. Zacytowała:

- „Od pierwszej chwili, kiedy ujrzałeś mnie po drugiej stronie pokoju”? Nie powtarzaj tego kłamstwa. Bo to jest kłamstwo!

Nie zaskoczył go ten raptowny atak. Wydawało się, że rozważa jej słowa z zastanowieniem.

- Tak, to było kłamstwo... i jednocześnie, w dziwny sposób, nie. Zaczynam wierzyć, że była to prawda. Och, spróbuj zrozumieć, Sandro. Znasz ludzi, którzy zawsze mają dobry i szlachetny powód, by przykryć własne podłe czyny. Ludzi, którzy „muszą być uczciwi”, kiedy chcą być niemili, którzy „uznają za swój obowiązek powtórzyć...”, którzy są takimi hipokrytami wobec samych siebie, że idą przez życie do końca przekonani, iż każdy podły i brutalny czyn popełnili zupełnie bezinteresownie! Spróbuj zrozumieć, że może istnieć również ich przeciwieństwo. Ludzie, którzy są tak cyniczni, tak bardzo nie ufają sobie i życiu, że wierzą jedynie we własną złą wolę. Byłaś kobietą, jakiej potrzebowałem.

Taka jest prawda. I szczerze wierze, patrząc teraz w przeszłość, że gdyby to nie była prawda, nigdy bym przez to nie przeszedł. Odezwała się gorzko:

- Nie kochałeś mnie.

- Nic. Nigdy nie byłem zakochany. Byłem zagłodzonym, bezpłciowym stworzeniem, dumnym - tak, byłem dumny - z własnej wybrednej i oziębłej natury. A potem naprawdę się zakochałem „z drugiego końca pokoju”. Głupia, raptowna, szczenięca miłość. Coś jak letnia burza z piorunami, krótka, nierzeczywista, trwająca chwilę.

Po chwili dodał:

- Prawdziwa „historia głupca, pełna wściekłości i gniewu, lecz bez znaczenia”.

Umilkł, po czym podjął dalej:

- To tu, w Fairhaven, oprzytomniałem i uświadomiłem sobie prawdę.

- Jaką prawdę?

- Jedyną rzeczą, która liczyła się w moim życiu, byłaś ty... i utrzymanie twojej miłości.

- Gdybym tylko wiedziała...

- O czym myślałaś?

- Byłam pewna, że chcesz z nią wyjechać.

- Z Rosemary - roześmiał się. - To byłby prawdziwie dożywotni wyrok!

- Czy nie chciała, żebyś z nią wyjechał?

- Chciała.

- I co się stało?

Stephen wciągnął głęboko powietrze. Wszystko wróciło. Znowu stali twarzą w twarz z tym niepojętym zagrożeniem. Powiedział:

- „Luxembourg”.

Oboje milczeli, widząc - wiedzieli o tym - to samo. Siną twarz ślicznej niegdyś kobiety.

Wpatrywali się w martwą, a potem podnieśli wzrok, by natrafić na spojrzenie drugiego... Stephen przerwał cisze.

- Zapomnij o tym, Sandro. Na miłość boską, zapomnijmy wreszcie!

- To nie ma sensu. Nie będzie nam dane zapomnieć. Umilkła. Po chwili odezwała się ponownie:

-g- - Co zrobimy?

- To, co właśnie powiedziałaś. Stawimy temu czoła. Razem. Pójdziemy na to przerażające przyjęcie, niezależnie od tego, jaki jest jego powód.

- Nie wierzysz w to, co George Barton powiedział

o Iris?

- Nie. A ty?

- To może być prawda. Lecz i tak nie jest to prawdziwy powód.

- A co nim jest?

- Nie wiem, Stephen, ale boję się.

- George'a Bartona?

- Tak. Myślę, że on... wie. Stephen powiedział ostro:

- Co?

Odwróciła wolno głowę, aż napotkała jego wzrok. Odezwała się szeptem:

- Nie wolno nam się bać. Potrzeba nam odwagi -całej odwagi, jaka jest na świecie. Będiesz wielkim człowiekiem, Stephen. Takim, jakiego potrzebuje świat.

I nic ci w tym nie przeszkodzi. Jestem twoją żoną i kocham cię.

- Jak myślisz, o co chodzi z tym przyjęciem?

- Myślę, że to pułapka. Ciągnął z trudem:

- I my w nią wejdziemy?

- Nie stać nas na to, by okazać, że wiemy o niej.

- To prawda.

Nagle Sandra odrzuciła w tył głowę i roześmiała się. Powiedziała:

- Przegrasz, Rosemary. Nie uda ci się wygrać. Złapał ją za ramię.

- Uciszyć się, Sandro. Rosemary nie żyje.



- Naprawdę? Czasami wydaje się bardzo żywa...

## ROZDZIAŁ TRZECI

W połowie drogi przez park Iris odezwała się:

- George, nie pogniewasz się, jeśli nie wrócę z tobą? Mam ochotę na spacer. Pomyślałam, że pójdę na Friar's Hill i zejdę przez las. Przez cały dzień okropnie bolała mnie głowa,

- Biedactwo. Idź, oczywiście. Nie wybiorę się z tobą. Dziś po południu spodziewam się gościa i nie wiem, o której dokładnie się zjawi.

- Dobrze. Do zobaczenia na herbacie. Odwróciła się gwałtownie i poszła w prawo, w stronę schodzącego ze zbocza pasma świerków.

Kiedy wyłoniła się z lasu na szczycie wzgórza, odetchnęła głęboko. Dzień był wilgotny, typowy dla października. Krople dżdżu pokryły liście drzew, a szare chmury wisiały nisko, zapowiadając kolejny deszcz. W rzeczywistości tu na górze nie oddychało się łatwiej niż w dolinie, ale Iris lak właśnie się czuła.

Usiadła na pniu powalonego drzewa i zapatrzyła się w dół doliny, gdzie „Little Priors” usadowiło się skromnie w zadrzewionym zagłębieniu. Dalej na prawo połyskiwał czerwoną cegłą dwór w Fairhaven.

Iris patrzyła posępnie na krajobraz, opierając podbródek na dłoni.

Cichy odgłos za nią był niewiele głośniejszy od szelestu opadających liści, lecz ona gwałtownie odwróciła głowę. Gałęzie rozchyliły się i spomiędzy nich wyszedł Anthony Browne.

Wykrzyknęła, na pół ze złością:

- Tony! Dlaczego zawsze musisz zjawiać się jak... jak demon w pantomimie?

Anthony opadł na ziemię koło niej. Wyjął cygarniczkę, wyciągnął w jej stronę, a kiedy potrząsnęła przecząco głową, sam wziął papierosa i zapalił. Potem, zaciągając się, odparł:

- To dlatego, że jestem tym, kogo gazety nazywają Tajemniczym Człowiekiem. Lubię pojawiać się znikąd.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Dzięki doskonałej lornetce, Dowiedziałem się, że jadłaś lunch z Farradayami i szpiegowałem cię ze zbocza od chwili, kiedy od nich wyszłaś.

- Dlaczego nie przychodzisz do nas jak zwykły człowiek?

- Bo nie jestem zwykłym człowiekiem - odparł Anthony, udając zdumienie. - Jestem bardzo niezwykły.

- No jasne.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, a potem spytał:

- Czy coś się stało?

- Nie, oczywiście, że nie. Przynajmniej... - umilkła. Anthony powiedział pytającym tonem:

- Przynajmniej? Wciągnęła głęboko oddech.

- Mam dość mieszkania tutaj. Nienawidzę tego miejsca. Chcę wrócić do Londynu.

- Wkrótce przecież wracasz, prawda?

- W przyszłym tygodniu.

- Wiec urządziliście pożegnalne przyjęcie u Farradayów?

- To nie było przyjęcie. Tylko oni i ich stary kuzyn.

- Czy ty ich lubisz, Iris?

- Nie wiem. Chyba nie za bardzo - choć nie powinnam tak mówić, bo byli dla nas naprawdę bardzo mili.

- A czy sądzisz, że oni cię lubią?

- Nie. Myślę, że nas nienawidzą.

- To interesujące.

-i - Doprawdy? \*· =^r-r

-y - Och, nie nienawiść - o ile to prawda. Chodziło

mi o słowo „nas”. Pytałem wyłącznie o ciebie.

- Ach, rozumiem... Myślę, że mnie lubią, w negatywnym sensie. Natomiast nas jako rodziny żyjącej obok nie znoszą. Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi - przyjaźnili się tylko z Rosemary.

- Tak - zgodził się Anthony -jak mówisz, przyjaźnili się z Rosemary, choć nie wyobrażam sobie, żeby Sandra Farraday i Rosemary były bliskimi przyjaciółkami, co?

- Nie - powiedziała Iris. Wyglądała na lekko przestraszoną, ale Anthony palił dalej spokojnie. Po chwili powiedział:

-% - Wiesz, co najbardziej uderza mnie w Farradayach?,-, - Co?

- Właśnie to - że są Farradayami. Zawsze tak o nich myślę. Nie o Stephenie i Sandrze, dwóch osobach połączonych za zgodą państwa i Kościoła, ale jako o skończonej całości. To rzadsze, niż mogłabyś przypuszczać. Są dwojgiem ludzi o wspólnym celu, takim samym stylu życia, identycznych nadziejach, obawach i przekonaniach. Dziwne jest to, że w rzeczywistości mają zupełnie odmienne charaktery. Stephen Farraday jest człowiekiem o wielkim intelekcie, bardzo wrażliwym na opinie innych, kompletnie niedowierającym własnym siłom i raczej pozbawionym odwagi moralnej. 2 drugiej strony -Sandra: ma ograniczony, średniowieczny umysł i jest zdolna do fanatycznego poświęcenia, odważna aż do granic lekkomyślności.

- Mnie zawsze wydawał się pompatyczny i głupi -rzuciła Iris.

- Wcale nie jest głupi. To po prostu jeden z nieszczęśliwych ludzi sukcesu.

- Nieszczęśliwych?

- Większość z nich nie jest szczęśliwa. Dlatego odnieśli sukces. Musieli upewnić się co do swojej wartości osiągając coś, co świat zauważy.

- Masz niezwykle poglądy, Anthony.

- Odkryjesz, że są zgodne z prawdą, jeśli tylko się zastanowisz. Ludzie szczęśliwi to nieudacznicy, bo są w tak dobrych stosunkach z samymi sobą, że niczym się nie przejmują. Tak jak ja. Zazwyczaj też łatwo z nimi żyć - to znów jak ze mną.

- Masz bardzo dobre mniemanie o sobie.

- Tylko zwracam twoją uwagę na moje zalety, na wypadek, gdybyś ich nie zauważyła.

Iris roześmiała się. Poprawił się jej nastrój. Opuściło ją przygnębienie i strach. Spojrzała na zegarek.

- Chodź do domu na herbatę i obdziel kilka osób towarzystwem swej wyjątkowo sympatycznej osoby -zapropnowała.

Anthony potrząsnął głową.

- Nie dziś. Muszę wracać.

Iris zwróciła się do niego ostro:

- Dlaczego nigdy nie przychodzisz do domu? Musi być jakiś powód.

Anthony wzruszył ramionami.

- Możesz założyć, że dość specyficznie pojmuję gościnność. Twój szwagier mnie nie lubi i wyłożył to całkiem jasno.

- Och, nie przejmuj się George<sup>m</sup>, Jeśli zapraszam cię ja i ciotka Lucilla - kochana z niej staruszka, na pewno ją polubisz.

- Na pewno, ale wstrzymują mnie moje obiekcje.

- Przychodziłeś za czasów Rosemary.

- To było coś zupełnie innego.

Iris miała wrażenie, że jej serca dotknęła zimna jak lód dłoń.

- Po co tu przyszedłeś? - spytała. - Masz interesy w tej części świata? 's\$&>&3i\$

- Mam. Są bardzo ważne i dotyczą ciebie. Przyjechałem zadać ci pewne pytanie.

Zimna dłoń zniknęła. Zastąpiło ją delikatne drżenie, dreszcz podniecenia znany kobietom od niepamiętnych czasów, Iris przybrała taki sam obojętny, pytający wyraz jak jej prababka na chwilę przed powiedzeniem: „Och, panie X, zupełnie się nie spodziewałam!”

- Tak? - zwróciła niewiarygodnie niewinną twarz ku Anthony'emu.

Patrzył na nią wzrokiem bardzo poważnym, niemal srogim. \* - Odpowiedz mi szczerze, Iris. Czy ufasz mi?

Zaskoczył ją. Nie tego oczekiwała. Zauważył to.; - Nie myślałaś, że to chce powiedzieć? Ale to bardzo ważne, Iris. Dla mnie to najważniejsze pytanie w świecie. Zapytam jeszcze raz. Czy mi ufasz?

Zawahała się zaledwie przez sekundę, a potem odpowiedziała, spuszczać wzrok:

- Tak.

- W takim razie zadam ci jeszcze jedno pytanie. Czy wrócisz do Londynu i wyjdiesz za mnie, nie mówiąc o tym nikomu?

Wpatrywała się w niego. %' - Ależ nie mogę! Po prostu nie mogę!

- Nie możesz wyjść za mnie?

- Nie w ten sposób.

as - - A jednak mnie kochasz. Bo kochasz mnie, prawda? Usłyszała swoje słowa:

- Tak, kocham cię, Anthony.

- Ale nie wyjdiesz za mnie w kościele Świętej Elfydy w Bloomsbury, w parafii, w której mieszkam od paru tygodni i w związku z tym mogę tam w każdej chwili otrzymać pozwolenie na ślub?

- Jak mogłabym zrobić coś takiego? George czułby się zraniony, a ciotka Lucilla nigdy by mi nie wybaczyła. A poza tym i tak nie jestem pełnoletnia. Mam osiemnaście lat.

- Musiałabyś skłamać. Nie wiem, jaką karę poniosę 7, a poślubienie kobiety niepełnoletniej bez zgody jej opiekuna. Przy okazji, kto jest twoim opiekunem?

- George. On też zarządza majątkiem.

- Jak mówiłem, niezależnie od nałożonej kary, nie będzie można rozwiązać naszego małżeństwa, a to jedyne, na czym mi zależy.

Iris potrząsnęła głową.

- Nic mogłabym tego zrobić. Nie mogłabym okazać się tak nieczuła. Zresztą, dlaczego? Jaki w tym sens?

Anthony powiedział:

- Dlatego najpierw zapytałem, czy mi ufasz. Musisz zaufać, że mam swoje powody. Powiedzmy, że to najprostsze rozwiązanie. Ale to już nieważne.

Iris powiedziała bojaźliwie:

- Gdyby tylko George poznał cię trochę lepiej. Wróc teraz ze mną. Będzie tylko on i ciotka Lucilla.

- Jesteś pewna? Myślałem... - urwał. - Kiedy wchodziłem na wzgórze - podjął po chwili - zobaczyłem mężczyznę na podjeździe do waszego domu. Najśmieszniejsze jest to, że wydawało mi się, iż rozpoznaję w nim człowieka, którego... - zawahał się - ...którego znałem.

- Oczywiście, zapomniałam. George mówił, że oczekuje kogoś.

- Człowiek, którego wydawało mi się, że widziałem, nazywa się Race. Pułkownik Race.

- Bardzo możliwe - przyznała kiś. - George rzeczywiście zna pułkownika Race'a. Miał przyjść na obiad tamtego dnia, kiedy Rosemary...

W Anglii pełnoletność osiąga się w wieku 21 lat.

ś Jej głos zadrżał i umilkła. Anthony pochwycił jej dłoń. a «TtV3

- Nie wspominaj tego, kochanie. To było potworne, wiem.

i\* Potrząsnęła głową.

- Nic na to nie poradzę. Anthony...

- Tak?

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy... czy myślałeś... - z trudem przychodziło jej ubrać myśl w słowa. - Czy kiedykolwiek pomyślałeś, że Rosemary mogła nie popełnić samobójstwa? Że mogła zostać... zamordowana?

- Na Boga, Iris, skąd taki pomysł? Nie odpowiedziała, nalegała tylko:

&\* - Czy kiedykolwiek przyszło ci to do głowy? <\*r\$ - Oczywiście, że nie, Rosemary popełniła samobójstwo.

Iris milczała.

- Kto ci to zasugerował?

Przez chwilę kusiło ją, by opowiedzieć mu niesamowitą historię George'a, lecz powstrzymała się. Powiedziała powoli:

- To był tylko taki pomysł.

- Zapomnij o tym, głuptasku. - Pomógł jej wstać i pocałował lekko w policzek. - Kochany kompletny głuptas. Zapomnij o Rosemary. Myśl tylko o mnie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Pałac fajkę, pułkownik Race zerknął z zastanowieniem na George'a Bartona.

Znał go jeszcze jako chłopca. Wuj Bartona miał dom na wsi obok Race'ów. Między dwoma mężczyznami istniała różnica ponad dwudziestu lat. Race przekroczył już sześćdziesiątkę; był wysoki, wyprostowany, o wojskowej postawie. Twarz miał ogorzałą, oczy ciemne i przenikliwe, a siwe włosy gładko przylegały mu do czaszki.

Nie łączyły ich nigdy bliższe stosunki, lecz Barton pozostał dla Race'a „młodym George'em” - jednym z wielu niewyraźnych postaci kojarzących się z dawnymi dniami.

W tej chwili myślał właśnie, że nie ma pojęcia, jaki naprawdę jest „młody George”. W dawnych latach, kiedy spotykali się przelotnie, znajdowali niewiele wspólnych tematów. Race uwielbiał podróże, był typowym „budowniczym Imperium Brytyjskiego” i większość życia spędził za granicą. George był z gruntu człowiekiem miasta. Mieli odrębne zainteresowania i gdy spotykali się, wymieniali jedynie obojętne wspomnienia z „dawnych dni”, po czym zawsze zapadała kłopotliwa cisza. Pułkownik Race nie nadawał się do rozmowy o niczym; mógłby pozować jako modę! silnego, milczącego człowieka, tak wielbionego przez poprzednie pokolenie pisarzy.

Race zastanawiał się w milczeniu, dlaczego „młody George” tak bardzo nalegał na spotkanie. Myślał również o tym, iż jego znajomy zmienił się trochę od ich ostatniego spotkania w zeszłym roku. Zawsze odbierał Geor-

ge’a Bartona jako uosobienie ościężałości - człowieka ostrożnego, praktycznego, bez wyobraźni.

Uznał, że dzieje się z nim coś zdecydowanie niedobrego. George stał się nerwowy jak kot. Już trzykrotnie zapalał papierosa - a to wcale nie pasowało do Bartona.

Pułkownik wyjął fajkę z ust. - A więc, George, w czym problem? - Masz rację, Race, to jest problem. Bardzo potrzebuję twojej rady... i pomocy.

Pułkownik skinął głową i czekał.

- Prawie rok temu miałeś przyjść na obiad, który urządzaliśmy w Londynie w restauracji „Luxembourg”. W ostatniej chwili musiałeś wyjechać za granicę.

Race ponownie przytaknął.

- Do Południowej Afryki.

- W czasie tego obiadu zmarła moja żona. Race poruszył się niespokojnie na krześle.

- Wiem. Czytałem o tym. Nie wspominałem tego i nie wyraziłem ci swego współczucia, bo nie chcę odnawiać starych spraw. Ale wiesz, staruszk, jak bardzo mi przykro.

- Tak, tak. Nie w tym rzecz. Przypuszcza się, że moja żona popełniła samobójstwo.

Race przyczepił się do najważniejszego słowa. Podniósł w górę brwi. \_ Przypuszcza się?

- Przeczytaj to.

Podał pułkownikowi dwa listy. Race uniósł brwi jeszcze wyżej.

- Anonimy?

- Tak. I ja im wierze.

Race powoli potrząsnął głową.

- To niebezpieczne. Zdziwiłbyś się, jak wiele kłamliwych listów ludzie piszą po zdarzeniu, któremu nadano rozgłos w prasie.

- Wiem. Lecz tych nie napisano wtedy, lecz dopiero pot roku później.

Race skinął głową,

- To zmienia sprawę. Kto według ciebie je napisał?

- Nie wiem. I wcale mnie to nie obchodzi. Ważne, że wierzę, iż mówią prawdę. Moja żona została zamordowana.

Race odłożył fajkę. Wyprostował się trochę.

- A dlaczego tak sądzisz? Czy podejrzewałeś coś już wtedy? Czy policja miała jakieś podejrzenia?

- Wówczas byłem oszołomiony i zupełnie wytrącony z równowagi. Po proślu przyjąłem orzeczenie sądu. Moja żona miała grypę, wpadła w depresję. Nic nie wskazywało na inne niż samobójstwo rozwiązanie. No i trucizna znajdowała się w jej torbie.

- Jaka trucizna?

- Cyjanek potasu.

- Pamiętam. Wsypała go do szampana.

- Tak. Wtedy wszystko wydawało się proste.

- Czy kiedykolwiek groziła, że popełni samobójstwo?

- Nie, nigdy. Rosemary kochała życie.

Race przytaknął. Tylko raz spotkał żonę George\*a. Uznał ją za wyjątkowo śliczną krelynkę i na pewno nie melancholiczkę.

- A co z medycznym orzeczeniem o stanie jej umysłu i tak dalej?

- Domowy lekarz Rosemary - starszy człowiek, który leczył Marle'ów, kiedy obie siostry były jeszcze dziećmi - wyjechał w morską podróż. Gdy Rosemary zachorowała, zajął się nią jego partner, dość młody człowiek. Jak pamiętam, powiedział jedynie, że ten rodzaj grypy często powoduje poważną depresję.

George umilkł, a pochwili ciągnął dalej:



- Dopiero, gdy otrzymałem te listy, porozmawiałem ze stałym lekarzem żony. Oczywiście, nie wspomniałem

mu o anonimach. Po prostu omawialiśmy to, co się stało. Powiedział mi, że bardzo go to zaskoczyło. Że nigdy by w to nie uwierzył. Rosemary nie była typem samobójczyni. Według niego dowodziło to, że nawet dobrze znany pacjent może zachować się w sposób zupełnie nietypowy.

Ponownie George zamilkł i dopiero po chwili podjął wątek:

- Właśnie po rozmowie z nim uświadomiłem sobie, jak kompletnie nieprzekonująca była dla mnie teoria o samobójstwie Rosemary. Przecież znałem ją bardzo dobrze. Była zdolna do gwałtownych wybuchów rozpaczy. Mogła uprzeć się w pewnych sprawach i czasami robiła coś pochopnie i nierozważnie, ale nigdy nie zauważyłem, by wpadła w nastrój, w którym „chce się ze wszystkim skończyć”.

‘ Race wymamrotał, lekko zakłopotany:

- Czy oprócz depresji mogła mieć jakiś powód, by się zabić? To znaczy, czy była nieszczęśliwa?

- Ja... nie... może nerwowa.

Omijając George’a wzrokiem, Race zapytał:

- Czy zachowywała się melodramatycznie? Widziałem ją tylko raz, sam wiesz. Ale pewien typ ludzi może nagle wpaść na pomysł samobójstwa, zwykle po jakiejś kłótni. To dość dziecinny powód z kategorii: „Jeszcze pożałują!”

- Nie pokłóciliśmy się.

- Nie. I fakt, że użyto cyjanku, raczej wyklucza podobny motyw. Z cyjankiem nie można bezpiecznie żartować i wszyscy o tym wiedzą.

- To kolejna sprawa. A gdyby Rosemary nawet chciała popełnić samobójstwo, przecież nie zrobiłaby tego w ten sposób? Bolesny i,, brzydki. Prawdopodobnie przedawkowałaby tabletki nasenne.

- Zgadza się. Czy udowodniono, że kupiła albo w jakiś sposób zdobyła cyjanek?

- Nie. Ale odwiedziła przyjaciół na wsi, a oni truli któregoś dnia gniazdo os. Sugerowano, że właśnie wtedy mogła wziąć dość cyjanku.

- Tak, nietrudno go zdobyć. Większość ogrodników trzyma spory zapas.

Umilkł, a po chwili powiedział:

- Podsumujmy. Nie udowodniono, że twoja żona miała skłonności samobójcze albo w

jakikolwiek sposób szykowała się, by z sobą skończyć. Śledztwo niczego nie dowiodło. Lecz nie natrafiono też na żaden ślad morderstwa - gdyby istniał, znalazłaby go policja. Oni są bardzo sprytni, wierz mi.

- Sam pomysł morderstwa wydałby się niedorzeczny.

- Ale nie wydał ci się taki w pół roku później? George powiedział powoli:

- Chyba nie byłem zadowolony z orzeczenia. Myślę, że podświadomie szykowałem się na coś, a kiedy zobaczyłem to spisane czarno na białym, przyjąłem informację bez wątpliwości.

- Tak - Race skinął głową. - Załatwmy to więc. Kogo podejrzewasz?

George pochylił się do przodu, a jego twarz skurczyła się.

- To jest najgorsze. Jeśli Rosemary naprawdę została zamordowana, musiała to zrobić jedna z osób przy stole - jeden z naszych przyjaciół. Nikt do nas nie podchodził.

- A kelnerzy? Kto nalewał wino?

- Charles, główny kelner w „Luxembourg”. Znasz Charlesa?

Race przytaknął. Wszyscy znali Charlesa. Wydawało się niemożliwe, żeby Charles miał celowo otruć gościa.

- A kelner, który nas obsługiwał, nazywał się Giuseppe. Znamy go dobrze. Sam znam go od lat. Zawsze mnie obsługuje. To zachwycająco pogodny, nieduży facet.

- Tak więc doszliśmy do obiadu. Kto na nim był?

- Stephen Farraday, członek parlamentu. Jego żona, lady Alexandra Farraday. Moja sekretarka, Ruth Lessing. Facet nazwiskiem Anthony Browne. Siostra Rosemary, Iris, i ja. W sumie siedem osób. Byłoby osiem, gdybyś przyszedł. Kiedy odpadeś, w ostatniej chwili nie mogliśmy znaleźć nikogo odpowiedniego na twoje miejsce.

- Rozumiem. Tak więc, Barton, kto według ciebie to zrobił?

George wykrzyknął:

- Nie wiem. Mówię ci, że nie wiem! Gdybym tylko wiedział...

- Dobrze już, dobrze. Myślałem, że podejrzewasz konkretną osobę. No cóż, to nie powinno być trudne. Jak siedzieliście? Zaczynaj od siebie.

- Po prawej miałem Sandre Farraday, oczywiście. Dalej siedział Anthony Browne. Potem Rosemary. Obok niej Stephen Farraday, za nim Iris i wreszcie Ruth Lessing - po mojej lewej.

- Rozumiem. Twoja żona piła szampana wcześniej tamtego wieczoru?

- Tak. Kieliszki napełniano kilkakrotnie. To... to stało się podczas występów kabaretu. Panował spory hałas -grał jeden z tych murzyńskich zespołów i wszyscy patrzyliśmy na scenę. Rosemary osunęła się na stół tuż przed zapaleniem świateł. Być może krzyknęła lub chwyciła gwałtownie oddech, ale nikt nic nie usłyszał. Lekarz stwierdził, że śmierć była niemal natychmiastowa. Dziękuję za to Bogu.

- Rzeczywiście. Cóż, Barton - w sumie wygląda to całkiem jasno.

- To znaczy?

- Stephen Farraday, oczywiście. Siedział na prawo od niej. Jej kieliszek szampana stał koło jego lewej ręki. Najprostsza rzecz pod słońcem - wrzucić truciznę, jak tylko przygaszono światła i uwaga wszystkich skierowała się ku scenie. Nie widz? nikogo, kto miałby równie dobrą okazję. Znam stoliki w „Luxembourg”, Wokół jest mnóstwo miejsca i bardzo wątpię, by ktoś mógł na przykład pochylić się nad stołem niepostrzeżenie, nawet jeśli zgaszono światła. To samo tyczy faceta po lewej ręce Rosemary. Musiałby nachylić się przez nią, by wsypać jej cokolwiek do kieliszka. Jest jeszcze jedna możliwość, ale wpieryw zajmujemy się oczywistym podejrzanym. Czy są jakieś powody, by członek parlamentu Stephen Farraday chciał pozbyć się twojej żony?

George odpowiedział stłumionym głosem:

- Byli... byli dość bliskimi przyjaciółmi. Gdyby... gdyby na przykład Rosemary odrzuciła jego zaloty, mógłby pragnąć zemsty.

- Brzmi dość melodramatycznie. To jedyny motyw, jaki przychodzi ci na myśl?

- Tak - powiedział George. Jego twarz była bardzo czerwona. Race rzucił mu ukradkowe spojrzenie. A potem podjął:

- Możemy rozważyć możliwość numer dwa. Jedna z kobiet.

- Dlaczego kobieta?

- Drogi George, czy uciekło twojej uwadze, że na siedmioosobowym przyjęciu - cztery kobiety i trzech mężczyzn - będą prawdopodobnie jedna czy dwie chwile w ciągu wieczoru, kiedy trzy pary tańczą, a jedna kobieta siedzi sama przy stole? Tańczyliście wszyscy?

- Och, tak.

- Dobrze. Pamiętasz, kto został sam przy stoliku przed kabaretem?

«Ł.. George zastanawiał się przez chwilę.

%

- Myślę... tak, na koniec Iris zabrakło partnera, a przed nią Ruth.

- Nie pamiętasz, kiedy twoja żona po raz ostatni piła szampana?

- Niech pomyślę. Tańczyła z Browne'em. Pamiętam, że wróciła mówiąc, że to był spory wysiłek - on jest dość ekstrawaganckim tancerzem. Potem wypła wino. Parę minut później zagrali walca i zatańczyła... zatańczyła ze mną. Wiedziała, że walc to jedyny taniec, z którym sobie jako tako radzę. Farraday tańczył z Ruth, a lady Alexandra z Browne'em. Iris siedziała sama. Zaraz potem zaczął się kabaret.

- Więc zastanówmy się nad siostrą twojej żony. Czy otrzymała jakieś pieniądze po śmierci Rosemary?

George zaczął mówić bardzo niewyraźnie.

- Mój drogi Race... nie bądź niedorzeczny! Iris była jeszcze dzieckiem, chodziła do szkoły.

- Znam dwie uczennice, które popełniły morderstwa.

- Ale Iris! Była przywiązana do Rosemary.

- To nieważne, Barton. Miała okazję. Chcę wiedzieć, czy miała też motyw. Twoja żona, jak sądzę, była bogatą kobietą. Kto odziedziczył jej pieniądze? Ty?

- Nie, dostała je Iris, w funduszu powierniczym. Wyjaśnił sytuację, czemu Race przysłuchiwał się

z uwagą.

- Dość osobliwe położenie. Bogata i biedna siostra. Niektórym dziewczętom to by się nie podobało.

- Na pewno nie Iris.

- Może, ale miała motyw. Spróbujmy pójść innym tropem. Kto jeszcze miał motyw?

- Nikt. Zupełnie nikt. Jestem pewien, że Rosemary nic miała wroga na całym świecie. Sprawdzałem to, rozpytywałem się, próbowałem coś odkryć. Kupiłem ten dom obok Farradayów, żeby...

Urwał. Race podniósł swoją fajkę i zaczął dłubać w środku.

- Czy nie lepiej, żebyś powiedział mi wszystko?

- Co masz na myśli?

- Coś ukrywasz, widać to na mile. Możesz siedzieć sobie i bronić reputacji żony albo

spróbujesz odkryć, czy została zamordowana. Lecz jeśli to drugie jest prawdą, musisz wszystko z siebie wyrzucić.

Zapadła cisza.

- Dobrze więc - odezwał się wreszcie zduszonym tonem George. - Wygrałeś.

- Masz powody wierzyć, że twoja żona miała kochanka, prawda?

- Tak.

- To Stephen Farraday?

- Nie wiem! Przysięgam ci, że nie wiem! Może to on, a może ten drugi facet, Browne. Nie potrafiłem się zdecydować. To było prawdziwe piekło.

- Powiedz mi, co wiesz o Anthonym Brownie? Śmieszne, wydaje mi się, że już słyszałem to imię.

- Nic o nim nie wiem. Podobnie jak wszyscy. Jest przystojny i zabawny, lecz nikt nie wie o nim nic konkretnego. Podobno jest Amerykaninem, ale mówi bez akcentu.

- Cóż, może w ambasadzie będą coś wiedzieć. Nie masz pojęcia, w której?

- Nie... nie mam. Coś ci powiem. Race. Ona pisata list, ja... ja sprawdziłem potem bibułę. To... to był list miłosny, ale brakowało imienia.

Race ostrożnie odwrócił wzrok.

- To daje nam trochę więcej możliwości. Na przykład możemy wziąć pod uwagę lady Alexandre, o ile jej mąż miał romans z twoją żoną. To kobieta, która wszystko przeżywa dość intensywnie, sam wiesz. Cicha, skryta. Zabiłaby w razie konieczności. Posuwamy się do przodu. Mamy tajemniczego pana Browne'a, Farradaya, jego żonę i młodą Iris Marie. A co z ostatnią z kobiet, Ruth Lessing?

- Ruth nie mogła mieć z tym nic wspólnego. W każdym razie nie miała najmniejszego motywu.

- To, mówisz, twoja sekretarka? Jaka ona jest?

- To najdroższa dziewczyna na świecie - George powiedział to z entuzjazmem. - Praktycznie jest członkiem rodziny. To moja prawa ręka - nie ma nikogo, kogo bym wyżej cenił albo komu bardziej bym ufał.

- Lubisz ją - zauważył Race, obserwując George'a z namysłem.

- Jestem do niej przywiązany. Ta dziewczyna, Race, jest wprost kapitalna. Polegam na niej pod każdym względem. Jest najszczerzą i najdroższą istotą pod słońcem.

Race wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „uhm” i porzucił temat. Nic w jego zachowaniu nie pozwoliło George’owi domyślić się, że w rzeczywistości naszkicował bardzo konkretny powód, dla którego Ruth mogłaby zabić Rosemary. Czuł, że „najdroższa dziewczyna pod słońcem” mogła mieć doskonały powód, by pragnąć przenieść panią Barton na tamten świat. Być może motywem była chciwość i Ruth widziała się jako drugą panią Barton. A może była szczerze zakochana w swoim szefie. W każdym razie miała motyw. im Jednak pułkownik powiedział jedynie łagodnym tonem:

- Przypuszczam, że przyszło ci do głowy, że sam miałeś doskonały motyw?

- Ja? - George wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

- Cóż, przypomnij sobie Ottella i Desdemone.

- Wiem, o co ci chodzi. Ale między mną i Rosemary wcale tak nie było. Oczywiście, uwielbiałem ją, ale wiedziałem zawsze, że... że pewne rzeczy będę musiał znosić. Nie, żeby mnie nie lubiła, bo tak nie było. Lubiła mnie bardzo i zawsze była dla mnie słodka. Ale ja oczywiście jestem nudnym gościem, nie ma co ukrywać. Żaden ze mnie romantyk, rozumiesz. Kiedy ożeniłem się z nią, postanowiłem, że będę ślepy i głuchy. Sama mnie ostrzegwała. To oczywiście bolało, za każdym razem, ale sugerować, że mógłbym tknąć włos z jej głowy...

Urwał, a po chwili podjął już innym tonem:

- Tak czy inaczej, jeśli ja to zrobiłem, dlaczego miałbym wszystko rozgrzebywać? Po tym, jak orzeczono samobójstwo i wszystko zostało skończone i zamknięte. Byłoby to czystym szaleństwem.

- Dokładnie. Dlatego nie podejrzewam cię na serio, mój stary. Gdybyś był mordercą i otrzymał dwa takie listy, wrzuciłbyś je po kryjomu do ognia i nic o nich nie wspomniał. To doprowadza mnie do punktu, który uważam za najbardziej interesujący w całej tej sprawie. Kto napisał te listy?

- Co? - George wyglądał na zaskoczonego. - Nie mam pojęcia.

- Najwyraźniej cię to nie zainteresowało. A mnie tak. To było pierwsze pytanie, jakie ci zadałem. Możemy założyć - tak ja to robię - że nie napisał ich morderca. Dlaczego miałby sam sobie bruździć, skoro, jak mówisz, sprawę zamknięto i orzeczono samobójstwo? Ale w takim razie, kto je napisał? Kto jest zainteresowany rozgrzebaniem wszystkiego?

- Służba? - zaryzykował George.

- Możliwe. Jeśli tak, kto ze służby i co wie? Czy Rosemary miała zaufaną pokojówkę?

George potrząsnął przecząco głową, y - Nic. W tamtych czasach mieliśmy kucharkę, panią Pound. Ciągłe u nas pracuje. Poza tym były dwie pokojówki, chyba już odeszły. Nie pracowały zbyt długo. s - No cóż, Barton, jeśli chcesz mojej rady, jak zrozumiałem, winienem starannie przemyśleć całą sprawę. Z jednej strony mamy fakty: śmierć Rosemary. Nie przywrócisz jej życia, cokolwiek byś zrobił. Jeśli brakuje przekonujących dowodów, że popełniła samobójstwo, podobnie ma się rzecz z dowodami morderstwa. Dla dobra sprawy powiedzmy, że Rosemary została zamordowana. Czy naprawdę chcesz wszystko odgrzebać? Może to oznaczać sporo nieprzyjemnych artykułów w

prasie, publiczne mycie brudów, romanse twojej żony staną się powszechnie znane...

George Barton skrzywił się. Powiedział gwałtownie:

- Czy naprawdę radzisz mi, żebym pozwolił jakiejś świni wyjść z tego cała? Ten drętwy Farraday ze swoimi pompatycznymi przemówieniami i jego drogocenna kariera... być może jest po prostu tchórzem i mordercą.

- Chciałbym tylko, żebyś zdał sobie sprawę, do czego to może prowadzić.

- Muszę odkryć prawdę.

- Bardzo dobrze więc. W takim razie pójdę z tymi listami na policję. Prawdopodobnie dość łatwo odkryją, kto je napisał i co wie. Pamiętaj tylko, że skoro raz wskażesz im ślad, nie zdołasz ich powstrzymać.

- Nie wybieram się na policję. Dlatego chciałem zobaczyć się z tobą. Chcę zastawić pułapkę na mordercę. s. - O czym u licha mówisz?

- Słuchaj, Race. Urządzam przyjęcie w „Luxembourg”. Chcę, żebyś też przyszedł. Będą ci sami ludzie: Farradayowie, Anthony Browne, Ruth, Iris i ja. Wszystko ustaliłem.

- Co zamierzasz zrobić?

George roześmiał się lekko.

- To mój sekret. Zepsułbym wszystko, gdybym komuś o tym wcześniej powiedział, nawet tobie. Chcę, żebyś przyszedł nieuprzedzony i zobaczył, co się stanie.

Race pochylił się do przodu. Jego głos zabrzmiał nagle ostro.

- To mi się nie podoba, George. Takie melodramaty-czne pomysły rodem z książek nie sprawdzają się. Idź na policję. Nie znajdziesz lepszych ludzi. Wiedzą, jak rozwiązywać takie problemy. To zawodowcy. Występy amatorów są nierozsądne.

- Dlatego cie potrzebowałem. Ty nie jesteś amatorem.

- Mój drogi, dlatego, że raz zrobiłem coś dla M.I.5? Zresztą i tak nie chcesz mi nic powiedzieć.

- To nie jest konieczne. Race potrząsnął głową.

- Przykro mi. Odmawiam. Nie podoba mi się twój plan i nie chcę zostać jego częścią. Bądź rozsądny, George, i zrezygnuj.

- Nie zrezygnuje. Wszystko ustaliłem.

- Nie bądź tak cholernie uparty. Wiem o tych sprawach trochę więcej od ciebie. Nie podoba mi

się twój pomysł. Nie wyjdzie. A może być nawet niebezpieczny. Pomyślałeś o tym?

- Dla jednej osoby będzie rzeczywiście niebezpieczny. Race westchnął,

- Sam nie wiesz, co robisz. Och, dobrze, ale nie mów, że cię nie ostrzegałem. Proszę cię po raz ostatni: porzuć swój zwariowany zamysł.

George tylko potrząsnął głową.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ranek drugiego listopada wstał wilgotny i ponury. W jadalni domu przy Elvaston Square było tak ciemno, że przy śniadaniu musiano włączyć światła.

Iris, wbrew swoim zwyczajom, zeszła na dół, zamiast poprosić, by przyniesiono jej kawę i tosta do pokoju. Siedziała blada niczym duch, przesuwając nietknięte jedzenie po talerzu. George nerwowo przerzucał „Timesa”, a po drugiej stronie siołu Lucilla Drake łkała obficie w chusteczkę.

- Wiem, że mój kochany chłopiec zrobi sobie coś okropnego. Jest bardzo wrażliwy i nie pisałby, że to sprawa życia i śmierci, gdyby tak nie było.

Szeleszcząc gazetą, George odparł ostro:

- Proszę, nie martw się Lucillo. Powiedziałem, że to załatwię.

- Wiem, George, jesteś taki dobry. Ale naprawdę: zuję, że każde opóźnienie może być fatalne w skutkach. Zanim, jak zamierzasz, sprawdzisz sytuację, minie mnó-(two czasu.

- Nie, wcale nie. Załatwimy to szybko.

- On napisał: „najpóźniej do trzeciego”, a już jutro est trzeci. Nie wybaczę sobie, jeśli mojemu chłopcu coś ię stanie.

- Nic mu się nie stanie - George pociągnął spory yk kawy.

- Mam przecież obligacje państwowe...

- Posłuchaj, Lucillo, możesz zostawić wszystko mnie.

- Nie martw się, ciociu - dołączyła się Iris. - George otrafi to załatwić. Przecież zdarzało się tak już wcześ-iej.



- Dawno temu. - ... - " \* . ?" . . .

- Trzy miesiące - zauważył George.

- Biednego chłopca oszukali wtedy na tym przerażającym ranchu ci jego okropni znajomi.

George otarł wąsy serwetką, wsiał, poklepał życzliwie panią Drake po plecach i na odchodnym rzucił:

- Rozchmurz się, moja droga. Każę Ruth natychmiast wysłać telegram.

Wyszedł do przedpokoju, a Iris pośpieszyła za nim.

- Nic sądzisz, George, że powinniśmy odwołać dzisiejsze przyjęcie? Ciołka Lucilla jest zdenerwowana. Czy nie lepiej, żebyśmy zostali z nią w domu?

- Na pewno nic! - różowa zwykle twarz George'a poczerwieniała. - Dlaczego ten przekłety młody oszust i łajdak miałby denerwować nas wszystkich? To szantaż, zwyczajny szantaż i tyle. Gdyby zależało to ode mnie, nie dostałby ani pensa.

- Ciotka nigdy by się na to nie zgodziła.

- Lucilla jest głupia, zawsze była. Kobiety, które mają dziecko dopiero po czterdziestce, nigdy nie nabierają rozumu. Psują bredząca od kołyski, dając mu wszystko, czego chce. Gdyby młodemu Yictorowi choć raz kazano wypić piwo, którego nawarzył, może coś by z niego było. A teraz nie kłóć się ze mną, Iris, Załatwię rzecz przed wieczornym przyjęciem i Lucilla pójdzie spać szczęśliwa. Jeśli będzie trzeba, weźmiemy ją ze sobą.

- Ach, nie, ona nie cierpi restauracji i szybko robi się senna. Nie lubi gorąca, a od zadymionego powietrza dostaje ataku astmy.

- Wiem. Nie mówiłem poważnie. Idź i rozchmurz ją. Powiedz jej, że wszystko będzie dobrze.

Odwrócił się i wyszedł frontowymi drzwiami. Iris powoli zaczęła iść w stronę jadalni, kiedy zadzwonił telefon. Zatrzymała się, by go odebrać.

- Halo? Kto? - jej twarz rozchmurzyła się, a przygnębienie zamieniło w prawdziwą radość. - Anthony!

- To ja. Dzwoniłem wczoraj, ale nic mogłem cię złapać. Czy popracowałaś nad George'em?

- ^ - Co masz na myśli?

- Nalegał, żebym przyszedł dziś na przyjęcie. Zupełnie niepodobne do jego zwykłego „trzymaj ręce z dala od mojej ślicznej podopiecznej!" Uparł się, żebym przyszedł. Pomyślałem, że może to wynik twojej taktyki. - \$ - Nie, nie. To nie ma nic wspólnego ze mną.

if- - Zmienił swoje uczucia tak sam z siebie? \* - Niezupełnie. To.., .W. - Halo? Jesteś tam jeszcze? & ~ Tak,

^- Mówiłaś coś. O co chodzi, kochanie? Słyszę, jak wzdychasz. Czy stało się coś złego?

- Nie, nic. Jutro będę czuła się dobrze. Jutro wszystko będzie dobrze.

- Cóż za wzruszająca wiara. Czy nie mówi się, że „jutro nigdy nie nadchodzi”?

- Nie.

- Iris, coś się musiało stać”.

- Nie, nic. Nie mogę ci powiedzieć. Przyrzekłam.

- Powiedz mi, najdroższa.

- Nie, naprawdę nie mogę. Anthony, czy powiesz mi coś?

- Jeśli mogę.

- Czy... czy kiedykolwiek kochałeś Rosemary?

Na chwilę zapadła cisza, a po chwili usłyszała jego śmiech.

- A wiec o to chodzi. Tak, Iris, byłem troszeczkę zakochany w Rosemary. Wiesz, była śliczna. A potem pewnego dnia rozmawiałem z nią i zobaczyłem, jak schodzisz po schodach. W jednej chwili wszystko mi-

nęfo, skończyło się. Na całym świecie nie istniał nikt prócz ciebie. Taka jest brutalna prawda. Nie dumaj nad takimi głupstwami. Nawet Romeo miał swoją Rosalindę, zanim nie zakochał się z kretelem w Julii.

- Dziękuję, Anthony. Cieszę się.

- Do zobaczenia wieczorem. To twoje urodziny, prawda?

- Właściwie obchodzę je dopiero za tydzień, ale to rzeczywiście moje urodzinowe przyjęcie.

- Nie wyglądasz na uszczęśliwioną.

- Nie jestem.

- Zakładam, że George wie, co robi, choć dla mnie to szalony pomysł - urządzać imprezę w tym samym miejscu, co...

- Och, byłam... potem kilka razy w „Luxembourg”. Tej restauracji nie da rady omijać.

- I dobrze. Mam dla ciebie urodzinowy prezent. Miejmy nadzieję, że ci się spodoba. Au revoir.

Rozłączył się.

Iris wróciła do Lucilli Drake, by przekonywać ją, nalegać i zapewniać.

Po przybyciu do biura George natychmiast wezwał Ruth Lessing.

Kiedy weszła - spokojna, uśmiechnięta, w schludnym czarnym żakiecie i spódnicy - jego czoło rozchmurzyło się trochę.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, Ruth. Znowu kłopoty. Spójrz na to. Wzięła od niego telegram.

Przez chwilę trzymała go w milczeniu. Chuda, brązowa twarz i zmarszczki wokół nosa, kiedy się śmiał. Żartobliwy głos i słowa: „taka dziewczyna powinna wyjść za swojego szefa...” Jak żywo to do niej wróciło.

Pomyślała: To mogło być wczoraj...

Głos George'a przywołał ją z powrotem na ziemię.

- Czy nie wpakowaliśmy go na statek jakiś rok temu?

Zastanowiła się.

- Tak sędzę. Wydaje mi się, że było to dwudziestego siódmego października,

- Zdumiewająca dziewczyna. Ależ masz pamięć!

Pomyślała sobie, że miała lepsze powody, by pamiętać, niż sądził. To właśnie pod wpływem Yictora, słuchając przez telefon beztroskiego głosu Rosemary zrozumiała, że jej nienawidzi.

- Mamy szczęście - powiedział George - że Yictor wytrzymał tak długo. Nawet jeśli kosztowało nas to pięćdziesiąt funtów trzy miesiące temu.

- Ale trzysta funtów to dużo.

- Och, tak. Nie dostanie aż tyle. Musimy jak zwykle sprawdzić sytuację.

- Skontaktuję się z panem Ogilvie.

Alexander Ogilvie był ich agentem w Buenos Aires

- trzeźwo myślącym, twardogłowym Szkotem.

- Tak. Wyślij zaraz telegram. Jego matka jak zawsze panikuje. Wpadła w histerię. To utrudnia

moje plany na wieczór.

- Czy mam z nią zostać?

- Nie - zaprzeczył z naciskiem. - W żadnym wypadku. Musisz być na przyjęciu. Potrzebuje cię - wzięła ją za rękę. - Jesteś zupełnie pozbawiona egoizmu.

- Wcale nie - uśmiechnęła się i zaproponowała:

- Czy spróbować złapać pana Ogilvie telefonicznie? Możemy załatwić sprawę jeszcze przed wieczorem.

- Dobry pomysł. Wart swojej ceny.

- Zaraz się tym zajmę.

Bardzo łagodnie zabrała swoją dłoń i wyszła. George zajął się licznymi sprawami wymagającymi jego uwagi.

O w pół do dwunastej wyszedł i taksówką pojechał do „Luxembourg”.

Charles, długoletni i słynny główny kelner podszedł do niego, skłonił swoją majestatyczną głowę i uśmiechnął się na powitanie.

- Dzień dobry, panie Barton,

- Witaj, Charles. Wszystko przygotowane na dzisiejszy wieczór?

- Myślę, że będzie pan zadowolony.

- Ten sam stolik?

- Środkowy w alkowie, prawda?

- Tak. Pamiętałeś o dodatkowym talerzu?

- Oczywiście.

- A zdobyłeś... rozmaryn?

- Tak, panie Barton. Obawiam się, że nie jest zbyt dekoracyjny. Nie chciałby pan, żebyśmy wstawili jeszcze trochę czerwonych jagód? Albo parę chryzantem?

- Nie, nie, tylko rozmaryn.

- Bardzo dobrze. Pewnie chciałby pan zobaczyć menu. Giuseppe!

Charles pstryknął palcami i obok niego pojawił się uśmiechnięty Wioch w średnim wieku.

- Menu dla pana Bartona. Kelner zaprezentował je.

Ostrygi, czysta zupa, solą a la Luxembourg, pardwa, poires Helenę, wątróbki kurze na bekonie. George rzucił obojętnym okiem na listę,

- Tak, wszystko w porządku.

Zwrócił menu. Charles odprowadził go do drzwi. Ścisząc lekko głos, wymamrotał:

- Czy mogę powiedzieć, jak bardzo doceniamy fakt, iż... wrócił pan do nas?

Na twarzy George'a pojawił się uśmiech, dość upiorny. Odezwał się:

- Musimy zapomnieć o przeszłości, nie można nią żyć. Wszystko to dawno minęło.

- To prawda, panie Barton. Wie pan, jak bardzo byliśmy wtedy zaszokowani i zasmuceni. Mam szczerą nadzieję, że mademoiselle będzie miała mile urodziny i wszystko potoczy się zgodnie z pańskimi życzeniami.

Skłoniwszy z wdziękiem głowę, Charles wycofał się i jak rozzłoszczony tygrys rzucił na niższego stopniem kelnera, który popełnił błąd obsługując stolik pod oknem.

George wyszedł z suchym uśmiechem na ustach. Nie miał na tyle wyobraźni, by odczuć współczucie dla personelu restauracji. W końcu nie było winą obsługi, że Rosemary postanowiła tam właśnie popełnić samobójstwo albo że ktoś zdecydował się ją zabić. Na pewno sytuacja była ciężka dla pracowników. Lecz jak większość ludzi gnębionych obsesją, George myślał tylko o niej.

Zjadł lunch w swoim klubie, a potem poszedł na spotkanie zarządu.

Wracając do biura, zadzwonił z budki telefonicznej pod numer na Maida Vale. Odwiesił słuchawkę z westchnieniem ulgi. Wszystko ustalono zgodnie z planem.

Dotarł do biura.

Natychmiast podeszła do niego Ruth.

- W sprawie Yictora Drake'a.

- Tak?

- Obawiam się, że chodzi o rzecz dość brzydką. Możliwe, że trafi do więzienia. Od dłuższego czasu defraudował pieniądze firmy.

- Tak mówi Ogilvie?

- Tak. Dodzwoniłam się do niego rano, a on od-dzwonił tutaj dziesięć minut temu. Mówi, że Yictor zachowuje się beczelnie.

- Oczywiście!

- Upiera się, że nie zostanie skazany, jeśli zwróci pieniądze. Pan Ogilvie widział się ze starszym partnerem w firmie i najwyraźniej jest to prawda. Dokładna suma wynosi sto sześćdziesiąt pięć funtów.

- Tak więc panicz Victor miał nadzieję zainkasować na czysto sto trzydzieści pięć funtów?

- Tak się obawiam.

- Cóż, przynajmniej to udaremniiliśmy - stwierdził George z ponurą satysfakcją.

- Kazałam panu Ogilvie wszystko załatwić. Czy dobrze zrobiłam?

- Osobiście byłbym zachwycony widząc, jak ten łajdak idzie do więzienia. Ale trzeba myśleć o jego matce. Jest głupia, ale kochana. Tak więc panicz Victor popisał się jak zawsze.

- Jesteś bardzo dobry - powiedziała Ruth.

- Ja?

- Myślę, że jesteś najlepszym człowiekiem na świecie,

Był wzruszony. Odczuwał jednocześnie przyjemność i zakłopotanie. Spontanicznie pochwycił jej rękę i ucałował.

- Najdroższa Ruth. Najdroższa i najlepsza z przyjaciół. Co bym bez ciebie począł?

Stali bardzo blisko siebie.

Pomyślała: „Mogłabym być z nim szczęśliwa. Mogłabym go uszczęśliwić. Gdyby tylko nie...”

On zastanawiał się: „Czy mam posłuchać rady Ra-ce’a? Zrezygnować? Czy tak naprawdę byłoby najlepiej?”

Po chwili jego niezdecydowanie minęło. Odezwał się:

- Spotkamy się o dziewiętej trzydzieści w „Luxembourg”.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przyszli wszyscy.

George odetchnął z ulgą. Do ostatniej chwili obawiał się, że ktoś zrezygnuje - ale stawili się wszyscy. Stephen Farraday - wysoki, sztywny, trochę pompatyczny. Sandra Farraday w prostej, czarnej aksamitnej sukni, ze szmaragdami wokół szyi. Miała niezaprzeczną klasę. Zachowywała się zupełnie naturalnie, może trochę sympatyczniej niż zwykle. Ruth również była ubrana na czarno, bez ozdób, prócz jednej broszki z klejnotem. Jej kruczoczarne, gładko przylegające do głowy włosy podkreślały biel szyi i ramion - bledszych niż u pozostałych kobiet, Ruth pracowała i nie miała zbyt dużo wolnego czasu, by złapać trochę słonecznej opalenizny. Napotkała jego wzrok i jakby dostrzegając w nim napięcie, uśmiechnęła się pokrzepiająco. Nabrał odwagi. Wierna Ruth. Obok niego siedziała niezwykle milcząca Iris. Ona jedna wydawała się świadoma, że nie jest to zwyczajne przyjęcie. Była blada, lecz w jakimś sensie nawet jej to pasowało, zmieniając w poważną, nieugiętą piękność. Miała na sobie prostą ciemnozieloną suknię. Ostalni zjawił się Anthony Browne, George miał wrażenie, że zbliżył się cichym, miękkim krokiem dzikiego zwierzęcia - pantery lub tygrysa. Chyba nie był do końca ucywilizowany.

Tak więc miał ich wszystkich, w samym środku pułapki. Teraz można było rozpocząć przedstawienie...

Wypili koktajle. Wstali i pod łukiem sklepienia przeszli do sali jadalnej.

Tańczące pary, rytmiczna murzyńska muzyka, prześlizgujący się bezszelestnie kelnerzy.

Charles wyszedł im na powitanie i z uśmiechem poprowadził do stolika. W znajdującej się na końcu sali półkolistej alkwie stały trzy stoliki: duży pośrodku, a po obu jego stronach dwa dwuosobowe stoliczki. Przy jednym siedział cudzoziemiec w średnim wieku i o żółtawej cerze wraz ze śliczną blondynką, przy drugim wątlą młodzieniec z dziewczyną. Środkowy stół zarezerwowano dla Bartona.

Zaczął z ożywieniem rozsadzać gości.

- Sandro, siadaj tu, po mojej prawej. Dalej Browne. Iris, kochanie, to twoje przyjęcie. Musisz siąść obok mnie, dalej Farraday, a potem ty, Rutli... - umilkł; pomiędzy Anthonym i Ruth zostało jedno puste krzesło, gdyż stół nakryto na siedem osób.

- Mój przyjaciel Race może się trochę spóźnić. Powiedział, żebyśmy na niego nie czekali. Zjawi się wkrótce. Chcę, żebyście wszyscy go poznali. To wspaniały facet, zwiedził cały świat i może opowiedzieć kilka naprawdę świetnych historyjek.

Siadając za stołem, Iris zdawała sobie sprawę, że czuje gniew. George zrobił to celowo - oddzielił ją od Anthony'ego. Ruth powinna siedzieć na jej miejscu, obok gospodarza. A więc George nadal nie lubił ani nie ufał Anthony'emu.

Spojrzała ukradkiem ponad stołem. Anlhony marszczył brwi. Nie patrzył na nią. Obrzucił ostrym wzrokiem puste krzesło obok. Powiedział:

- Cieszę się, że masz w planach jeszcze jednego faceta, Barton. Możliwe, że będę musiał wyjść

wcześniej. Nie ma rady. Wpadłem tu na dawnego znajomego.

George zauważył z uśmiechem:

- Prowadzisz interesy po godzinach? Jesteś za młody na to, Browne. Choć nigdy nie wiedziałem, czym się właściwie zajmujesz.

Przypadkiem panowała akurat przerwa w rozmowie. Odpowiedź Anthony'ego była chłodna, poważna:

- Zorganizowana przestępczość, Barton. Tak zawsze odpowiadam, kiedy mnie pytają. Planujemy napady. Kradzieże. Urządzamy zasadzki na nie spodziewające się niczego rodziny w ich własnych domach.

Sandra Farraday odezwała się ze śmiechem:

- Zajmuje się pan bronią, prawda, panie Browne? W dzisiejszych czasach król handlu bronią po prostu musi być łajdakiem.

Iris dostrzegła, jak oczy Anthony'ego rozszerzają się nagle w zaskoczeniu. Powied/iał lekkim tonem:

- Nie wolno pani mnie wydać, lady Alexandro. To jest ściśle tajne. Szpieczy wrogiego mocarstwa mogą być wszędzie. Taka rozmowa nie jest bezpieczna.

Potrząsnął głową z udawanią powagą.

Kelner zebrał talerze z ostrygami. Stephen zapytał Iris, czy ma ochotę zatańczyć.

Wkrótce tańczyli wszyscy. Nastrój poprawił się.

W następnej kolejności Iris tańczyła z Anthonym. Odezwała się:

- To czysta złośliwość ze strony George'a, że nie pozwolił nam usiąść razem.

- Wręcz przeciwnie, to bardzo miłe z jego strony. Dzięki temu przez cały czas mogę na ciebie patrzeć.

- Tak naprawdę nie będziesz musiał wyjść wcześniej?

- Być może.

Po chwili zapytał:

- Wiedziałaś, że pułkownik Race ma przyjść?

- Nie, nie miałam najmniejszego pojęcia.



- To dość dziwne.

- Znasz go? A tak, mówisz mi przedwczoraj. Co to za człowiek? - zapytała.

- Nikt dokładnie nie wie.

Wrócili do stolika. Wieczór trwał dalej. Stopniowo napięcie, które zdawało się już zniknąć, zaczęło z powrotem narastać. Wśród gości panowała spięta, nerwowa atmosfera. Jedyne gospodarz wydawał się ożywiony i nieświadomy ich zaniepokojenia.

Iris dostrzegła, jak George zerka na zegarek.

Nagle rozległo się bicie bębnow i zgasły światła. Odsloniono scenę. Krzesła zepchnięto lekko do tyłu i zwrócono w stronę podium. Na środku pojawiło się trzech mężczyzn i trzy kobiety. Zaczęli tańczyć. Po nich wystąpił człowiek naśladujący odgłosy. Pociąg, statek parowy, samolot, maszyna do szycia, rycząca krowa. Odniósł niebywały sukces. Potem nadeszła kolej Lenny'ego i Flo. Wystąpili w tańcu, który bardziej przypominał popisy na trapezie. Otrzymali jeszcze więcej oklasków. Na koniec ponownie wystąpiła sześciuosobowa grupa taneczna. Rozbłysły światła.

Wszyscy zamrugali.

Jednocześnie nagły powiew ulgi ogarnął towarzystwo przy głównym stole. Zupełnie jakby podświadomie czekali na coś, co się nie stało. Poprzednim razem włączenie świateł zbiegło się z odkryciem martwego ciała osuniętego na stół. To było tak, jakby tym razem przeszłość została ostatecznie zamknięta i odeszła w zapomnienie. Zniknął cień minionej tragedii.

Sandra z ożywieniem zwróciła się ku Anthony'emu. Stephen rzucił coś do Iris, a Ruth pochyliła się do przodu i przyłączyła do nich. Tylko George siedział na swoim miejscu, wpatrując się z napięciem w puste krzesło naprzeciw. Nie odrywał od niego wzroku. Miejsce zostało nakryte. W kieliszku był szampan. W każdej chwili ktoś mógł nadejść, usiąść...

Oprzytomniał na głos Iris.

- Obudź się, George. Chodź zatańczyć. Nie tańczyłeś jeszcze ze mną.

Skupił się. Uśmiechając się do niej, podniósł kieliszek.

- Najpierw wypijemy toast - za młodą damę, której urodziny świętujemy. Za Iris Marie, oby zawsze się jej wiodło!

Wypili ze śmiechem, a potem wstali, by tańczyć: George z Iris, Stephen z Ruth, Anthony z Sandrą.

Grano wesołą, jazzową melodię.

Wrócili jednocześnie, śmiejąc się i rozmawiając. Usiedli.

Nagle George pochylił się do przodu.

- Chciałbym was o coś poprosić. Mniej więcej rok temu spędzaliśmy tu wieczór, który skończył się tragicznie. Nie chcę przywoływać dawnego smutku, ale nie chcę też, żeby zupełnie zapomniano o Rosemary. Proszę, byśmy wypili za jej pamięć, za jej spokój.

Podniósł kieliszek. Wszyscy posłusznie uczynili to samo. Ich twarze zmieniły się w uprzejme maski. George powiedział:

- Za pamięć" Rosemary. Podnieśli kieliszki do ust. Wypili.

Przez chwilę nic się nie działo - a potem George pochylił się do przodu, gorączkowo przyłożył dłonie do gardła, jego twarz poczerwieniała, gdy walczył o oddech.

Minęło półtorej minuty, nim umarł.

## **KSIĘGA TRZECIA**

### **IRIS**

„Gdyż myślałem, że zmarli spoczywają w pokoju. Ale tak nie jest...”

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Pułkownik Race wszedł do Scotland Yardu.

Wypełnił formularz, który mu podsunęto i już w parę minut później potrząsał dłonią nadinspektora Kempa w jego gabinecie.

Obaj mężczyźni znali się dobrze. Kemp przypominał trochę wielkiego starego weterana Battle'a. Cóż, skoro pracował dla niego od lat, może podświadomie skopiował charakterystyczne manieri starszego mężczyzny. Podobnie jak on wydawał się wyciosany z jednego kawałka - ale podczas gdy Battle zdawał się wyciosany z drewna lękowego lub dębu, nadinspektor Kemp przywodził na myśl budulec bardziej szlachetny, na przykład mahoń lub staromodny palisander.

- Dobrze, że zadzwoniłeś - powiedział Kemp. -Będziemy potrzebowali wszelkiej dostępnej pomocy.

- Najwyraźniej w sprawę zamieszany jest ktoś na świeczniku - zauważył Race.

Kemp nie próbował zaprzeczyć. Przyjmował z prostotą niezaprzeczalny fakt, że otrzymywał sprawy jedynie wyjątkowo delikatne, wzbudzające powszechne zainteresowanie lub niezwykle ważne. Powiedział z powagą:

- Chodzi o Kidderminsterów. Rozumiesz, że to narzuca nam wielką ostrożność.

Race skinął głową. Spotkał lady Alexandrę Farraday kilkakrotnie. Była jedną z tych kobiet o nienaruszalnej pozycji, kobiet, przy których jakiegokolwiek skojarzenie z publiczną sensacją wydaje się absurdalne. Słyszał ją przemawiającą na trybunach - bez elokwencji, ale jasno i kompetentnie, z dobrym rozumieniem poruszanego tematu i świetną dykcją.

Publiczne życie takiej kobiety opisywały wszystkie gazety, a jej życie prywatne praktycznie nie istniało, poza niejasnymi wzmiankami o rodzinie.

Tym niemniej, jak pomyślał, takie kobiety miały życie prywatne. Wiedziały, co to rozpacz, miłość i ataki zazdrości. Mogły stracić opanowanie i tam, gdzie w grę wchodziła namiętność, ryzykować nawet życiem.

Powiedział z zaciekawieniem:

- Przypuśćmy, że rzeczywiście jest winna.

- Lady Alexandra? Tak sądzisz?

fev^ Nie mam pojęcia. Ale załóżmy, że to ona. Albo jej mąż, skrywający się pod płaszczkiem Kiddermin-sterów.

Kemp spokojnie spojrzał swoimi morskozielonymi oczyma w twarz Race\*a.

- Jeśli mordercą jest rzeczywiście jedno z nich, uczynimy wszystko, by winny zawisł na szubienicy. Wiesz o tym dobrze. W tym kraju nie boimy się ani nie mamy w/.ględów dla morderców. Ale musimy zdobyć absolutnie niepodważalne dowody - tego będzie żądał prokurator.

Race przytaknął. A potem zaproponował:

- Przystąpmy do sprawy.

- George Barton zmarł otruty cyjankiem potasu -identycznie jak rok wcześniej jego żona. Mówiłeś, że byłeś na miejscu?

- Tak. Barton zaprosił mnie na przyjęcie. Odmówiłem. Nie podobało mi się to, co robił. Sprzeciwiłem się i nakłaniałem go, by, jeśli ma wątpliwości dotyczące śmierci żony, zwrócił się do

właściwych osób - do was.

Kemp skinął głową. - ' - To powinien być zrobić - stwierdził,

- Zamiast tego uparł się przy swoim pomysle -ciągnął pułkownik - żeby zastawić pułapkę na mordercę.

Nie chciał mi wyjawić, na czym polega. Cała sprawa nie podobała mi się na tyle, że zeszłej nocy poszedłem do „Luxembourg”. Wolałem mieć na wszystko oko. Oczywiście mój stolik stał w pewnej odległości. Nie chciałem, by ktoś mnie zauważył. Na nieszczęście nic nie mogę powiedzieć. Nie dostrzegłem nic podejrzanego. Do stolika podchodzili jedynie kelnerzy i goście.

- Tak - powiedział Kemp - to zawęźa krąg podejrzanych, prawda? Mordercą jest albo jeden z gości, albo kelner, Giuseppe Bolsano. Dziś rano powtórnie wziąłem go na dywanik. Myślałem, że może będziesz chciał go zobaczyć, choć nie sądzę, żeby miał z tym cokolwiek wspólnego. Pracuje w „Luxembourg” od dwunastu lat. Ma świetną opinię, żonę, troje dzieci, czystą kartotekę. Jest w dobrych stosunkach z wszystkimi klientami.

- Co zostawia nam samych gości.

- Tak. To ci sami ludzie, którzy byli przy... śmierci pani Barton.

- A właśnie, co z jej sprawą, Kemp?

- Sprawdzalem akta, ponieważ jest całkiem oczywiste, że obie sprawy się ze sobą łączą. Ówczesne śledztwo prowadził Adams. Nie można by tego nazwać jednoznacznym przypadkiem samobójstwa, ale też to wydawało się najbardziej prawdopodobne. Ze względu na brak jakichkolwiek konkretnych dowodów morderstwa, trzeba było zamknąć sprawę z takim właśnie orzeczeniem. Nie można było zrobić nic innego. W kartotekach mamy sporo podobnych przypadków, jak sam wiesz. Samobójstwo ze znakiem zapytania. Społeczeństwo o tym nie wie, ale my pamiętamy. Czasami zaczynamy sprawdzać je dyskretnie. Niekiedy coś nowego wyskakuje, niekiedy nie. W tym wypadku - nie.

- Aż do teraz.

- Aż do teraz. Ktoś podsunął panu Bartonowi, że jego żona została zamordowana. Zajął się tym na własną rękę, właściwie ogłosił, że jest na dobrym tropie. Nie wiem, czy naprawdę. Tak musiał uznać morderca. Przestraszył się i zamordował Bartona. Tak to wygląda dla mnie. Mam nadzieję, że się zgadzasz?

- Och, tak. Przynajmniej ta część wydaje się dość jasna. Bóg wie, na czym polegała pułapka. Zauważyłem, że przy stoliku zostawiono jedno puste miejsce. Może czekało na jakiegoś niespodziewanego świadka. W każdym razie wywołało inny efekt od zamierzonego. Zaalarmowało winnego tak bardzo, że nie czekał, aż pułapka się zatrzaśnie.

- Mamy więc pięciu podejrzanych - podsumował Kemp. - I najpierw musimy rozwiązać sprawę pani Barton.

- Jesteś przekonany, że nie popełniła samobójstwa?

- Tego właśnie dowodzi morderstwo Bartona. Choć raczej nie można nas winić, że wówczas uznaliśmy teorię samobójstwa za najbardziej prawdopodobną. Mieliśmy na to dowody.

- Depresja pogrypowa?

Na drewnianej twarzy Kempa pojawił się cień uśmiechu.

- To było tylko dla koronera. Zgadzało się z zeznaniami lekarza i oszczędzało uczucia zainteresowanych. Takie coś robi się codziennie. Ale mamy jeszcze nie dokończony list do siostry ze wskazówkami, jak rozdzielić rzeczy zmarłej. To dowodzi, że myślała o samobójstwie. Biedaczka była w depresji, w to nie wątpię. Jeśli chodzi o kobiety, w dziewięciu przypadkach na dziesięć przyczyną jest romans. W wypadku mężczyzn chodzi przeważnie o kłopoty finansowe,

- Więc wiedzieliście, że pani Barton miała kochankę?

- Tak, szybko to odkryliśmy. Byli dyskretni, ale nie musieliśmy daleko szukać.

- Stephen Farraday?

- Tak. Spotykali się w małym mieszkanku przy EarFs Court. Trwało to od ponad sześciu miesięcy. Powiedzmy, że pokłócili się albo on się nią znudził. Cóż, nie byłaby pierwszą kobietą, która w desperacji targnęła się na swoje życie.

- Trując się cyjankiem potasu w restauracji?

- Cóż, jeśli chciała, by wyglądało to dramatycznie, by on to widział... Niektórzy ludzie lubią widowiskowość. Z tego, co mogłem odkryć, nie przejmowała się konwenansami. To on przedsiębrał wszystkie środki ostrożności.

- Czy są jakieś dowody na to, że jego żona wiedziała, co się działo?

- Na ile mogliśmy to sprawdzić, nie miała pojęcia.

- A jednak mogła wiedzieć. To nie jest typ kobiety noszącej serce na dłoni.

- Och, na pewno. Każde z nich może być mordercą. Ona z zazdrości. On - dla dobra swojej kariery. Rozwód by ją zniszczył. Choć nie znaczy już tyle, co dawniej, ale w jego przypadku byłby równoznaczny z antagonizmem klanu Kidderminsterów.

- A co z sekretarką?

- To również prawdopodobne. Mogła robić słodkie oczy do George'a Bartona. Przyjaźnili się ze sobą i być może ona go bardzo lubiła. Wczoraj jedna z telefonistek naśladowała Bartona, jak trzymał Ruth Lessing za rękę i mówił, że nie poradziłby sobie bez niej. Na to weszła panna Lessing i

wylała ją. Dała dziewczynie miesięczną pensję i kazała odejść. Najwyraźniej jest dość czuła na tym punkcie. Trzeba jeszcze pamiętać, że siostra zmarłej dostała sporo pieniędzy. Wyglądała na miłe dziecko, ale

nigdy nic nie wiadomo. No i na komet; jest jeszcze drugi facet pani Barton.

- Chciałbym usłyszeć, co o nim wiesz. Kemp powiedział powoli:

- Intrygująco mało, a i to, co wiemy, niewiele znaczy. Paszport ma w porządku. Jest obywatelem amerykańskim, o którym niczego nie możemy się dowiedzieć - na jego niekorzyść czy nie. Przyjechał tu, zatrzymał się w „ClaridgeY” i zdołał zaprzyjaźnić się z lordem Dewsbury.

- Blisko?

- Prawdopodobnie. Dewsbury najwyraźniej przepada za nim, prosił go, by został na dłużej. Sytuacja była dość napięta.

- W zakładach zbrojeniowych - przytaknął Race. - Chodziło o kłopoty z nowym czołgiem, za co odpowiadał Dewsbury.

- Tak. A Browne podawał się za człowieka zainteresowanego sprzętem wojskowym. Wkrótce po jego przyjeździe odkryto próbę sabotażu, i to w ostatniej chwili. Browne spotykał się z przyjaciółmi Dewsbury’ego. Najwyraźniej podtrzymywał kontakty z każdym, kto był związany z fabryką broni. W rezultacie pokazano mu wiele sprzętu, którego według mnie nie powinien był nigdy oglądać. W kilku przypadkach zaraz po jego wizycie w okolicy zaczęły się poważne kłopoty.

- Interesujący człowiek z tego pana Anthony’ego Browne’a?

- Tak. Ma najwyraźniej sporo osobistego uroku i potrafi go wykorzystać.

- A jak się ma do tego pani Barton? George Barton nie miał nic wspólnego z bronią?

- Nie. Ale najwyraźniej bardzo się przyjaźnili z panią Barton. Może z czymś się przed nią wygadał. Sam wiesz,

ile tajemnic piękna kobieta potrafi wyciągnąć od mężczyzny.

Race skinął głową, przyjmując słowa nadinspektora tak, jak zostały wypowiedziane, to znaczy w odniesieniu do kontrwywiadu, którym niegdyś zarządzał, a nie - jak ktoś nie wtajemniczony mógłby sądzić - do spraw osobistych.

Po chwili zapytał:

- Czy widziałeś listy, które otrzymał George Barton?

- Tak, Wczoraj wieczór, były w jego biurku. Pokazała mi je panna Marie.

- Bardzo mnie interesują. Jak brzmi ekspertyza?

- Tani papier, zwyczajny atrament; odciski palców wskazują, że dotykał ich George Barton i Iris Marie. Jest jeszcze całe mnóstwo nie określonych odcisków na kopertach - prawdopodobnie urzędników poczty itd. Napisano je na maszynie i, zdaniem fachowców, autorem jest ktoś wykształcony i zdrowy.

- Wykształcony. A więc nie służący?

- Najwyraźniej nie.

- To czyni je jeszcze bardziej interesującymi.

- Przynajmniej wskazują na to, że ktoś jeszcze coś podejrzewał.

- Ktoś, kto nie poszedł z tym na policję. Ktoś gotów, by obudzić podejrzenia w George'u, kto jednak nie kontynuował sprawy. Jest w tym coś dziwnego, Kemp. Nie napisał ich przecież sam, prawda?

- Mógłby. Ale po co?

- Jako preludium samobójstwa, które zamierzał popełnić tak, by wyglądało na morderstwo.

~ A na szubienicy miał zawisnąć Stephen Farraday? Może, ale musiałby upewnić się, że wszystkie fakty wskazują na Farradaya. A my nic na niego nie mamy.

- Co z cyjankiem? Czy odkryto, jak go przyniesiono?

- Tak. Pod stołem leżała mała, biała, papierowa paczuszka. W środku znaleźliśmy ślady kryształków trucizny. Żadnych odcisków palców. W powieści byłby to oczywiście jakiś specjalny papier albo kartka złożona w szczególny sposób. Chciałbym zrobić autorom kryminałów kurs z naszej rutynowej pracy. Wkrótce dowiedzieliby się, że przedmioty zwykle pozbawione są śladów i nikt nigdy niczego nie zauważa!

Race uśmiechnął się.

- Twierdzenie chyba przesadne. Czy nikt nic nie zauważył zeszłego wieczoru?

- Tym zajmę się dzisiaj. Wczoraj zebrałem krótkie zeznania od wszystkich obecnych, wróciłem na Elvaston Square z panną Marie i przejrzałem zawartość biurka Bartona. Dzisiaj będę miał dokładniejsze zeznania, zobaczę się też z ludźmi siedzącymi przy pozostałych dwóch stolikach w alkowie... - zaczął przerzucać jakieś papiery. - Tak, mam ich tutaj, Gerard Tollington, gwardzista, oraz czcigodna Patricia Brice-Woodworth. Młodzi narzeczem. Założę się, że nie dostrzegali nikogo prócz siebie. Pan Pedro Morales - jakiś bogacz z Meksyku. Nawet białka jego oczu są żółte. Oraz panna Christine Shannon, śliczna blondynka szukająca bogatych facetów. Ona pewnie też nic nie widziała; jest niewiarygodnie głupia, chyba że chodzi o pieniądze. Istnieje jedna szansa na sto, że którekolwiek z nich coś zauważyło, ale na wszelki wypadek zapisałem ich nazwiska i adresy.

Zaczniemy od kelnera Giuseppe. Jest tutaj. Każ? go zaraz wezwać.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Giuseppe Bolsano był drobnym mężczyzną w średnim wieku, o twarzy inteligentnej małpy. Denerwował się, ale nie przesadnie. Mówił po angielsku płynnie, ponieważ, jak wyjaśnił, mieszkał w Anglii od szesnastego roku życia i poślubił Angielkę.

i Kemp potraktował go łagodnie.

i - A więc, Giuseppe, posłuchajmy, czy coś ci się

jeszcze nie przypomniało.

- To dla mnie bardzo nieprzyjemne. To ja podaję! do stołu. Ja nalewam wino. Ludzie powiedzą, że straciłem rozum i wsypuje truciznę do kieliszków. Tak nie jest, ale to właśnie ludzie powiedzą. Już teraz pan

f Goldstein mówi, że powinienem wziąć tydzień urlopu, f żeby ludzie nie zadawali mi pytań i nie wskazywali na

; mnie palcami. To dobry człowiek, sprawiedliwy, i wie, że to nie moja wina. Pracuje tam od wielu lat, więc nie wyrzuci mnie, jak zrobiłby inny właściciel restauracji. Także pan Charles był bardzo miły. Jednak to dla mnie ogromne nieszczęście i zaczynam się bać. Pytam siebie: czy ja mam jakiegoś wroga?

- A masz? - spytał z kamienną twarzą Kemp. Smutne, małpie oblicze wykrzywił grymas uśmiechu.

Giuseppe wyciągnął ramiona.

- Ja? Ja nie mam wroga na całym świecie. Wielu przyjaciół, ale żadnego wroga.

Kemp chrząknął.

- Przejdźmy do zeszłego wieczoru. Opowiedz mi o szampanie.

- To był Clicquot, rocznik tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy - bardzo dobre i drogie wino. Taki był

pan Barton - lubił dobrze zjeść i wypić. Zamawiał tylko to, co najlepsze.



- Czy markę wina wybrał wcześniej?

- Tak. Ustalił wszystko z Charlesem.

; - A co z pustym miejscem przy stole?

- To też zostało ustalone. Pan Barton powiedział Charlesowi, a Charles mnie. Później miała je zająć pewna młoda dama. -f \$\$} j

- Młoda dama? - Race i Kemp wymienili spojrzenia, - Wiesz, kim była?

s%&tGiuseppe potrząsnął głową. #vfo · ^rgi\*

- Nie, nic o tym nic wiem. Miała przyjść\* później, tyle słyszałem.

- Wróćmy do wina. Ile butelek zamówiono?

- Dwie i trzecią, gdyby było trzeba. Pierwszą wypito dość szybko. Drugą otworzyłem niedługo przed kabaretem. Napelniłem kieliszki i odłożyłem ją do wiaderka z wodą.

- Kiedy po raz ostatni widziałeś, jak pan Barton pił ze swojego kieliszka?

- Niech pomyślę... Po kabarecie wypili za zdrowie młodej damy. Jak rozumiem, to były jej urodziny. Potem poszli tańczyć. Wrócili, pan Barton napił się i w minutę było po nim.

- Czy dolewałeś szampana, kiedy tańczyli?

- Nie, monsieur. Kieliszki były pełne, kiedy wzniesiono toast za zdrowie mademoiselle. Wszyscy wypili tylko parę łyków. Sporo wina zostało.

- Czy ktoś, ktokolwiek, podchodził do stolika, kiedy goście tańczyli?

- Zupełnie nikt, proszę pana. Jestem tego pewny.

- Czy wszyscy poszli tańczyć równocześnie?, -:«\*- Tak.

""Ł«? - I razem wrócili?

Giuseppe zmrużył oczy, wysilając pamięć.

- Pierwszy wrócił pan Barton razem z młodą damą. Był poważniejszy od reszty i nie tańczy] zbył dłu^o, rozumie pan. Potem wrócił jasnowłosy dżentelmen, pan Farraday, i młoda pani w czerni. Lady Alexandra Far-raday i ciemnowłosy dżentelmen nadeszli na końcu.

- Znasz pana Farradaya i lady Alexandrę?

- Tak. proszę pana. Często ich widuję w „Luxem-bourgu”. Bardzo się wyróżniają.

- Czy dostrzegłbyś, gdyby którykolwiek z gości wsypał coś do kieliszka pana Bartona?

- Tego nie mogę powiedzieć, proszę pana. Mam swoją pracę: dwa pozostałe stoliki w alkowie i jeszcze dwa w głównej sali. Muszę podawać dania. Nie obserwowałem stolika pana Bartona. Po kabarecie prawie wszyscy wstali i poszli tańczyć, więc czekałem bez ruchu i dlatego mogę być pewny, że nikt nie podchodził do stołu. Ale jak tylko goście z powrotem usiedli, miałem sporo zajęć.

Kemp skinął głową.

- Mimo to sądzę - ciągnął Giuseppe - że byłoby bardzo trudno wsypać coś tak, żeby nikt nie zauważył. Wydaje mi się, że tylko pan Barton mógłby to zrobić. Ale wy pewnie tak nie myślicie?

Spojrzał pytająco na oficera policji.

- Tak uważasz?

- Właściwie nic nie wiem, ale zastanawiam się. Dopiero rok temu zabiła się ta śliczna pani, pani Barton. Czy nie mogło być tak, że pan Barton rozpaczał bardzo i postanowił zabić się w taki sam sposób? To by było romantyczne. Oczywiście, to bardzo niedobrze dla restauracji. Ale dżentelmen, który chce popełnić samobójstwo, nie pomyślałby o tym.

Spojrzał uważnie najpierw na jednego mężczyznę, potem na drugiego.

Kemp potrząsnął głową.

.Ł? - Wręcić, żeby było to takie proste - powiedziało. "" Zadań jeszcze parę pytań, a potem zwolnię Giuseppe. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Race zauważyło:

- Ciekawe, czy tak właśnie mieliśmy pomyśleć?

- Zasmucony mąż popełnia samobójstwo w rocznicę śmierci żony? Choć to nie była rocznica, raczej coś koło tego.

- Święto Zmarłych - powiedział Race.

-w-. - Racja. Cóż, możliwe, że taki był pomysł - lecz ktokolwiek go miał, nie przewidział, że pan Barton zatrzyma anonim, doradzi się cię i pokaże je Iris Marie.

Spojrzał na zegarek.

- O dwunastej trzydzieści muszę być u Kiddermin-sterów. Mamy czas, by przedtem odwiedzić ludzi, którzy siedzieli wczoraj przy pozostałych dwóch stolikach. Przynajmniej niektórych. Wybierzesz się ze mną?

## ROZDZIAŁ TRZECI

Pan Morales zatrzymał się w „Ritzu”. O tak wczesnej porze nie przedstawiał sobą miłego widoku - nie ogolony, z przekrwionymi oczyma i wszelkimi oznakami potężnego kaca.

Pan Morales był obywatelem amerykańskim i mówił z amerykańskim akcentem. Choć wyznał, że z chęcią przypomni sobie wszystko, jego wspomnienia dotyczące minionego wieczoru okazały się bardzo niejasne.

- Byłem z Chrissie. Nieźle ziółko z tej dziewczyny. Powiedziała, że knajpa jest OK. Dziecino, rzuciłem jej na to, pójdziemy wszędzie, gdzie powiesz. Knajpa okazała się pierwszej klasy, przyznaję; a obsługa świetnie wie, na ile cię naciąć. Ja wybuliłem całe trzydzieści dolców. Tylko orkiestra była dziadowska, nie potrafili nawet swingować.

Pan Morales został odwiedziony od wspomniania własnych wrażeń i nakłoniony, by wrócić pamięcią do środkowego stolika w alkwie. Tu nie mógł wiele pomóc.

- Na pewno stał tam stół i siedziało przy nim paru ludzi. Nie pamiętam, jak wyglądali. Nie zwracałem na nich uwagi, póki ten gościu nie wykitował. Najpierw pomyślałem, że zalał się w trupa. A, przypominam sobie jedną damulkę. Miała ciemne włosy i wszystko na swoim miejscu.

- Chodzi panu o dziewczynę w aksamitnej zielonej sukni?

- Nie, nie ta. Za chuda. Mówię o dziecinie w czerni, tej dobrze zaokrąglonej.

Uwagę pana Moralesa przyciągnęła Ruth Lessing.

Z uznaniem pociągnął nosem.

- Palrzyłem, jak tańczy, i mówię wam: naprawdę lo potrafi! Puściłem do niej ze dwa razy oko, ale była zimna jak ryba. Popatrzyła przez mnie, jak to wy, Brytyjczycy, potraficie.

Poza tym nie można było wydobyć z pana Moralesa nic istotnego. Przyznał uczciwie, że zanim zaczął się kabaret, sam był już nieźle ubzdryngolony.

Kemp podziękował mu i gotował się do odejścia.

- Jutro płyn? do Nowego Jorku - powiedział Morales, - Nie chce pan - spytał z nadzieją - żebym został?

- Dziękuję, ale pana zeznania raczej nie będą potrzebne w czasie śledztwa.

- Widzi pan, nieźle si? u was bawię, i gdyby chodziło o policję, moja firma nie mogłaby się rzucać. Kiedy gliny każą ci zostać, musisz zostać. Może przypomniałbym coś sobie, gdybym mocno pomyślał?

Lecz Kemp odrzucił przynętę i razem z Race'em pojechali na Brook Street, gdzie powitał ich choleryczny dżentelmen, ojciec czcigodnej Patricii Brice-Woodworth.

Generał lord Woodworth przyjął ich nie powstrzymując się do komentarza.

Cóż to u diabła za pomysł, że jego córka - jego córka! - miałyby być zamieszana w coś takiego? Czy dziewczyna nie może wyjść ze swoim narzeczonym na kolację, żeby nie nachodzili jej detektywi ze Scotland Yardu? Dokąd zmierza ten kraj? Nawet nie zna tych ludzi, jak to się oni nazywają... Hubbard... Barton? Jakiś ważniak z City. To dowodzi, że nie można być za ostrożnym, wybierając miejsce spotkania. „Luxembourg” uważano za porządną restaurację, choć najwyraźniej już po raz drugi doszło tam do czegoś takiego. Gerald musiał zgłupieć, żeby zabrać tam Pat. Ci młodzi ludzie myślą, że zjedli wszystkie rozumy. W każdym razie on nie

zamierza pozwolić, by jego córkę gnębiono, straszono i przepytywano - chyba że zgodzi się na to jego adwokat. Zadzwoń do starego Andersena z Lincoln's Inn\* i zapytaj...

Tu generał urwał raptownie i wpatrując się w Race'a powiedział:

- Widziałem pana gdzieś. Gdzie...?

Odpowiedź pułkownika padła natychmiastowo, okraszona uśmiechem.

- W Baddcypore, w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim.

- Na Jowisza! - wykrzyknął generał. - Przecież to Johnny Race! Co ty robisz w tym przedstawieniu?

Race uśmiechnął się.

- Akurat byłem z nadinspektorem Kempem, kiedy pojawiła się kwestia przesłuchania pańskiej córki. Zaproponowałem, że byłoby jej przyjemniej, gdyby nadinspektor odwiedził państwa, zamiast zmuszać ją do przyścia do Scotland Yardu i pomyślałem, że zabiorę się razem z nim.

- Och... no cóż, to bardzo przyzwoicie z twojej strony, Race.

- Oczywiście zamierzamy w minimalnym stopniu naruszyć spokój młodej damy - wtrącił się nadinspektor Kemp.

Lecz w tej samej chwili otworzyły się drzwi, do pokoju wkroczyła panna Patricia Brice-Woodworth i opanowała sytuację z chłodem i obojętnością właściwą młodym ludziom.

- Cześć - powiedziała. - Jesteście ze Scotland Yardu, prawda? Chodzi o zeszły wieczór? Czekałam, kiedy się wreszcie zjawicie. Czy ojciec was zamięczał? Przestań

Lincoln's Inn - nazwa stowarzyszenia prawniczego.

już, tatku. Wiesz, co lekarz mówił o twoim ciśnieniu. Nie rozumiem, po co się tak wszystkim

denerwujesz. Zaprowadzę panów inspektorów, nadinspektorów, czy kim tam są, do swojego pokoju, a tobie przyślę Waltersa z whisky i wodą sodową.

General zamierzał rzucić kolejną sarkastyczną uwagę, lecz zdołał tylko powiedzieć: -i ys^r- To mój stary przyjaciel, major Race.

Usłyszawszy to, Patricia natychmiast straciła zainteresowanie dla Race'a i skierowała promienny uśmiech do nadinspektora Kempa.

Obejmując dowodzenie, poprowadziła ich do własnego salonu, zdecydowanie zamykając drzwi gabinetu ojca.

- Biedny tatko - rzuciła. - Będzie się wściekał. Ale tak naprawdę łatwo można sobie z nim poradzić.

Rozmowa potoczyła się bardzo miło, lecz dała nikły rezultat.

- To doprowadza do szału - zauważyła Patricia. -Prawdopodobnie mam jedyną szansę w życiu: znalazłam się dokładnie na miejscu zbrodni - bo to była zbrodnia, prawda? Artykuły w gazetach są bardzo ostrożnie i niejasne, ale przez telefom mówiłam Gerry'emu, że to morderstwo. Pomyśleć tylko, morderstwo popełnione tuż przy mnie, a ja nawet nie patrzyłam!

W jej głosie brzmiał jednoznaczny żal.

Było wystarczająco jasne, że - jak przewidział nad-inspektor - dwoje młodych ludzi, zaręczonych zaledwie tydzień wcześniej, widziało tylko siebie.

Przy najlepszej woli Patricia Brice-Woodworlh mogła przypomnieć sobie jedynie kilka osób.

- Sandra Farraday wyglądała bardzo elegancko, ale tak jest zawsze. Miała na sobie suknię od Schiaparel-iego.

- Zna ją pani? - spytał Race. Patricia potrząsnęła głową.

- Tylko z widzenia. On wygląda na nudziarza, zawsze tak uważałam. Nadęty jak większość polityków.

- Czy zna pani z widzenia pozostałych gości? Potrząsnęła głową.

- Nie, nigdy ich nie widziałam. Przynajmniej nie przypominam sobie. Tak naprawdę nie zauważyłabym nawet Sandry Farraday, gdyby nie suknia od Schiapa-relliego.

- I odkryjesz - powiedział ponuro nadinspektor Kemp, kiedy wyszli z domu - że z paniczem Tolling-tonem będzie dokładnie tak samo. Tyle że on nie zauważył nawet sukni od szkapy... szopy... brzmi zupełnie jak szop pracz.

- Rzeczywiście, nie sądzę, by krój wieczorowego stroju Stephena Farradaya przyprawił go o

szybsze bicie

serca - zgodził si? Kace.

- No cóż. Spróbujmy teraz z Christine Shannon. Na tym będzie koniec z szansą na znalezienie świadka z zewnątrz.

Panna Shannon była, jak zauważył nadinspektor Kemp, śliczną blondynką. Rozjaśnione włosy, starannie ułożone, zaczesane do tyłu, odsłaniały miękką, pustą twarz dziecka. Panna Shannon była być może - jak zapewniał nadinspektor - głupia, ale miło było na nią spojrzeć, a błysk przebiegłości w olbrzymich, błękitnych oczach wskazywał, że jej głupota dotyczyła jedynie intelektu, a tam, gdzie chodziło o chłopski rozum i znajomość finansów, Christine Shannon dawała sobie świetnie radę.

Przyjęła obu gości ze słodyczą, proponując im drinki, a kiedy odmówili, poczęstowała ich papierosami. Jej mieszkanie było małe, w tanim, modernistycznym stylu.

- Bardzo chciałabym pomóc, nadinspektorze - powiedziała. - Proszę pytać mnie o wszystko.

Kemp zaczął od kilku konwencjonalnych pytań o wygląd i zachowanie gości przy środkowym stole.

Christine od razu okazała się bystrym i uważnym obserwatorem.

"- - Przyjęcie nie szło za dobrze, to było widać. Drętwe, jak to tylko możliwe. Było mi żal staruszka, tego, co je wydawał. Robił wszystko, by jakoś się rozkręciło i denerwował się jak kot na rozgrzanym dachu. Niestety wszystko, co robił, nie mogło przełamać lodów. Wysoka kobieta po jego prawej zachowywała się sztywno, jakby połknęła kij od szczotki, a smarkula po lewej była wściekła, bo nie siedziała obok przystojnego czarnego chłopca naprzeciw. Jeśli chodzi o wysokiego blondyna obok niej, to ten wyglądał, jakby było coś nie tak z jego żołądkiem - jadł zupełnie jakby zaraz miał się udławić. Kobieta obok niego starała się, jak mogła, zmuszała blondyna do rozmowy, ale sama była cała w nerwach.

- Najwyraźniej zauważyła pani całkiem sporo, panno Shannon - stwierdził pułkownik Race.

- Zdradzę wam sekret. Nie bawiłam się zbyt dobrze. Trzy noce z rzędu wychodziłam ze znajomym i już strasznie mnie męczył. Aż się palił, żeby obejrzeć Londyn, zwłaszcza to, co nazywał pierwszoklasnymi knajpami. Muszę przyznać, że nie był skąpy. Za każdym razem szampan. Poszliśmy do „Compradour”, do „Mille Fleurs”, a na koniec do „Luxembourga”. On świetnie się bawił. W pewnym sensie było to wzruszające. Lecz rozmowy z nim nie można by uznać za ciekawą. Po prostu długie opowieści o interesach w Meksyku, a większość z nich słyszałam po raz trzeci. Opowiadał też o wszystkich panienkach, które znał i które wręcz szalały za nim. Dziewczyna zaczyna się nudzić słuchając

takich rzeczy, a jeśli znacie Pedra, musicie przyznać, że nic ma na czym zawiesić oka. Tak więc skupiałam się na jedzeniu i krążyłam wokół wzrokiem.

- Cóż, z naszego punktu widzenia świetnie się składa, panno Shannon - zauważył nadinspektor.

- Mam tylko nadzieję, że dostrzegła pani coś, co pomoże rozwiązać nasz problem.

Christine potrząsnęła blond włosami.

- Nie mam pojęcia, kto wykończył staruszka - najmniejszego. Po prostu pociągnął łyk szampana, poczerwieniał i osunął się twarzą na stół.

- Czy pamięta pani, kiedy poprzednio pił szampana? Dziewczyna zastanowiła się.

- Ależ... tak, to było tuż po kabarecie. Światła rozbłysły, a on podniósł kieliszek i powiedział coś, na co wszyscy poszli w jego ślady. Wyglądało mi to na toast.

Nadinspektor przytaknął.

- A polem? - spytał.

- Potem zaczęła grać orkiestra i wszyscy poszli tańczyć, odsunawszy krzesła, roześmiani. Najwyraźniej atmosfera ocieplała się. ftrampan sprawia CUd% flfl fi7.tyWRych

impresach.

- Wszyscy poszli razem, zostawiając pusty stolik?

- Tak.

- I nikt nie tknął kieliszka pana Bartona?

- Nikt - jej odpowiedź padła błyskawicznie. - Tego jestem zupełnie pewna.

- I nikt, absolutnie nikt nie podchodził do stolika w czasie, gdy tańczyli?

- Nikt, oczywiście oprócz kelnera.

- Kelnera? Którego?

- Jednego z pomocników, w fartuchu. Wyglądał na szesnaście lat. To nie był prawdziwy kelner, tylko usłużny mały chłopaczek przypominający małpę. Chyba Włoch.

Nadinspektor Kemp przyjął opis Giuseppa Bolsano skinieniem głowy.

- I co zrobił ten miody kelner? Napełnił kieliszki? Christine potrząsnęła przecząco głową.

- Och, nie. Nie dotykał niczego na stole. Podniósł tylko wieczorową torebkę, którą jedna z dziewcząt upuściła, wstając do tańca.

- Czyja to była torba?

Christine zamyśliła się na kilka chwil. A potem powiedziała:

- Zgadza się. To była torebka tej młodej - zielono-ć-złota. Pozostałe dwie miały czarne torebki,

- Co zrobił z nią kelner? Christine wyglądała na zdziwioną.

- Po prostu położył ją z powrotem na stole.

- Jest pani pewna, że nie dotykał kieliszków?

- Tak. Odstawił torebkę szybko i odbiegł, ponieważ któryś z prawdziwych kelnerów zasyczał na niego i kazał mu pójść gdzieś czy po coś, bo najwyraźniej zrobił coś nie tak!

- I tylko wtedy ktoś obcy podszedł do stołu?

- Tak jest.

- Ale oczywiście ktoś mógł zbliżyć się do stolika tak, by pani tego nie zauważyła?

Lecz Christine zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie. Jestem pewna. Widzi pan, Pedro został odwołany do telefonu i jeszcze nie wrócił, więc nie miałam nic do roboty - tylko rozglądać się dookoła z nudów. Jestem niezła, jeśli chodzi o dostrzeganie szczegółów, a z miejsca, gdzie siedziałam, widać było niewiele poza pustym stolikiem obok.

Race zapytał:

- Kto wrócił pierwszy?

- Dziewczyna w zielonej sukience i staruszek. Usiedli, a potem nadszedł blondyn i dziewczyna w czar-

nej sukni. Po nich ta wyniosła damulka i ciemnowłosa przystojniak. Świetnie tańczył. Kiedy wszyscy wrócili na miejsca, a kelner jak oszalały podgrzewał danie na maszynie spirytusowej, staruszek pochylił się w przód i wygłosił mowę. Wtedy powtórnie podnieśli kieliszki. No z potem to się stało.

Christine umilkła, a po chwili dodała różnym tonem:

- Okropne, prawda? Oczywiście pomyślałam sobie, że facet miał wylew. Moja ciotka zmarła na wylew i wyglądało to identycznie. Właśnie wrócił Pedro i rzuciłam do niego: „Patrz, Pedro, ten człowiek miał wylew”. A on powiedział: „To tylko niestrawność” - mając oczywiście na myśli jedynie to, co jemu samemu dolegało.

Muszę mieć go na oku. W takim miejscu jak „Luxem-bourg” nie może po prostu „zrobić się niedobrze”. Dlatego nie lubię Latynosów. Kiedy sobie popijają, przestają być szarmanccy i dziewczyna nigdy nie wie, jakie nie-przyjemności mogą ją spotkać.



Zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem, zerkając na pokazową bransoletkę na prawym nadgarstku, dodała:

- A jednak, muszę przyznać, są dość hojni. Łagodnie odciągając jej uwagę od znojów i korzyści panińskiego życia, Kemp jeszcze raz poprosił ją o relację z wydarzeń.

- Odeszła nasza ostatnia szansa na pomoc z zewnątrz - zwrócił się do Race'a, kiedy opuścili mieszkanie panny Shannon. - A byłaby to świetna szansa. Ta dziewczyna jest idealnym świadkiem. Widzi wszystko i dokładnie to zapamiętuje. Jeżeli można było coś zauważyć, ona by to zrobiła. Tak więc rozwiązanie brzmi, że nie było nic do zobaczenia. Niewiarygodne. Zupełnie iak sztuczka

iluzjonisty! George Barton pije szampana i idzie tańczyć. Wraca, pije z tego samego kieliszka, którego nikt nie

dotykał i proszę: kieliszek jest pełen cyjanku. To szaleństwo, mówię ci. Nie mogło się stać, tyle że właśnie się stało.

Urwał na chwilę.

- Kelner. Ten mały chłopak. Giuseppe nie wspominał mi o nim. Sprawdzę to. W końcu był jedyną osobą, która znalazła się obok stolika w czasie, gdy wszyscy tańczyli. Może w tym coś jest.

Race potrząsnął głową.

- Gdyby wsypał coś do kieliszka Bartona, zauważyłaby to ta dziewczyna. To urodzona obserwatorka. Nie ma w głowic choćby jednej myśli, dlatego używa oczu. Nie, Kemp, musi istnieć jakieś bardzo proste wyjaśnienie. Gdybyśmy tylko je znali!

- Mam jedno: sam wsypał truciznę.

- Zaczynam wierzyć, że rzeczywiście tak się stało. Lecz jeśli tak, jestem przekonany, że nie wiedział, iż to był cyjanek.

- Myślisz, że ktoś mu go podał? Mówiąc, że to na niestrawność lub nadciśnienie?

- Mogło tak być.

- Ale kto? Żadne z Farradayów.

- Raczej nieprawdopodobne.

- I powiedziałbym, że równie nieprawdopodobny wydaje się pan Anthony Browne. To zostawia nam tylko dwie osoby: przywiązaną szwagierkę...

- I pełnij poświęcenia sekretarkę. Kemp popatrzył na pułkownika,

- Tak, ona mogła mu to podsunąć. Idę teraz do Kidderminslerów. A ty? Zobaczysz, się z panną Marie?

- Raczej odwiedź? tę drugą, w biurze. Złożę jej kondolencje. Może zabiorę ją na lunch.

- A więc tak właśnie myślisz?

- Na razie nic nie myślę. Szukam śladów.

- Mimo to powinieneś zobaczyć się z Iris Marie.

- Zobaczę się z nią, ale wolałbym pójść do domu, kiedy jej tam nie będzie. Wiesz dlaczego, Kemp?

- Na pewno nie zgadnę.

- Ponieważ mieszka tam ktoś, kto lubi świergotać. Zupełnie jak ptaszek. „Powiedział mi ptaszek” - to było powiedzonko mojej młodości, i jest prawdziwe, Kemp. Te świergotki mogą powiedzieć wiele, jeśli tylko pozwoli się im... świergotać!

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Obaj mężczyźni rozdzielili się. Race zatrzymał taksówkę i pojechał do biura George'a Bartona w centrum. Nadinspektor Kemp, oszczędzając społeczne fundusze, wsiadł w autobus, który dowiózł go o rzut beretem od domu Kidderminsterów.

Jego twarz była dość ponura, kiedy wspinał się po stopniach i naciskał dzwonek. Wiedział, że znalazł się na niebezpiecznym gruncie. Klan Kidderminsterów i ich potężne wpływy polityczne rozprzestrzeniały się niczym sieć na terenie całego kraju, Nadinspektor Kemp miał pełne zaufanie do obiektywizmu brytyjskiej sprawiedliwości. Jeśli Stepehn lub Alexandra Farraday byli zamieszani w śmierć Rosemary Barton albo George'a Bartona, żadne „poparcie” czy „wpływy” nie pozwoliłyby im uciec przed konsekwencjami. Lecz jeśli byli niewinni lub dowody przeciwko nim były zbyt słabe, by doprowadzić do ich skazania - w takim przypadku oficer odpowiedzialny musiał uważać na swoje kroki albo dostałby po palcach od przełożonych. W tych okolicznościach można było zrozumieć, dlaczego nadinspektor nie zachwycał się tym, co go czekało. Wydawało mu się wysoce prawdopodobne, że Kidderminsterowie mogli, jak to określił, wściec się jak diabli.

Jednakże wkrótce odkrył, że jego przewidywania były dość naiwne. Lord Kidderminster był zbyt doświadczonym dyplomata, by posunąć się do niegrzeczności.

Wyjaśnwszy, z czym przyszedł, nadinspektor Kemp został natychmiast zaprowadzony przez

dostojnego lokaja do ciemnego, pełnego książek pokoju na tyłach domu, gdzie znalazł lorda Kidderminstera, jego córkę i zięcia, czekających na niego.

Lord Kidderminster wysunął się naprzód, uściśnął jego dłoń i powiedział: „»iM8fejKtStME \*&

~ Jest pan dokładnie o czasie, nadinspektórze. Czy pozwoli pan, że wyrażę, jak bardzo doceniam pańską uprzejmość, która kazała panu przyjść tutaj, zamiast żądać, by moja córka i jej mąż stawili się w Scotland Yardzie? Oczywiście byli gotowi to zrobić bez wahania, gdyby zaszła taka potrzeba. Tym niemniej, doceniają pańską uprzejmość.

Sandra powiedziała cicho:

- Tak, inspektorze.

Była ubrana w sukienkę z jakiegoś miękkiego, ciemnoczerwonego materiału; siedziała mając za plecami światło padające z wysokiego, wąskiego okna i przypominała Kempowi figurkę z witrażu, którą widział w jakiejś katedrze za granicą. Pociągły owal twarzy i trochę kanciaste ramiona pogłębiały złudzenie. Jakaś święta, jak mu powiedziano - tyle że Lady Alexandra Farraday nie była świętą. A jednak niektórzy święci wydawali się dość absurdalni z jego punktu widzenia. Nie przypominali zwyczajnych, miłych chrześcijan; byli nietolerancyjni, fanatyczni, okrutni dla siebie i innych.

Stephen Farraday stał tuż obok żony. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Wyglądał poprawnie i oficjalnie - mianowany przez lud prawodawca. Jego prawdziwy charakter został starannie ukryty. Ale istniał, o czym nadinspektor dobrze wiedział.

Mówił lord Kidderminster, umiejętnie sterując rozmową:

- Nie będę udawał, nadinspektorze, że dla nas wszystkich sprawa nie jest bolesna i niewdzięczna. Już po raz drugi moją córkę i zięcia łączy się z gwałtowną śmiercią w miejscu publicznym - ta sama restauracja i dwoje członków tej samej rodziny. Sensacja tego ro-

dzaju zawsze szkodzi człowiekowi publicznemu. Oczywiście, nie można jej uniknąć. Wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę i zarówno moja córka, jak i pań Farraday są gotowi pomóc panu, na ile mogą, w nadziei, że całe zdarzenie można szybko wyjaśnić, a wtedy zainteresowanie ogółu zniknie,

- Dziękuję panu, lordzie Kidderminster. Doceniam postawę, jaką pan przyjął. Ułatwia to nam całą sprawę.

Sandra Farraday powiedziała:

- Proszę pytać nas, o co tylko pan chce, nadinspektorze.

- Dziękuję, lady Alexandro.

- Jeszcze tylko jedna uwaga, nadinspektorze - wtrącił lord Kidderminster. - Macie oczywiście

własne źródła informacji, a od mojego przyjaciela, komisarza, słyszałem, że śmierć tego Bartona uznaje się raczej za morderstwo niż samobójstwo, choć dla obecnych na przyjęciu gości samobójstwo wydawało się rozwiązaniem bardziej prawdopodobnym. Ty, Sandro, myślałaś, że to samobójstwo, prawda, kochanie?

Gotycka figurka skinęła lekko głową. Sandra powiedziała z namysłem:

- Zeszłej nocy wydało mi się to oczywiste. Byliśmy w tej samej restauracji i przy tym samym stoliku, gdzie rok temu otruła się biedna Rosertary Barton. Widywaliśmy pana Bartona latem na wsi i zauważyliśmy, że zachowywał się dziwnie, niepodobnie do siebie. Wszyscy uznaliśmy, że odbiła się na nim śmierć żony. Widzi pan, on był do niej bardzo przywiązany i nie sądzę, że otrząsnął się po jej śmierci. Tak więc samobójstwo, jeśli nie naturalne, wydawało się przynajmniej możliwe. Natomiast zupełnie nie wyobrażam sobie, dlaczego ktoś mógłby zabić George'a Bartona.

Stephen Farraday wtrącił szybko:

- Ani ja. Barton był świetnym facetem. Jestem pewny, że nie miał wroga na całym świecie.

Nadinspektor Kemp spojrział na trzy zwrócone ku niemu pytające twarze i zastanowił się przez chwilę, zanim przemówił. „Lepiej niech się dowiedzą” - pomyślał.

- To, co pani mówi, lady Alexandro, jest jak najbardziej słuszne. Ale o kilku sprawach jeszcze pani nie wie.

Lord Kidderminster odezwał się pośpiesznie:

- Nie wolno nam zmuszać nadinspektora. To zależy wyłącznie od niego, które fakty zostaną ujawnione społeczeństwu.

- Dziękuję, milordzie, ale nie ma powodu, bym nie mógł pewnych rzeczy chód trochę wyjaśnić. Ograniczę się do tego, że George Barton przed śmiercią przekazał dwóm osobom, iż jest przekonany, że jego żona nie popełniła samobójstwa, jak sądzono, ale została otruta. Uważał też, że jest na tropie mordercy, a wczorajsza uroczystość, pozornie z okazji urodzin panny Marie, była w istocie częścią planu, jaki ułożył, by odkryć mordercę żony.

Przez moment panowała cisza i jednocześnie nadinspektor Kemp, wrażliwy mimo swej aparycji, wyczuł coś, co sklasyfikował jako przerażenie. Nie widać go było na żadnej twarzy, ale mógł przysiąc, że istniało.

Pierwszy otrząsnął się lord Kidderminster. Powiedział:

- Ależ na pewno... to przekonanie wskazywałoby, że nieszczęsny Barton nie był zupełnie... sobą? Rozmyślanie nad śmiercią żony mogło lekko wytrącić go z równowagi.

- Oczywiście, ale jednocześnie dowodzi to, że na pewno nie był w nastroju samobójczym.

- Tak... tak, rozumiem pański punkt widzenia.

;J\* Powtórnie zapadła cisza. A potem Stephen Farraday odezwał się ostro:

- Ale jakim cudem Barton wpadł na ten pomysł? Przecież pani Barton naprawdę popełniła samobójstwo.

Nadinspektor Kemp przeniósł spokojne spojrzenie na niego.

- Pan Barton tak nie sądził. Wtrącił się lord Kidderminster:

- Ale policja była usatysfakcjonowana? Wówczas nic nie sugerowało rozwiązania innego niż samobójstwo?

Nadinspektor powiedział cicho:

- Fakty wskazywały na samobójstwo. Nie było dowodu na to, że w jej śmierć mógł być zamieszany ktoś trzeci.

Wiedział, że człowiek kalibru lorda Kidderminstera domyśli się prawdziwego znaczenia jego słów. Trochę bardziej oficjalnie Kemp stwierdził:

- Teraz chciałbym zadać pani kilka pytań, jeśli pani pozwoli, lady Alexandro.

- Oczywiście - zwróciła lekko głowę ku niemu.

- Wczoraj nie miała pani żadnych podejrzeń, że pan Barton zmarł w wyniku morderstwa, a nie samobójstwa?

- Żadnych. Byłam pewna, że popełnił samobójstwo. Po chwili dodała:

- Nadal tak sądzę.

Kemp pozostawił to bez komentarza. Pytał dalej:

- Czy w minionym roku otrzymała pani jakieś anonimy?

Jej spokój zmąciło zdumienie.

- Anonimy? Ależ nie!

- Jest pani pewna? Takie listy są bardzo nieprzyjemne i zazwyczaj ludzie wolą je zignorować. Lecz w tym przypadku mogą być szczególnie ważne i dlatego podkreślam, że jeśli otrzymała pani jakiegokolwiek anonimy, jest niezwykle ważne, bym o tym wiedział.

- Rozumiem. Ale zapewniam pana, nadinspektorze, że nic takiego nie otrzymałam.

- Bardzo dobrze. Mówiła pani, że latem pan Barton zachowywał się dziwacznie. W jakim sensie?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Był bardzo drażliwy i nerwowy. Najwyraźniej z trudem skupiał swoją uwagę na tym, co do niego mówiono.

Zwróciła się do męża:

- Czy to właśnie cię uderzyło, Stephen?

- Tak, powiedziałbym, że lwój opis jest bardzo dokładny. Wyglądał też na fizycznie chorego. Schudł.

- Czy zauważyła pani jakąś zmianę w jego stosunku do pani i do męża? Na przykład mniej sympatii?

- Nie. Wręcz przeciwnie. Kupił dom, jak pan wie, tuż obok naszego. Wydawał się bardzo wdzięczny za to, co mogliśmy dla niego zrobić. Chodzi mi o przedstawienie go naszym miejscowym znajomym i tak dalej. Oczywiście było nam bardzo miło to robić, zarówno dla niego, jak i dla Iris Marie, która jest czarującą dziewczyną.

- Czy zmarła pani Barton była pani serdeczną przyjaciółką, lady Alexandro?

- Nie, nie łączyły nas bliższe stosunki. Roześmiała się.

- Naprawdę była przyjaciółką Stephena. Zainteresowała się polityką, a on pomagał... dokszałcał ją w tej materii, co mu się na pewno podobało. Była bardzo czarującą i atrakcyjną kobietą.

„A pani jest bardzo mądra - pomyślał z uznaniem nadinspektor Kemp. - Ciekawe, ile pani wie o tej dwójce. Pewnie sporo”.

Odezwał się:

- Pan Barton nigdy nie podzielił się z panią swoim przekonaniem, że jego żona nie popełniła samobójstwa?

„- Nie. Dlatego byłam tak zaskoczona.

- A panna Marie? Nie mówiła nigdy o śmierci siostry?

- Nie.

- Czy domyśla się pani, dlaczego George Barton kupił dom na wsi? Czy pani albo mąż podsunęliście mu ten pomysł?

- Nie, to była dla nas zupełna niespodzianka.

- I zawsze traktowałem was przyjaźnie?

- Bardzo.

- A co pani wie o Anthonym Brownie, lady Alexandro?

- Właściwie nic. Spotykałam go tylko przypadkiem.

- A pan, panie Farraday?

- Prawdopodobnie wiem o nim jeszcze mniej od mojej żony. Ona przynajmniej z nim tańczyła.

Wydaje się sympatycznym gościem. Chyba jest Amerykaninem.

- Czy na podstawie swoich obserwacji mógłby pan stwierdzić, że przyjaźnił się z panią Barton?

- W tej kwestii zupełnie nic nie wiem, nadinspektorze.

- Pytam tylko o pańskie wrażenia, panie Farraday. Stephen zmarszczył brwi.

- Byli zaprzyjaźnieni - i tylko tyle mogę powiedzieć.

- A pani, lady Alexandro?

- Chodzi tylko o moje wrażenia, nadinspektorze?

- Tylko o wrażenia.

- Jeśli to cokolwiek warte, z moich wrażeń wynikało, że znali się dobrze i byli zaprzyjaźnieni. Tak sądziłam ze sposobu, w jaki na siebie patrzyli. Nie miałam żadnych dowodów.

- Kobiety potrafią to bardzo dobrze ocenić - zauważył Kemp. Trochę głupkowaty uśmiech, z jakim rzucił tę uwagę, rozbawiłby pułkownika Race'a. - A co z panną Lessing?

- Panna Lessing, jak rozumiem, była sekretarką pana Bartona. Po raz pierwszy spotkałam ją tego wieczoru, kiedy zmarła pani Barton, Później widziałyśmy się jeszcze raz, kiedy przyjechała na wieś, no i wczoraj wieczór.

- Jeśli mogę postawić pani jeszcze jedno nieformalne pytanie: Czy miała pani wrażenie, że jest zakochana w George'u Bartonie?

- Naprawdę nie mam pojęcia.

- W takim razie przejdźmy do wydarzeń z wczorajszej nocy.

Pokrótkie zapytał Stephena i jego żonę o przebieg tragicznego wieczoru. Nie spodziewał się wiele, i wszystko, co usłyszał, potwierdzało jedynie to, co wiedział już wcześniej. Zeznania zgadzały

się w jednym punkcie: Barton wznosił toast za Iris, wypił i zaraz potem poszedł tańczyć. Wszyscy jednocześnie wstali od stołu. George i Iris wrócili pierwsi. Farradayowie nie potrafili wyjaśnić sprawy pustego krzesła. George Barton powiedział wyraźnie, że oczekuje przyjaciela, pułkownika Race'a, który zajmie je później. Twierdzenie to, jak wiedział nadinspektor, nie mogło być prawdą. Sandra Farraday powiedziała - z czym zgodził się jej mąż - że kiedy powtórnie zapalono światła po kabarecie, George dość osobliwie popatrzył na puste krzesło i przez kilka chwil wydawał się tak roztargniony, że nie słyszał, co do niego mówiono. Potem skoncentrował się i wznosił toast za Rosemary.

Jedyną dodatkową informacją była rozmowa Sandry z George'em w Fairhaven i jego prośba, by razem ze Stephenem przyszła na przyjęcie dla dobra Iris.

Był to pretekst możliwy do zaakceptowania, choć nieprawdziwy. Zamykając notes, w którym zanotował jedną czy dwie nieczytelne uwagi, nadinspektor wstał z krzesła.

~ -Jestem panu bardzo wdzięczny, milordzie, a także panu Farradayowi i lady Alexandrze, za współpracę i pomoc.

- Czy obecność mojej córki na przesłuchaniu jest konieczna?

- W tym przypadku postępowanie będzie czysto formalne. Zostaną przedstawione dowody identyfikacyjne i medyczne, a rozprawa zostanie odroczone na tydzień. Do tego czasu - inspektor ciągnął lekko zmienionym tonem - mam nadzieję, że posuniemy się do przodu.

Zwrócił się do Stephena Farradaya:

- A przy okazji, panie Farraday, chyba mógłby mi pan pomóc w jednej czy dwóch drobnych kwestiach. Nie ma potrzeby kłopotać lady Alexandry. Zadzwoń do pana z Yardu i ustalimy dogodny dla pana czas. Wiem, że jest pan bardzo zajęty.

Zostało to powiedziane miło, niedbale, ale dla trzech osób słowa te miały duże znaczenie.

Udając chęć współpracy, Stephen zmusił się, by powiedzieć:

- Oczywiście, nadinspektorze. Potem spojrział na zegarek i bąknął:

- Musze zaraz iść do parlamentu.

Kiedy pośpiesznie wyszedł, a za nim nadinspektor, lord Kidderminster zwrócił się do córki i zapytał ją prosto z mostu:

- Czy Stephen miał romans z tą kobietą? Minał ułamek sekundy, zanim Sandra odparła:

ty. - Oczywiście, że nie. Wiedziałabym o tym. Stephen nie jest tego rodzaju człowiekiem.

- Słuchaj, kochanie, nie ma co kłaść uszu po sobie i chować głowy w piasek. Te sprawy i tak wyjdą na wierzch. Chce wiedzieć, na czym stoimy.



- Rosemary Barton przyjaźniła się z tym człowiekiem, Anthonym Browne'em. Wszędzie chodzili razem.

- Cóż - powiedział powoli lord Kidderminster - pewnie wiesz.

Nie uwierzył córce. Twarz, kiedy wychodził z pokoju, miał szarą i zatroskaną. Poszedł na górę do saloniku żony. Sprzeciwił się jej obecności w bibliotece, wiedząc aż za dobrze, że jej arogancka postawa mogła wywołać niechęć, a w obecnej sytuacji uznał za istotne, by stosunki z policją układały się harmonijnie.

- I co? - spytała lady Kidderminster. - Jak poszło?

- Wydaje się, że całkiem dobrze - odparł powoli lord Kidderminster. - Kemp jest przyzwoitym facetem, bardzo sympatycznym i całą sprawę załatwił taktownie. Dla mnie trochę za bardzo.

- W takim razie rzecz jest poważna?

- Tak. Nie powinniśmy byli pozwolić Sandrze poślubić tego człowieka, Yicky,

- To samo ci mówiłam.

- Tak... (ak... - przyjął jej stwierdzenie. - Miałaś rację, a ja się myliłem. Ale weź pod uwagę, że i tak by za niego wyszła. Nie przekonasz Sandry, kiedy się przy czymś uprze. Jej spotkanie z Farradayem było klęską. Nie znaleźmy jego przeszłości ani przodków. Kiedy nadchodzi kryzys, skąd można wiedzieć, jak taki człowiek się zachowa?

- Jak widzę - zauważyła lady Kidderminster - sądzisz, że przyjęliśmy do rodziny mordercę?

- Nie wiem. Nie chcę z góry go skazywać, ale tak myśli policja, a oni są naprawdę bystrzy. Miał romans z żoną Bartona, to całkiem jasne. Albo popełniła przez niego samobójstwo, albo on... Cóż, cokolwiek się stało, Barton dowiedział się i zmierzał do ujawnienia tego i wywołania skandalu. Przypuszczam, że Stephen po prostu nie mógł tego znieść i...

- Otruł go?

- Tak.

Lady Kidderminster potrząsnęła głową. ·\*· - Nie zgadzam się z tobą,

- Mam nadzieję, że masz rację. Ale ktoś go otruł.

- Jeśli mnie pytasz, Stephen po prostu nie miałby dość odwagi, by to zrobić.

- Jest śmiertelnie poważny, jeśli chodzi o jego karierę. Ma wielki talent i zadatki na prawdziwego polityka. Nie możesz przewidzieć, co robi, zapędzony w kozi róg.

Jego żona nadal potrząsała głową.

- Nadal twierdże, że nie ma dos'ć odwagi. Potrzebny tu ktoś, kło jest hazardzista. i kogo stać na nieostrożność. Boje się, Williamie, potwornie się boję.

Popatrzył na nią zdumiony.

- Sugerujesz, że Sandra... że Sandra...?

- Nienawidzę samej myśli o tym, ale nic ma sensu tchórzyc albo odrzucać to, co możliwe. Ten człowiek zupełnie ją ogłupił, tak było od samego początku. Jest też w niej coś dziwnego. Nigdy jej do końca nie rozumiałam, ale zawsze się o nią bałam. Zaryzykowałaby wszystko - wszystko - dla Stephena. Nie licząc kosztów, A jeśli była wystarczająco szalona i podła, by to zrobić, musimy ją chronić.

- Chronić? Jak to chronić?

- Ty ją musisz ochronić. Musimy pomóc własnej córce, prawda? Na szczęście możesz pociągnąć za odpowiednie sznurki.

Lord Kidderminster spojrzał na nią ze zdumieniem. Choć sądził, że dobrze zna własną żonę, przeraziła go jej siła, odwaga i poczucie rzeczywistości oraz umiejętność stawienia czoła niemiłym faktom. I brak skrupułów.

- Czy sugerujesz, że jeśli moja córka jest morderczynią, powinienem użyć swojej pozycji, by uratować ją przed konsekwencjami jej czynu?

- Oczywiście - odparła lady Kidderminster.

- Moja droga Yicky! Nic rozumiesz! Nic można tego robić. Byłoby to pogwałceniem... honoru!

- Bzdura! - orzekła lady Kidderminster. Popatrzyli na siebie - tak bardzo się różnili, że nie mogli zrozumieć punktu widzenia drugiej strony. Tak mogli na siebie patrzeć Agamemnon i Klitajmestra, mówiąc o Ifigenii.

- Mógłbyś poprzez rząd wywrzeć nacisk na policję, tak, by zaprzestano całej sprawy i orzeczono samobójstwo. Nie udawaj, że nie robiono tego wcześniej.

- Tylko w przypadkach spraw politycznych, w interesie państwa. A to sprawa prywatna. Bardzo wątpię, bym mógł coś takiego zrobić.

- Możesz, jeśli będziesz dostatecznie zdecydowany. Lord Kidderminster poczerwieniał ze złości.

- Gdybym nawet mógł, nie zrobiłbym tego! To byłoby naruszeniem mojej publicznej pozycji.

- Gdyby Sandra została zaarrestowana i oskarżona, czy nie zatrudniłbyś najlepszego prawnika i nie zrobił wszystkiego, by ją uwolnić, niezależnie od jej winy?

- Oczywiście, oczywiście. To coś zupełnie innego. Wy, kobiety, nigdy tego nie pojmiecie.

Lady Kidderminster milczała, nie zmieszana zarzutem. Sandra była jej najmniej droga z dzieci, tym niemniej w tej chwili była matką i tylko matką. Chciała bronić swego dziecka wszelkimi środkami, honorowymi czy nie. Walczyłaby zębami i pazurami o Sandre.

- W każdym razie - odezwał się lord Kidderminster - Sandra nie zostanie oskarżona, o ile nie będzie wystarczająco przekonujących dowodów przeciwko niej. A ja nie uwierzę, że moja córka jest morderczynią. Dziwie ci się, Yicky, że choć przez chwile mogłaś tak pomyśleć.

Jego żona nic nie odparła i lord Kidderminster wyszedł ciężkim krokiem z pokoju. I pomyśleć, iż Yicky - Yicky - którą znał dobrze od tylu lat - okazała się tak nieoczekiwanie i denerwująco obca!

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Race znalazł Ruth zajęta dokumentami przy dużym biurku.

Miała na sobie czarny żakiet i spódnicę oraz białą bluzkę. Pułkownik był pod wrażeniem jej niespiesznej, a jednak wydajnej pracy. Zauważył cienie wokół jej oczu i usta zaciśnięte w wyrazie smutku, lecz żal - o ile to był żal - kontrolowała równie dobrze, jak wszystkie swoje uczucia.

Race wyjaśnił, z czym przyszedł, a Ruth natychmiast odparła:

- Bardzo dobrze, że pan przyszedł. Wiem oczywiście, kim pan jest. Pan Barton spodziewał się, że dołączy pan do nas wczoraj, prawda? Pamiętam, jak to mówił.

- Czy powiedział to przed przyjęciem? Zastanowiła się przez chwilę.

- Nie. Dopiero kiedy siadaliśmy wokół stołu. Pamiętam, że byłam trochę zaskoczona... - urwała i zarumieniła się lekko. - Nic tym, że pana zaprosił, oczywiście. Wiem, że był pan jego starym przyjacielem. Miał pan być na przyjęciu zorganizowanym rok temu. Zdziwiło mnie, że jeśli pan miał przyjść, pan Barton nie zaprosił jeszcze jednej kobiety, by liczba gości była parzysta. No, ale jeśli pan miał się spóźnić albo w ogóle się nie zjawić... - przerwała. - Ależ jestem głupia - podjęła po chwili. - Dlaczego wracać do tych szczegółów, które nie mają żadnego znaczenia? Od rana zachowuję się głupio.

- Ale przyszła pani do pracy jak zwykle?

- Oczywiście - wyglądała na zdziwioną, niemal zaszokowaną. - To moja praca. Jest tyle rzeczy do uporządkowania i załatwienia.

- George często powtarzał mi, jak bardzo na pani polega - powiedział łagodnie Race.

Odwróciła się. Zauważył, że przełknęła szybko ślinę i zamrugała oczami. To, iż nie okazywała niemal żadnych uczuć, przekonało go niemal o jej niewinności. Niemal, ale nie do końca. Spotykał już wcześniej kobiety, które były świetnymi aktorkami, kobiety, których zaczerwienione powieki i podkrążone oczy były rezultatem makijażu, a nie przyczyn naturalnych.

Powstrzymując się na razie od sądu, pomyślał tylko: W każdym razie jest chłodną kobietą.

Rulh odwróciła się w stronę biurka i odpowiadając na jego pytanie, odezwała się cicho:

- Byłam z nim przez wiele lat, w kwietniu przyszłego roku minęłoby osiem. Znałam go J myślę, że mi... ufał.

- Na pewno.

Po chwili pułkownik podjął dalej:

- Zbliża się pora lunchu. Miałem nadzieję, że zgodzi się pani wyjść ze mną i zjeść coś w jakimś spokojnym miejscu. Jest wiele spraw, o których chciałbym pani opowiedzieć.

- Dziękuję. Wyjdę z przyjemnością

Zabrał ją do małej restauracji, którą znał, gdzie stoliki były oddalone od siebie, umożliwiając spokojną rozmowę.

Złożył zamówienie, a kiedy kelner odszedł, spojrzał ponad stołem na swoją towarzyszkę.

Uznał, że była przystojna z tą gładką, ciemną głową, zdecydowanymi ustami i podbródkiem.

Mówił przez chwilę o obojętnych sprawach, dopóki nie przyniesiono jedzenia, a ona odpowiadała mu, dowodząc własnej inteligencji i rozsądku.

Po chwili milczenia zapytała:

- Chce pan mówić ze mną o wczorajszym wieczorze? Może pan zacząć bez wahania. Cała sprawa jest

lak niewiarygodna, że sama chciałabym o niej porozmawiać. Nie uwierzyłabym, że to możliwe, choć stało się i ja to widziałam.

- Spotkała pani nadinspektora Kempa, oczywiście?

- Tak, wczoraj w nocy. Wydaje się inteligentny i doświadczony.

Urwała na chwilę, a potem spytała:

- Czy to naprawdę morderstwo, pułkownika?

- Czy tak powiedział Kemp?

- Nie podał żadnych informacji, ale jego pytania wskazywały jednoznacznie na to, co podejrzewał.

- Pani opinia na temat tego, czy było to samobójstwo, czy nie, jest równie dobra jak kogokolwiek innego, panno Lessing. Znała pani dobrze Bartona i, jak sędzę, spędziła z nim większość wczorajszego dnia. Jak wyglądał? Tak jak zawsze? A może był zaniepokojony? Zdenerwowany? Podniecony?

Zawahala się.

- Trudno powiedzieć. Był zdenerwowany i niespokojny, ale miał powód.

Wyjaśniła sytuację powstałą w związku z Yictorem Dra-kiem i pokrótce omówiła karierę tego młodego człowieka.

- Hmmm. Nieunikniona czarna owca - podsumował Race. - I Barton zdenerwował się tym?

Ruth powiedziała powoli:

- Trudno to wyjaśnić. Widzi pan, bardzo dobrze go znałam. Był zły i przejęty całą sprawą, a pani Drake najwyraźniej płakała i zamartwiała się, jak zawsze w takich wypadkach, więc oczywiście chciał wszystko załatwić. Lecz miałam wrażenie...

- Tak, panno Lessing? Jestem pewien, że pani wrażenie dokładnie odpowiadało prawdzie.

- No cóż, pomyślałam sobie, że jego złość nie była taka, jak zwykle, jeśli mogę się tak wyrazić. Ponieważ

już wcześniej mieliśmy bardziej lub mniej podobne problemy, W zeszłym roku Yictor Drake zjawił się w Anglii, był w tarapatkach i musieliśmy odesłać go statkiem do Ameryki Południowej, a w czerwcu zatelegrafował po pieniądze. Jak wiec pan widzi, wiedziałam, jak reaguje na to pan Barton. A tym razem wydawało mi się, że przede wszystkim złości go to, że telegram nadszedł akurat wtedy, kiedy był pochłonięty przygotowaniem do przyjęcia. Wyglądał na tak przejętego uroczystością, że gniewały go wszelkie inne sprawy.

- Czy uderzyło panią coś dziwnego w szykowanym przez niego przyjęciu?

- Tak. Pan Barton zachowywał się naprawdę osobliwie. Był podniecony, zupełnie jak dziecko.

- Czy przyszło pani do głowy, że to przyjęcie mogło mieć jakiś szczególny cel?

- Chodzi panu o to, że było powtórką przyjęcia z poprzedniego roku, kiedy to pani Barton popełniła samobójstwo?

- Tak.

- Szczerze mówiąc, uznałam to za absurdalny pomysł.

- Ale George nie wyjaśnił niczego, nie zwierzył się pani?

Potrząsnęła głową.

- Proszę mi powiedzieć, panno Lessing, czy kiedykolwiek miała pani wątpliwości, że umierała pani Barton była samobójstwem? -

Wydawała się zaskoczona.

- Ależ nie.

- George Barton nie powiedział pani, iż sądzi, że jego żona została zamordowana?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- George tak uważał?

- Najwyraźniej to dla pani niespodzianka. Tak, panno Lessing. George otrzymał anonimowe listy, w których napisano, że jego żona nie popełniła samobójstwa, ale została zabita.

- Więc dlatego zachowywał się tak dziwnie tego lata? Nie mogłam odgadnąć, co się z nim dzieje.

- Nie wiedziała pani o anonimach?

- Nie. Czy było ich dużo?

- Pokazał mi dwa.

- A ja nic o tym nie wiedziałam! W jej głosie zabrzmiała uraza. Obserwował ją przez chwilę, a potem zapytał:

- I cóż pani na to powie, panno Lessing? Czy uważa pani za możliwe, że George Barton popełnił samobójstwo?

Potrząsnęła głową.

- Nie... nie.

- Ale mówiła pani, że był podniecony i zdenerwowany?

- Tak, ale zachowywał się tak już od jakiegoś czasu. Teraz rozumiem, dlaczego. I rozumiem, dlaczego był tak

· przejęty wczorajszym przyjęciem. Musiał mieć jakiś pomysł. Na pewno sądził, że powtarzając okoliczności dowie się czegoś nowego. Biedny George, musiał się czuć oszołomiony.

- A co z panią Barton? Nadal pani uważa, że popełniła samobójstwo?

Zmarszczyła czoło.

- Nigdy nie myślałam, że mogło się siać coś innego. Wydawało się to tak naturalne.

- Depresja po grypie?

- Raczej coś więcej. Była bardzo nieszczęśliwa. Każdy to widział.

- I znał przyczynę?

- Tak. Przynajmniej ja znałam. Oczywiście, mogę się mylić. Lecz kobiety w rodzaju pani Barton łatwo przejrzeć. Nie zadają sobie kłopotu z ukrywaniem swoich uczuć. Na szczęście nie sądzę, że pan Barton coś wiedział... Tak, była bardzo nieszczęśliwa, i wiem, że tamtej nocy, oprócz przygnębienia po grypie, męczył ją potworny ból głowy.

- Skąd pani to wiedziała?

- Słyszałam, jak skarżyła się lady Alexandrze. W przebieralni, gdzie zostawialiśmy okrycia. Marzyła o proszku f' aivre, a lady Alexandra miała tabletkę i dała jej.

Trzymająca kieliszek dłoń pułkownika zatrzymała się w powietrzu.

- I wzięła ją?

- Tak.

Odstawił z powrotem kieliszek i popatrzył na dziewczynę. Wydawała się spokojna i nieświadoma znaczenia tego, co powiedziała. Ale to było bardzo znaczące. Oznaczało, że Sandra, która przy stole miałaby ogromne trudności z wsypaniem ukradkiem czegośkolwiek do kieliszka Rosemary, miała inną okazję, by podać jej truciznę. Mogła jej podać cyjanek w kapsułce. Normalnie kapsułka rozpuściłaby się po kilku minutach, ale może ta była szczególnego rodzaju - pokryta żelatyną lub podobną substancją. Albo Rosemary połknęła ją później.

Zapytał ostro:

- Czy widziała pani, jak ją połknęła?

- Słucham?

Po jej zaskoczonej twarzy zrozumiał, że odbiegła myślami gdzieś indziej.

- Czy widziała pani, jak Rosemary Barton połknęła proszek?

Rulh wyglądała na lekko zdziwioną.

- Och... nie, Nie widziałam. Ona tylko podziękowała lady Alexandrze.

Tak więc Rosemary mogła wrzucić lekarstwo do torebki, a potem, w czasie kabaretu, kiedy głowa rozboleła ją bardziej, mogła wsypać proszek do kieliszka i poczekać, aż się rozpuści. To tylko założenie, ale prawdopodobne.

Ruth odezwała się:

- Dlaczego pytał mnie pan o to?

Jej wzrok stał się nagle uważny, zaciekawiony. Wydało mu się, że widzi, jak pracują jej szare komórki. Po chwili powiedziała:

- Rozumiem. Wiem już, dlaczego George kupił dom obok Farradayów. I wiem, dlaczego nie wspomniał mi o listach. Jego milczenie wydawało mi się tak niezwykle. Lecz jeśli w nie uwierzył, musiał uznać, że jedno z nas

- jedna z pięciu osób przy stole ją zabiła. To nawet... to nawet mogłam być ja!

Race odezwał się bardzo łagodnym tonem:

- Czy miała pani jakiś powód, by zabić panią Barton? W pierwszej chwili pomyślał, że nie dosłyszała pytania. Siedziała nieruchomo, ze spuszczonym wzrokiem.

Lecz nagle z westchnieniem podniosła oczy i spojrzała prosto na niego.

- O takich sprawach nie mówi się chętnie - powiedziała.

- Ale myślę, że będzie lepiej, jeśli się pan dowie. Kochałam George'a Bartona. Kochałam go, jeszcze zanim spotkał Rosemary. Chyba nigdy o tym nic wiedział, a na pewno nie zależało mu na tym. Lubił mnie, i to bardzo, ale raczej nie w ten sposób. A jednak myślałam kiedyś, że byłabym dla niego dobrą żoną, że mogłabym go uszczęśliwić. Kochał Rosemary, ale nie był z nią szczęśliwy.

Race spytał łagodnie:

- Nic lubiła jej pani?

^Ł- Nie. Och, była bardzo úliczna i atrakcyjna, i potrafiła na swój sposób być bardzo czarująca. Choć nigdy nie próbowała być czarująca wobec mnie! Bardzo jej nie lubiłam. Byłam zaszokowana, kiedy zmarła i tym, jak zmarła, ale nie czułam żalu. Obawiam się, że byłam dość zadowolona. Umilkła.

- Proszę, czy możemy porozmawiać o czymś innym? - odezwała się po chwili.

Race odparł szybko:



- Chciałbym, żeby opowiedziała mi pani dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, wszystko, co zapamiętała pani z wczoraj - zaczynając od samego rana. Zwłaszcza to, co mówił George.

Ruth odpowiedziała z miejsca, opisując poranne zdarzenia: złość George'a na natarczywość Yictora, jej telefony do Ameryki Południowej i poczynione ustalenia oraz zadowolenie George'a, kiedy sprawa została załatwiona. Potem przeszła do momentu, kiedy zjawiała się w „Luxembourg” i opisała pełne podekscytowania zachowanie gospodarza. Doprowadziła swoje opowiadanie aż do tragedii. Jej zeznanie w każdym szczególe pokrywało się z tymi, które słyszał wcześniej.

Zmarszczywszy z troską brwi, Ruth wyraziła jego własne zmieszanie:

- To nie było samobójstwo, teraz jestem pewna. Ale jak popełniono morderstwo? To znaczy, jak można je było popełnić? Odpowiedź brzmi, że nie można - że żadne z nas nie mogło tego zrobić! W takim razie, czy stał tam ktoś, kto wsypał truciznę do kieliszka George'a, kiedy poszliśmy tańczyć? Lecz jeśli tak, kto to był? To nie ma sensu.

- Z zeznań wynika, że nikt nie podszedł do stołu, kiedy tańczyliście.

- W takim razie to naprawdę nie ma sensu! Cyjanek nie może sam z siebie znaleźć się w kieliszku!

- Nie ma pani żadnego pojęcia, choćby najmniejszego podejrzenia, kto mógł go wsypać? Proszę wrócić pamięcią do zeszłej nocy. Czy nie było żadnego, najmniejszego incydentu, który mógłby obudzić pani podejrzenia?

Zauważył, że wyraz jej twarzy zmienił się, przez chwilę w jej oczach zagościła niepewność. Przez maleńką, ledwie zauważalną chwilę milczała, zanim odpowiedziała:

- Nie.

Lecz coś było. Tego był pewien. Coś, co zobaczyła, usłyszała czy dostrzegła, o czym z jakichś powodów postanowiła nie wspominać.

Nie naciskał jej. Wiedział, że z dziewczyną taką jak ona nie miałyby to sensu. Jeśli z jakichś przyczyn postanowiła siedzieć cicho, nie zmieni zdania.

Lecz coś istniało. To przekonanie poprawiło mu humor i dało nową pewność siebie. Był to pierwszy ślad szczeliny w ślepych murze, przed którym stał.

Po lunchu pożegnał się z Ruth i pojechał na Elvaston Square, wciąż rozmyślając o kobiecie, którą opuścił.

Czy możliwe, żeby Ruth Lessing była winna? W sumie wszystko przemawiało na jej korzyść. Wydawała się uczciwa i szcera.

Czy była zdolna do zbrodni? Większość ludzi była, jeśli się zastanowić. Może nie w ogóle do zbrodni, ale do popełnienia jednego, konkretnego morderstwa. Dlatego tak trudno było

wyeliminować niewinnych. Wyczuwał w tej kobiecie pewną bezwzględność. I miała motyw, a nawet kilka do wyboru. Usuwając Rosemary, zdobywała idealną szansę, by zostać nową panią Barton. Niezależnie czy chodziło jej o poślubienie człowieka

bogatego, czy człowieka, którego kochała - usunięcie Rosemary było bezwzględnie konieczne.

Race przypuszczał, że poślubienie bogatego mężczyzny nie było wystarczającym powodem. Ruth Lessing miała zbyt wiele wyważonego rozsądku i ostrożności, by ryzykować głową tylko po to, żeby żyć wygodnie jako żona bogacza. Miłość? Być może. Mimo chłodnego i obojętnego zachowania podejrzewał, że należy do kobiet, które zdolne są do niezwyklej namiętności do jednego szczególnego mężczyzny. Kochając George'a i nienawidząc Rosemary mogła z zimną krwią zaplanować jej morderstwo. Fakt, że przeszło bez podejrzeń i bez wahań przyjęto wersję samobójstwa, dowodził jej wrodzonych zdolności.

A potem George otrzymał anonimy (Od kogo? Dlaczego? Te denerwujące, irytujące pytania nigdy nie przestały go gnębić) i nabrał podejrzeń. Zaplanował pułapkę. A Ruth uciszyła go.

Nie, to się nie zgadzało. Nie brzmiało prawdziwie. To był akt paniki, a Ruth Lessing nie należała do kobiet, które wpadają w panikę. Była inteligentniejsza od George'a i z łatwością ominęłaby każdą pułapkę, którą mógłby zastawić.

Wyglądało na to, że mimo wszystko Ruth Lessing jest niewinna.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lucilla Drake była zachwycona na widok pułkownika Race'a.

Wszystkie rolety spuszczone, a ona weszła do pogrążonego w ciemnościach pokoju przyciskając chusteczkę do oczu i wyjaśniając, kiedy wyciągała do niego drążącą dłoń, że oczywiście nie jest w stanie widzieć się z nikim, absolutnie z nikim, prócz starego przyjaciela drogiego, najdroższego George'a. To okropne, kiedy w domu nie ma żadnego mężczyzny. Bez mężczyzny w domu nie wiadomo, jak cokolwiek załatwić. Tylko ona, biedna samotna wdowa, i Iris, bezradna młoda dziewczyna. George zawsze się o wszystko troszczył. Tak miło ze strony pułkownika, jest naprawdę bardzo wdzięczna; nic miała pojęcia, co powinny zrobić. Oczywiście panna Lessing zajmie się wszystkimi interesami i przygotowaniem do pogrzebu, ale co począć ze śledztwem? To okropne, że nachodzi je policja, nawet tu, w domu, oczywiście po cywilnemu - bardzo to z ich strony delikatnie. Ale ona była tak wytrącona z równowagi, a całe zdarzenie było taką tragedią i czy pułkownik nie sądzi, że wszystko przez sugestię - tak powiedział psychoanalityk, prawda, że wszystko jest sugestią? I biedak George w tym przerażającym miejscu, w „Lu-xembourgu”, właściwie to samo przyjęcie, przypominające, jak zmarła biedna Rosemary. Musiało to przyjść na niego nagle, a gdyby tylko słuchał jej, Lucilli, i brał ten doskonały środek uspokajający doktora Gaskella! Przez całe lato był przygnębiony, tak jest, i zmęczony.

Kiedy Lucilla zmęczyła się na chwilę, Race mógł się wreszcie odezwać.

Powiedział, że bardzo jej współczuje i że pod każdym względem może na niego liczyć.

Na co Lucilla zaczęła znowu trajkotać i stwierdziła, że to naprawdę bardzo miło z jego strony oraz że szok był tak potworny - dziś na ziemi, jutro w niebie. Jak napisano w Biblii: „Wschodzi rano jak trawa i zostaje ścięty wieczorem” - tyle że to nie całkiem się zgadzało, ale przecież pułkownik rozumie, o co jej chodzi. Tak miło wiedzieć, że jest ktoś, na kim mogą polegać. Oczywiście panna Lessing chciała dobrze i była bardzo kompetentna, ale zachowywała się niezbyt sympatycznie i czasem brała na siebie zbyt wiele, a jej, Lucilli, zdaniem, George zawsze za bardzo na niej polegał i kiedyś bała się, że zrobi coś nierozsądnego, czego by bardzo żałował, a ona na pewno wykorzystywałaby go bez litości, gdyby tylko siepobrali. Oczywiście sama Lucilla wiedziała, co wisi w powietrzu. Droga Iris nie ma poczucia rzeczywistości, ale czy pułkownik nie sądzi, że to bardzo miło, kiedy dziewczyna jest tak niezepsuta i prosta? Iris zawsze była dziecinna jak na swój wiek i bardzo spokojna - prawie nie wiadomo było, o czym myśli. Rosemary, taka ładna i wesoła, często wychodziła, a Iris krążyła po domu, co nie było odpowiednie dla młodej dziewczyny. Dziewczęta powinny chodzić na jakieś kursy: gotowania i może szycia. To zajmowało ich myśli, a nigdy nie można przewidzieć, kiedy takie umiejętności się przydadzą. To prawdziwe szczęście, że ona, Lucilla, mogła zamieszkać tutaj po śmierci biednej Rosemary. Ta okropna grypa, zupełnie nietypowa odmiana, jak powiedział doktor Gaskell. Taki mądry z niego człowiek, taki miły i serdeczny.

Chciała, żeby Iris wybrała się do niego latem. Wydawała się taka blada i przybita.

- Ale tak naprawdę, pułkowniku, myślę, że to położenie tego domu. Stoi w kotlinie i wokół panuje wilgoć, a wieczorami unoszą się opary.

Biedny George wyjechał i kupił dom na własną rękę, nie pytając nikogo o radę, co za szkoda. Powiedział, że chciał im zrobić niespodziankę, ale byłoby lepiej, gdyby posłuchał starszej kobiety. Mężczyźni nie znają się na domach. George mógł domyślić się, że ona, Lucilla, chętnie zada sobie trochę trudu. Bo przecież co było teraz ważne w jej życiu? Jej najdroższy mąż zmarł wicie lat temu, a Yictor, jej kochany chłopiec, mieszkał daleko w Argentynie, to znaczy w Brazylii, a może w Argentynie? Taki uczuciowy, przystojny chłopiec.

Pułkownik Race powiedział, że słyszał, iż ma syna za granicą.

Przez następny kwadrans był zasypywany szczegółowymi informacjami o różnorodnych przedsięwzięciach Yictora. Taki żywy chłopiec, gotów przyłożyć rękę do wszystkiego - tu nadeszła pora na szegółowe wyliczenie zajęć Yictora. Zawsze miły, nigdy nie czuł złości do nikogo.

- Od początku prześladował go pech, pułkowniku. Dziekan oskarżył go niesłusznie i sądzę, że władze Ox-fordu zachowały się bardzo niewdzięcznic. Ludzie najwyraźniej nie rozumieją, że mądry chłopiec z talentem do rysowania uznał za znakomity dowcip naśladowanie czyjś pisma. Zrobił to dla zabawy, a nie dla pieniędzy.

Zawsze był dobrym synem i nigdy nie omieszkał zawiadomić jej o swoich kłopotach, co

dowodzi, że jej ufał, nieprawdaż? Dziwne tylko, że praca, jaką mu znajdowano, zawsze była za granicą. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że gdyby tylko dano mu miłą pracę, na przykład w Bank of England, wiodłoby mu się dużo lepiej. Mógłby mieszkać za Londynem i mieć mały samochód.

Dopiero po dwudziestu minutach pułkownik Race, poznawszy wszystkie zalety i niepowodzenia Yictora, mógł skierować uwagę Lucilii na służbę.

Tak, miał absolutną rację mówiąc, że dawny typ służącego już nie istnieje. Dzisiejsza służba sprawia ogromne kłopoty! Nie, że powinna narzekać, gdyż oni akurat mieli szczęście. Pani Pound, choć spotkało ją to nieszczęście, że niedosłyszała, była wspaniałą osobą. Czasem ciasto wychodziło jej trochę twarde i zwykle sypała za dużo pieprzu do zupy, ale w sumie była bardzo odpowiedzialna i oszczędna. Pracowała u George'a, odkąd si? ożenił i nie marudziła, kiedy latem wyjeżdżali na wieś, choć z innymi było trochę kłopotów, a pokojówka odeszła, ale tym lepiej, bo była impertyncncka i pyskowała, a poza tym stłukła sześć najlepszych kieliszków do wina, nie co jakiś czas, co mogłoby się przytrafić każdemu, lecz wszystkie jednocześnie, a to naprawdę dowodziło ogromnej nieuwagi, czy pułkownik tak nie sądzi?

- Rzeczywiście, bardzo nieostrożnie z jej strony.

- To właśnie jej powiedziałam, I dodałam, że będę zmuszona zaznaczyć to w jej referencjach, gdyż każdy ma pewne obowiązki, pułkowniku. Nie wolno dać się zwieść. Wady należy zaznaczać tak samo, jak zalety. Ta dziewczyna była... cóż, naprawdę bezczelna. Powiedziała, że ma nadzieję, iż w następnej pracy nie trafi do domu, gdzie ludzie są wykańczani. Co za okropnie prostackie wyrażenie, pewnie z kina, i zupełnie nieodpowiednie, skoro biedna Rosemary odebrała sobie życie, choć nie odpowiadała za swoje czyny, jak bardzo słusznie podkreślił koroner. A ten okropny zwrot odnosi się, jak sądzę, do gangsterów strzelających do siebie z karabinów maszynowych. Ogromnie się cieszę, że takie rzeczy nie zdarzają się w Anglii. Tak więc, jak mówiłam, napisałam jej .w referencjach, że Betly Archdale zna swoje obowiązki jako pokojówka, jest rozsądna i uczciwa, lecz ma skłonność do zbyt częstego tłuczenia

zastawy i nie zawsze zachowuje się poprawnie. Gdybym ja była panią Rccs-Talbot, domyśliłabym się, co to oznacza, i nie zatrudniłabym jej. Lecz dzisiaj ludzie rzucają się na wszystko, co rnołą zdobyć, i zatrudnią nawet dziewczynę, która w trzech miejscach pod rząd wytrzymała tylko miesiąc.

Kiedy pani Drake przerwała, by odetchnąć, pułkownik Race spytał pośpiesznie, czy chodzi o panią Ryszar-dową Rees-Talbot. Bo jeśli tak, spotkał ją w Indiach.

- Trudno mi powiedzieć. Mieszka na Cadogan Square.

- W jakim razie to moja znajoma.

Lucilla zauważyła, że świat jest taki mały, prawda? I nie ma lepszych przyjaciół od starych przyjaciół. Przyjaźń to w ogóle coś wspaniałego. Zawsze uważała\* że Yiole i Paula łączyło bardzo romantyczne uczucie. Droga Yiole, taka z niej była śliczna dziewczyna, a kochało się w niej tylu mężczyzn, och, ale przecież pułkownik nawet nie wie, o kim ona mówi. Tak chętnie wracało się do

przeszłości.

Pułkownik Race poprosił, by sobie nie przerywała, i w rewanżu za swoją uprzejmość wysłuchał historii życia Hectorsa Marle'a. Wychowała go siostra, miał swoje osobliwości i słabostki, a na koniec, kiedy pułkownik niemal już zapomniał o pięknej Yioli, dowiedział się o jej małżeństwie z Hectorem.

- Widzi pan, ona była sierotą i znalazła się pod opieką londyńskiego kuratorium.

Pułkownik dowiedział się, że Paul Bennet, pokonując rozczarowanie, jakie sprawiła mu odmowa Yioli, zmienił się z kochanka w przyjaciela rodziny, że uwielbiał chrzestną córkę, Rosemary, a po śmierci zostawił testament.

- Zawsze uważałam, że to bardzo romantyczne - taka fortuna! Nie, żeby pieniądze były wszystkim, oczy-

wicie. Wystarczy pomyśleć o tragicznej śmierci biednej Rosemary. Nawet droga Iris nie całkiem mi się podoba.

Race popatrzył na nią pytająco.

- Uważam, że odpowiedzialność sprawia najwięcej problemów. Fakt, że odziedziczyła fortunę, jest powszechnie znany. Pilnuje, żeby nic trafił się jej jakiś niepożądany młody człowiek, ale co można zrobić, pułkowniku? Dzisiaj nie da rady już tak upilnować dziewcząt jak dawniej. Iris ma przyjaciół, o których niemal nic nie wiem. „Zaproś ich do domu, kochanie” - tak jej zawsze mówię, ale domyślałam się, że niektórzy z tych młodzieńców po prostu nie chcą się przedstawić. Biedny George też się tym martwił. Zwłaszcza człowiekiem nazwiskiem Browne. Sama nigdy go nie widziałam, ale najwyraźniej często spotykał się z Iris, George go nie lubił, tego jestem pewna. Pamiętam, jak sądziłam, że pułkownik Pussy, jeden z członków naszego komitetu parafialnego, jest czarującym człowiekiem, ale mąż zawsze trzymał go na dystans i nakłaniał mnie, bym uczyniła to samo. Pewnej niedzieli, kiedy zbierał datki w czasie mszy, upadł, najwyraźniej zamroczony alkoholem. Oczywiście potem - zawsze dowiadujemy się o tym potem, zamiast przedtem - odkryliśmy, że z jego domu co tydzień wynoszono tuziny butelek po brandy! To naprawdę bardzo smutne, gdyż był człowiekiem gorąco wierzącym, choć w poglądach skłaniał się ku ewangelikom. Z moim mężem pokłócili się straszliwie o szczegóły obrządku na Dzień Wszystkich Świętych. Och. mój Boże, Dzień Wszystkich Świętych. Pomyśleć tylko, że wczoraj były Zaduszki.

Cichy dźwięk kazał pułkownikowi spojrzeć nad głową Lucilli na otwarte drzwi. Spotkał Iris wcześniej, w „Little Priors”. Tym niemniej wydało mu się, że widzi ją po raz pierwszy. Uderzyło go niezwykle napięcie

skrywane pod pozorami spokoju, a jej szeroko otwarte oczy napotkały jego wzrok wyrażając coś, co, jak czuł, powinien rozpoznać, lecz nie potrafił. Z kolei Lucilla Drake odwróciła głowę.

- Iris, kochanie, nie słyszałam, jak weszłaś. Znasz pułkownika Race'a? Jest taki miły.

Iris zbliżyła się i z powagą podała mu dłoń. Czarna sukienka czyniła ją szczuplejszą i bledszą, niż zapamiętał.

- Przyszedłem zobaczyć, czy mogę w czymś paniom pomóc - powiedział Race.

- Dziękuję. To bardzo miło z pańskiej strony. Przeżyła ciężki szok - było to oczywiste - i wciąż nie mogła się otrząsnąć. Lecz czy tak bardzo lubiła George'a, by aż tak mocno przeżywać jego śmierć?

Zwróciła oczy na ciotkę, a Race uświadomił sobie, że jej spojrzenie było bardzo uważne. Odezwała się:

- O czym rozmawialiście przed chwilą, kiedy weszłam?

Lucilla zarumieniła się i zmieszała. Race odgadł, że chętnie ominęłaby wszelką wzmiankę o młodym człowieku nazwiskiem Anthony Browne. Wykrzyknęła:

- Niech no pomyślę... a tak, o dniu Wszystkich Świętych i tym, że wczoraj były Zaduszki. Zaduszki -mnie to wydaje się takie dziwne, jeden z tych zbiegów okoliczności, które nie mogą zdarzyć się w prawdziwym życiu.

- To znaczy - zaczęła Iris - że Rosemary przysłała wczoraj po George'a?

Lucilla krzyknęła lekko.

- Iris, kochanie, przestań. Co za okropna myśl, taka niechrześcijańska.

- Dlaczego niechrześcijańska? To Dzień Zmarłych. W Paryżu ludzie kładą wtedy kwiaty na grobach.

-,\*\* - Tak, wiem, moja droga, ale oni są przecież katolikami, prawda?

Na usłach Iris pojawił się lekki uśmiech. Powiedziała bez ogródek:

- Myślałam, że mówiliście o Anthonym, o Antho-nym Brownie.

-Cóż-głosLucilli za brzmiał piskliwie jak ptasi świergot - w gruncie rzeczy wspominaliśmy o nim. Powiedziałam tylko, że, jak sama wiesz, nic o nim nie wiemy...

Iris przerwała ostrym tonem:

- Dlaczego mielibyście cokolwiek o nim wiedzieć?

- No tak, kochanie, oczywiście. Ale moglibyśmy chociaż... to znaczy... to byłoby miłe, prawda?

- Będziecie mieli świetną okazję w przyszłości -powiedziała Iris - ponieważ zamierzam wyjść

za niego.

- Och, Iris! - okrzyk przypominał coś między jękiem a beczeniem owcy. - Nie wolno ci działać" w pośpiechu. To znaczy teraz i tak nic nie można ustalić.

- To już zostało ustalone, ciociu.

- Nie, moja droga. Nie można mówić o sprawach takich jak małżeństwo, kiedy pogrzeb się jeszcze nie odbył. To by było nieprzyzwoite. I jeszcze to przerażające śledztwo. Doprawdy, Iris, nie sądzę, żeby George to pochwalał. Nie lubił pana Browne'a.

- Rzeczywiście - przyznała Iris - George'owi by się to nie podobało. Nie lubił Anthony'ego, ale to nie ma znaczenia. To moje życie, nie George'a, zresztą on i tak nie żyje...

Pani Drake ponownie jęknęła.

- Iris, Iris. Co cię napadło? To było okropnie niedelikatne.

- Przepraszam, ciociu - dziewczyna mówiła ze znużeniem. - Wiem, że tak to zabrzmiało, ale nie myślałam tak. Mówię tylko, że George znalazł już spokój i nie

musi się więcej martwić o mnie ani o moją przyszłość. Muszę sama decydować o swoich sprawach.

- Nonsens, kochanie. O niczym nie można decydować w takiej chwili. To bardzo nie na miejscu. Po prostu nie było problemu.

Iris roześmiała się raptownie, krótko.

- Ale on jest. Zanim wyjechaliśmy z „Little Priors”, Anthony poprosił mnie o rękę. Chciał, żebym pojechała z nim do Londynu i poślubiła go nie mówiąc nikomu. Teraz żałuje, że tego nie zrobiłam.

- To bardzo dziwna prośba - łagodnie zauważył pułkownik Race.

Zwróciła wyzywające spojrzenie na niego.

- Wcale nie. Oszczędziłaby nam sporo zamieszania. Dlaczego mu nie zaufałam? Prosił, bym zaufała mu, a ja tego nie zrobiłam. W każdym razie teraz wyjdę za niego, jak tylko mnie poprosi.

LuciJla wybuchnęła w Jedwo zrozumiałym proteście. Jej pulchne policzki drżały, a oczy wypełniły się łzami. Pułkownik Race błyskawicznie opanował sytuację.

- Panno Marie, czy mogę zamienić z panią słowo przed wyjściem? Chodzi o interesy.

Dość zaskoczona dziewczyna bąknęła „tak” i skierowała się do drzwi. Kiedy wyszła, Race postąpił dwa kroki w stronę pani Drake.

- Proszę się nie denerwować. Im mniej słów, tym mniej kłótni. Zobaczmy, co da się zrobić.

Zostawiając ją trochę pocieszoną poszedł za Iris, która poprowadziła go przez hol do małego pokoju z oknem na podwórze za domem, gdzie smutny platan tracił ostatnie liście.

Race odezwał się oficjalnym tonem:

- Wszystko, co mam do powiedzenia, panno Marie, to fakt, że nadinspektor Kemp jest moim przyjacielem

i na pewno znajdzie w nim pani człowieka miłego i gotowego do pomocy. Jego obowiązki nie należą do przyjemnych, lecz załatwi je z najwyższą delikatnością.

Patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu, a potem rzuciła gwałtownie:

- Dlaczego pan nie przyłączył się do nas wczoraj, jak spodziewał się George?

Race potrząsnął głową.

- George nie oczekiwał mnie,

- Ale tak powiedział.

- Być może, lecz nie było to prawdą. George doskonale wiedział, że nie przyjdę.

- Ale to puste krzesło... Na kogo czekało?

- Nie na mnie.

Spuściła wzrok i zbladła. Wyszeptała:

- Czeką na Rosemary... Rozumiem... Czeką na Rosemary...

Pomyślał, że zaraz upadnie. Podeszedł szybko i podtrzymał ją, a potem zmusił, by usiadła.

- Proszę się uspokoić... Odezwała się cicho, bez tchu:

- Wszystko w porządku... Ale nie wiem, co robić... Nie wiem, co robić.

- Czy mogę pani pomóc?

Podniosła na niego wzrok. Jej oczy wypełniał smutek i przygnębienie. Powiedziała:

- Muszę to wyjaśnić. Muszę to sobie uporządkować - poruszyła bezładnie rękami. - Po pierwsze, George wierzył, że Rosemary nie zabiła się, lecz została zamordowana. Wierzył w to z powodu tych listów. Pułkownika, kto je napisał?

- Nie wiem. Nikt nie wie. Nie domyśla się pani?



- Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Ale George im wierzył i zaaranżował wczorajsze przyjęcie, zostawił pu-

ste krzesło, a wczoraj były Zaduszki... to znaczy Dzień Zmarłych i tego dnia duch Rosemary mógł powrócić i... i powiedzieć mu prawdę.

- Nie może pani puszczać wodzy fantazji.

- Sama czułam jej obecność, czasami zupełnie blisko. Jestem jej siostrą i myślę, że usiłuje mi coś powiedzieć.

- Spokojnie, Iris.

- Muszę o tym porozmawiać. George wypił zdrowie Rosemary i.,, umarł. Może... to ona przyszła i zabrała go.

- Duchy zmarłych nie wsypują cyjanku do kieliszków z szampanem, kochanie.

Te słowa najwyraźniej przywróciły jej równowagę. Odezwała się bardziej naturalnym tonem:

- Ale to niewiarygodne. George został zabity... tak, zamordowany. Tak uważa policja i to musi być prawdą, ponieważ nie ma innej alternatywy. Lecz to nie ma sensu.

- Naprawdę tak pani sądzi? Jeśli Rosemary została zamordowana, a George zaczął podejrzewać, przez kogo...

Przerwała mu:

- Tak, ale Rosemary nie została zabita. Dlatego to nie ma sensu. George uwierzył w te głupie listy częściowo dlatego, że depresja pogrypowa nie jest zbyt przekonującym powodem do samobójstwa. Lecz Rosemary miała powód. Pokażę go panu.

Wybiegła z pokoju i w chwilę później wróciła ze złożonym listem w dłoni. Wręczyła go pułkownikowi.

- Niech pan czyta. Niech pan sam przeczyta. Otworzył lekko pogniecioną kartkę. „Najdroższy Tygrysku...”

Przeczytał go dwukrotnie, nim oddał Iris. Dziewczyna powiedziała niecierpliwie:

- Widzi pan? Była nieszczęśliwa, miała złamane serce. Nie chciała dłużej żyć.

t. - Czy wie pani, do kogo to napisała? Iris przytaknęła.

- Do Stephena Farradaya. Nie do Anthony'ego. Kochała Stephena, a on potraktował ją okrutnie. Wiec wzięła truciznę ze sobą do restauracji i wypila tak, by widział, jak umiera. Może myślała, że będzie mu jej żal.

Race z namysłem skinął głową, lecz nie odezwał się. Dopiero po kilku chwilach powiedział:

- Kiedy to pani znalazła?

, - Jakieś pół roku temu. Był w kieszeni starego szlafroka.

- Nie pokazała go pani George'owi? Iris wykrzyknęła namiętnie:

- Jakże bym mogła? Jak bym mogła? Rosemary była moją siostrą. Jak mogłabym ją wydać przed George'cm? Był przekonany, że go kochała. Jak mogłabym pokazać mu to, kiedy już nie żyła? Mylił się, ale nie mogłam mu o tym powiedzieć. A teraz chce wiedzieć, co mam zrobić? Pokazałam ten list panu, ponieważ był pan przyjacielem Georgela. Czy musi go zobaczyć nadinspektor Kemp?

- Tak. Musi trafić do Kempa. Widzi pani, to jest dowód.

- Ale wtedy... wtedy będzie można przeczytać go na głos w sądzie?

- Niekoniecznie. To nie ma nic wspólnego ze śledztwem. Badamy sprawę śmierci George'a. Nic, co nie jest z nią bezpośrednio związane, nie zostanie opublikowane. Lepiej, jeśli pozwoli pani, że go zabiorę.

- Proszę.

Odprowadziła go do frontowych drzwi. Kiedy je otworzył, zapytała gwałtownie:

- To dowodzi, że Rosemary popełniła samobójstwo, prawda?

Race odparł:

- Na pewno świadczy to o tym, że miała powód, by targnąć się na swoje życie.

Odetchnęła głęboko. Race zszedł na dół po schodach. Odwrócił się i zobaczył, że Iris stoi w drzwiach i patrzy, jak przechodzi przez plac.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mary Rees-Talbot powitała pułkownika z radością zmieszaną z niedowierzaniem.

- Na Boga, nie widziałam cię, odkąd tak tajemniczo zniknąłeś z Allahabad. Skąd wzięłeś się tutaj? Na pewno nie po to, by mnie zobaczyć. Nigdy nie składasz towarzyskich wizyt. Chodźże na górę, nie musisz udawać takiego dyplomaty.

- Z tobą. Mary, dyplomacja byłaby stratą czasu. Zawsze doceniałam twój umysł przenikliwy jak promienie Roentgena.

- Przestań gledzić i przejdź do konkretów, misiu. Race uśmiechnął się.

- Czy pokojówka, która otworzyła mi drzwi, to Betty Archdale? - zapytał.

- A wlec o to chodzi! Tylko mi nie mów, że ta dziewczyna - zresztą jest najczystszym cockneyem, o ile coś takiego w ogóle istnieje - to europejski szpieg, bo po prostu ci nie uwierzę.

- Nie, nie, nic w tym rodzaju.

- Nie próbuj mi wmówić, że pracuje w kontrwywiadzie, bo w to też nie uwierzę.

- I masz rację. To zwykła pokojówka.

- A odkąd to interesujesz się zwyczajnymi pokojówkami? Nie, żeby Betty była zwyczajna. To urodzona spryciara.

- Przypuszczam, że będzie mogła coś mi powiedzieć - wyjaśnił Race.

- Jeśli ją ładnie poprosisz? Nie zdziwiłabym się. Świetnie rozwinęła technikę „stań pod drzwiami, kiedy tylko dzieje się coś interesującego”. Co ma zrobić Mary?

- Mary łaskawie proponuje mi drinka, dzwoni na Betty i każe go przynieść.

- A kiedy Betty go przynosi?

- Do tego czasu Mary łaskawie znika.

- Żeby podsłuchiwać pod drzwiami?

- Jeśli ma na to ochotę.

- A polem eksploduje od tajnych informacji o najnowszym kryzysie w Europie?

- Raczej nie. Polityka nie ma tu nic do rzeczy.

- Co za rozczarowanie! Ale dobrze. Odegram to. Pani Rees-Talbot, zwawa czterdzieściodziewięcioletnia

brunetka, zadzwoniła i kazała swojej przystojnej pokojówce przynieść pułkownikowi whisky z sodą.

Kiedy Betty Archdale powróciła z tacą i kieliszkiem, pani Rees-Talbot stała przy drzwiach do swego salonu.

- Pułkownik Race ma kilka pytań do ciebie - powiedziała i wyszła.

Betty z pewnym zaniepokojeniem zwróciła zuchwały wzrok na wysokiego, siwowłosego żołnierza. Wziął kieliszek z tacy i uśmiechnął się.

- Widziałaś dzisiejsze gazety? - spytał.

- Tak, proszę pana - Betty zmierzyła go wojowniczym spojrzeniem.

- Czytałaś, że George Barton zmarł wczorajszej nocy w restauracji „Luxembourg”?

- Och, tak, proszę pana - oczy Betty rozbliły przyjemnością odczuwaną na myśl o publicznym nieszczęściu. - Czy to nie okropne?

- Służyłaś u niego, prawda?

- Tak, proszę pana. Zrezygnowałam zeszłej zimy, zaraz po śmierci pani Barton.

- Ona również zmarła w „Luxembourg”. Betty przytaknęła.

- Dość śmieszne, prawda, proszę pana?

nie uważał, by było to śmieszne, lecz zrozumiał, Iziewczyna miała na myśli. Powiedział z powagą: - Jesleś bystra. Potrafisz dodać dwa do dwóch. Jelty klasnęła w dłonie i wyrzuciła dyskrecję za i,

Jego też wykończono? W gazetach nie piszą do-lie.

Dlaczego mówisz „też”? Koroner uznał śmierć pani m za samobójstwo.

zucila mu szybkie spojrzenie kątem oka. „Stary -/siała - ale całkiem przystojny. Ten spokojny typ. dziwy dżentelmen. Taki, co to za miodu dałby ci 50 suwercna. Śmieszne, nawet nie wiem, jak wy-

suwercn! O co mu właściwie chodzi?” dezwala się skromnie:

Tak, proszę pana.

Ale może nigdy nie sądziłaś, że to było samobój-

Właściwie nie, proszę pana. Nie naprawdę.

Bardzo ciekawe. Dlaczego nie?

iwahala się, a jej palce zaczęły miętosić fartuszek.

k miło to powiedział, z powagą. Sprawiał, że

i się ważna i chętna do pomocy. W każdym razie,

iowa o śmierci Rosemary Barton, Betty miała dość

! Nigdy jej nie nabrali!

Ukatrupili ją, prawda, proszę pana?

To wydaje się możliwe. Ale skąd ci to przyszło do głowy?

a... - Betty zawahała się - usłyszałam coś któregoś

Tak? -siedział to cicho, zachęcająco.

drzwi nie były zamknięte. Ja tam nigdy nie podsłuchuję.

Nie lubię tego - stwierdziła Betty cnotliwie. - Szłam

akurat korytarzem do jadalni i niosłam na tacy srebra, a oni mówili dość głośno. Że Anlhony Brownc to nie jego prawdziwe nazwisko. To znaczy tak powiedziała pani Barton, A wtedy on się naprawdę rozżłościł, to znaczy pan Browne, proszę pana. Nie podejrzewałamby \_go o to. Taki przystojny mężczyzna i tak miło mówił. Groził chyba, że potnie jej twarz. Ooo! A potem dodał, że jeśli nie zrobi tego, co jej każe, to ją ukatrupi! Tak po prostu! Nie usłyszałam nic więcej, bo panienka Iris schodziła po schodach. Oczywiście nie myślałam o tym wtedy, ale kiedy zrobiło się to całe zamieszanie z jej samobójstwem na przyjęciu i dowiedziałam się, że on też tam był... No, dreszcze mi przebiegły po krzyżu, wcale nie kłamię.

- Lecz nic nie powiedziałaś? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie chciałam zaczynać z policją. Zresztą i tak nic nie wiedziałam, nic konkretnego. A gdybym powiedziała, może i mnie by ukatrupił. Albo, jak to się mówi, wziął na przejażdżkę.

- Rozumiem.

Przez chwilę Race milczał, a po chwili powiedział niezwykle łagodnym tonem:

- Więc po prostu napisałaś anonimy do pana Geor-ge'a Bartona?

Wpatrzyła się w niego ze zdumieniem. Nie wyczuł w niej śladu winy, nic, oprócz czystego zaskoczenia.

- Ja? Miałabym pisać do pana Bartona? Nigdy.

- Nie bój się. To był bardzo dobry pomysł. On został ostrzeżony, a ty się nie zdradziłaś. Było to bardzo sprytne z twojej strony.

- Ale ja tego nie zrobiłam, proszę-pana. Nigdy nawet o tym nie pomyślałam. Mówi pan, że miałabym pisać do pana Bartona, że jego żonę ktoś ukatrupił? Ale to mi nigdy nie przyszło do głowy!

Zaprzeczała z taką powagą, że wbrew sobie Race zachwiał się w swoich podejrzeniach. Ale wszystko tak dobrze do siebie pasowało! Jeśli dziewczyna napisała listy, wyjaśnienie było proste. Lecz ona zaprzeczała uparcie, nie porywczo czy niespokojnie, lecz rozsądnie j bez zbędnego zarzekania się. Stwierdził, że niechętnie, ale jej wierzy.

Zmienił temat.

- Komu o tym powiedziałaś? Potrząsnęła głową.

- Nikomu. Mówi? uczciwie, proszę pana, byłam przerażona. Pomyślałam, że lepiej, jeśli będę trzymała buzię na kłódkę. Próbowałam o tym zapomnieć. Wspomniałam o tym tylko raz, kiedy dawałam pani Drake wypowiedzenie. Ależ się czepiała, więcej, niż wytrzymałaby normalna dziewczyna. Chciała, żebym zakopała się na wsi, gdzie nawet nie dojeżdża autobus! A potem zachowała się wstrętne, pisząc mi referencje. Powiedziała, że tłukę naczynia, a ja jej odparłam złośliwie, że przynajmniej znajdę sobie miejsce, gdzie ludzi nie wybija się jak kaczek. Przeraziłam się, kiedy to powie-iziałam, ale ona nie zwróciła na to uwagi. Może powinnam wtedy o tym komuś powiedzieć, ale naprawdę nie mogłam. Może to wszystko było żartem. Ludzie mówią różne rzeczy, a pan Browne zawsze był taki miły

pierwszy do żartów, więc nie mogłam powiedzieć, irawda, proszę pana?

Race zgodził się z nią. Potem powiedział:

- Pani Baron stwierdziła, że Browne nie było jego irawdziwym nazwiskiem. Czy wspomniała, jak brzmiało irawdziwe?

- Tak. On rzucił: „Zapomnij o Tonym...” - jakże to irzmiało? Tony jakiś... Kojarzyło mi się z dżemem cze-eśniowym, który kucharka smażyła.

- Tony Chemy? Cheming? Potrząsnęła głową.

- Brzmiało śmieszniej. Zaczynało się na M. I wyglądało na obce.

- Nie martw się. Być może ci się przypomni. Powiadom mnie, jeśli tak. To moja wizytówka i adres. Jeśli przypomnisz sobie nazwisko, napisz do mnie.

Wręczył jej wizytówkę i banknot.

- Zrobię tak, proszę pana, dziękuję.

„Dzentelmen - pomyślała, zbiegając w dół po schodach. - Cały funt, nie dziesięć szylingów. Musiało być miło w czasach, kiedy istniały złote suwcreny...”

Mary Rees-Talbot wróciła do pokoju.

- I co, udało się?

- Tak, ale trzeba pokonać jeszcze jedną przeszkodę. Czy mogę skorzystać z twojej pomysłowości? Jakie nazwisko kojarzyłoby ci się z dżemem czereśniowym?

- Cóż za szokująca propozycja.

- Pomyśl, Mary, Nie znam si? na prowadzeniu domu. Skup się na smażeniu konfitur, zwłaszcza z czereśni.

- Nieczęsto się je robi.

- Dlaczego?

- Zwykle się przecukrzają, chyba że użyje się specjalnych czereśni, morelowych.

Race wykrzyknął:

- To jest to! Założę się, że to właśnie to. Do widzenia, Mary, jestem ci bezgranicznie wdzięczny. Czy pozwolisz, że zadzwonię na dziewczynę, żeby odprowadziła mnie do drzwi?

Kiedy wychodził pośpiesznie z pokoju, pani Rees-Talbot zawołała za nim:

- Na wszystkich niewdzięcznych łajdaków! Czy nie powiesz mi, o co chodzi?

Odkrzyknął:

- Przyjdę i opowiem ci całą historię później.

- Obiecanki - wymruczała.

Betty czekała na dole z kapeluszem i laską Race'a. Podziękował jej i wyszedł. Na schodach przystanął.

- A przy okazji - powiedział - czy to nazwisko brzmiało Morelli?

Twarz Betty pojaśniała.

- Właśnie tak, proszę pana. Kazał jej zapomnieć o Tony'm Morelli. Mówił też, że siedział w więzieniu.

Race zszedł po stopniach z uśmiechem. Z najbliższej budki zatelefonował do Kempa. Rozmowa była krótka, lecz zadowolająca. Kemp powiedział:

- Natychmiast wyśle telegram. W odpowiedzi powinniśmy otrzymać informacje. Musz9 przyznać, że bardzo by mi ulżyło, gdybyś miał rację.

- Myślę, że mam. Bieg wydarzeń jest całkiem jasny.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Nadinspektor Kemp nie był w zbyt dobrym nastroju.

Przez ostatnie pół godziny przeprowadzał rozmowę z wystraszonym szesnastoletnim fajtlapą, który dzięki pozycji swojego wuja Charlesa dążył do tego, by zostać kelnerem klasy wymaganej w „Luxembourgu”. Jak na razie był jednym z sześciu udręczonych podwładnych, którzy biegali w fartuszkach wokół bioder, by odróżnić się od wyższej kasty. Ich zadanie polegało na ponoszeniu winy za wszystko, przynoszeniu i wynoszeniu naczyń, dostarczaniu kostek i rożków masła. Bezustannie syczano na nich po francusku, włosku, rzadziej angielsku. Charles, zachowując się jak na wielkiego człowieka przystało, daleki od okazywania względów krewniakowi, syczał, kłął i krzyczał na niego nawet bardziej niż na pozostałych. Tym niemniej w swoim sercu Pierre pragnął ni mniej, ni więcej, ale zostać głównym kelnerem szykownej restauracji - pewnego dnia w odległej przyszłości.

W tej chwili jednak jego karierze postawiono weto. Jak zrozumiał, podejrzewano go o popełnienie morderstwa.

Kemp przenicował chłopaka i z niechęcią przekonał się, że nie zrobił więcej lub mniej niż to, co powiedział - mianowicie podniósł torebkę z podłogi i postawił przy talerzu.

- Biegnę akurat z sosem do pana Roberta, a ten już się niecierpliwi, a młoda dama zrzuca torebkę, kiedy wstaje tańczyć, więc podnoszę ją i stawiam na stole i pędzę dalej, bo pan Robert macha już na mnie jak szalenciec. I to wszystko, proszę pana.

I to naprawdę było wszystko. Zdegustowany Kemp pozwolił mu odejść, czując silną pokusę, by dodać: „Ale uważaj, żebym nie przyłapał cię na tym po raz drugi”.

Jego uwagę odciągnął sierżant Pollock stwierdzając, że dzwoniono, by przekazać, że jakaś młoda dama pyta

O niego, to znaczy o oficera zajmującego się sprawą „Luxembourg a”.

- Jak się nazywa?

- Panna Chloe West.

- Przyjmijmy ją - rzucił Kemp z rezygnacją. - Mogę jej dać dziesięć minut. Potem ma przyjść Farraday. Cóż, nie zaszkodzi mu, jeśli poczeka kilka minut. To ich wprawia w panikę.

Kiedy panna Chloe West weszła do pokoju, Kempa od razu ogarnęło wrażenie, że już ją widział. Minutę później uznał, że się pomylił. Nie, nie spotkał jej nigdy wcześniej, tego był pewien. Mimo to prześladowało go niejasne poczucie, że ją zna.



Panna West miała mniej więcej dwadzieścia pięć lat, brązowe włosy, była wysoka i bardzo ładna. Mówiła z poprawną dykcją i wydawała się bardzo zdenerwowana.

- Cóż, panno West, co mogę dla pani zrobić? -zapytał energicznie Kemp.

- Czytałam w gazecie o „Luxembourgu”, tym człowieku, który tam zmarł.

~ George’u Bartonie? Tak? Znała go pani?

- Nie, niedokładnie. To znaczy właściwie wcale. Kemp spojrział na nią uważnie i doszedł do pierwszych wniosków.

Chloe West wyglądała na osobę wyjątkowo szlachetną

I szczerą. Zapytał uprzejmie:

- Czy mógłbym najpierw zapisać pani dokładne nazwisko i adres, tak byśmy wiedzieli, na czym stoimy?

- Chloe Elizabeth West. Merryvale Court piętnaście, Maida Yale. Jestem aktorką.

Kemp rzucił jej powtórne spojrzenie kątem oka i uznał, że naprawdę nią była. Pracuje w teatrze - zgadywał. Mimo wyglądu należała do osób traktujących swój zawód poważnie.

- Więc słucham, panno West?

- Kiedy przeczytałam o śmierci pana Bartona i... śledztwie policji, pomyślałam, że chyba powinnam stawić się tu i o czymś wam opowiedzieć. Rozmawiałam o tym z przyjaciółką i ona uważała podobnie. Pewnie nie ma to nic wspólnego ze sprawą, ale... - panna West urwała.

- Ja to osądzę - rzekł uprzejmie Kemp. - Proszę mi tylko to opowiedzieć.

- W tej chwili nie występuję - zaczęła panna West. Inspektor Kemp niemal dorzucił: „bez angażu” by zaznaczyć, że zna właściwe słownictwo, lecz pohamował się.

- Ale moje nazwisko mają agencje, a zdjęcie zamieszczono w „Spotlight”... Tam chyba zobaczył je pan Barton. Skontaktował się ze mną i wyjaśnił, czego ode mnie oczekuje.

- Tak?

- Powiedział, że wydaje obiad w „Luxembourgu” i chce zrobić gościom niespodziankę. Pokazał mi zdjęcie i powiedział, że chce, bym wyglądała jak osoba na nim. Dodał, że bardzo ją przypominam.

Kempa oświeciło zrozumienie. Zdjęcie Rosemary, które widział na biurku w pokoju George’a. To właśnie przypominała mu dziewczynka. Była podobna do Rosemary Barton - może nie uderzająco, ale typ urody i rysy miały takie same.

- Przyniósł mi również sukienkę, mam ją ze sobą. Szarozielony jedwab. Miałam uczesać się tak jak kobieta ze zdjęcia (było kolorowe) i podkreślić podobieństwo

makijażem. Potem miałam przyjść do „Luxembourg” i wejść do restauracji podczas pierwszych występów kabaretu, usiąść przy stole, gdzie będzie czekało puste miejsce. Zabrał mnie tam na lunch i pokazał stół.

- Dlaczego nie dotrzymała pani umowy?

- Ponieważ o ósmej tamtego wieczoru ktoś... chyba pan Barton zadzwonił i powiedział, że wszystko odwołuje. Powiedział, że zadzwoni do mnie następnego dnia i powiadomi, kiedy to zrobimy. A następnego ranka przeczytałam w gazecie, że nie żyje.

- Bardzo rozsądnie pani zrobiła przychodząc do nas - ocenił Kemp. - Bardzo pani dziękuje, panno West. Wyjaśniła pani jedną zagadkę - tajemnicę pustego krzesła. A przy okazji, najpierw powiedziała pani „ktoś”, a potem „pan Barton”. Dlaczego?

- Bo najpierw pomyślałam, że to ktoś inny. Miał inny głos.

- Ale to był mężczyzna?

- Och, tak, tak sądzę... przynajmniej... był dość niski, jakby ten ktoś przeziębiał się.

- I to wszystko, co powiedział?

- Tak.

Kemp zadał jej jeszcze kilka pytań, ale nie posunął się dalej. Kiedy panna West wyszła, zwrócił się do sierżanta:

- Taki więc był słynny „plan” George’a Bartona. Teraz rozumiem, dlaczego wszyscy powtarzali, że po kabarecie patrzył dziwnym wzrokiem na puste krzesło i wyglądał na roztargnionego. Jego cenny plan się nie powiódł.

- Nie myśli pan, że to on go odwołał?

- Nigdy w życiu. I nie jestem pewien, czy to był męski głos. Niskie brzmienie można łatwo osiągnąć przez telefon. Cóż, posuwamy się do przodu. Przyślij Farra-daya, jeśli już czeka.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Stephen Farraday, na zewnątrz chłodny i opanowany, wkroczył do gmachu Scotland Yardu w duchu drżąc z niepokoju. Jego serce przytłaczał nieznośny ciężar. Tego ranka wydawało się, że sprawy układają się dobrze. Dlaczego nadinspektor Kemp z takim naciskiem poprosił, by się tu zjawił? Co wiedział lub podejrzewał? Ale Kemp mógł mieć jedynie niejasne podejrzenia. Trzeba tylko zachować spokój i nie przyznawać się do niczego.

O dziwo, czuł się osierocony i samotny bez Sandry. Zupełnie, jakby stając wspólnie przed zagrożeniem pozbawiali je połowy niebezpieczeństwa. Razem mieli siłę, odwagę, władzę. Sam wart był tyle co nic, a nawet mniej. Czy Sandra czuła to samo? Czy siedziała teraz w domu Kidderminsterów cicha, pełna rezerwy, dumna, w środku czując się przeraźliwie bezbronna?

Nadinspektor Kemp powitał go uprzejmie, lecz z powagą. Przy stoliku siedział mężczyzna w mundurze, z ołówkiem i kartką papieru. Kemp poprosił Stephena, by usiadł, i odezwał się oficjalnie:

- Proponuję, by złożył pan swoje zeznania, panie Farraday. Zostaną zapisane, a zanim pan odejdzie, poproszę, by je pan przeczytał i podpisał. Jednocześnie jest moim obowiązkiem powiadomić pana, że może pan odmówić składania zeznań i jeśli pan tego sobie życzy, ma pan prawo wezwać adwokata.

Stephen był zaskoczony, ale nie okazał tego. Zmusił się do chłodnego uśmiechu.

- Brzmi to bardzo groźnie, nadinspektorze.

- Chcemy, żeby wszystko było jasne, panie Farraday.

- Wszystko, co powiem, może zostać użyte przeciwko mnie, prawda?

- Nie używamy słowa „przeciwko”. Wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane jako dowód.

Stephen powiedział cicho:

- Rozumiem. Jednak nie potrafię sobie wyobrazić, na co potrzebne panu jeszcze jakieś zeznania. Rano wysłuchał pan wszystkiego, co miałem do powiedzenia.

- To było spotkanie nieoficjalne, użyteczne jako punkt wstępny. Natomiast pewne dodatkowe fakty wolałby pan, jak sądzę, omówić tutaj. We wszystkim nie mającym bezpośredniego związku ze sprawą postaramy się zachować dyskrecję, o ile będzie to możliwe ze względu na dobro śledztwa. Jestem pewien, że rozumie pan, o czym mówię.

- Obawiam się, że nie, Nadinspektor Kemp westchnął.

- Tylko o tym: łączyły pana bardzo intymne stosunki ze zmarłą panią Barton...

Stephen przerwał mu:

- Kto tak twierdzi?

Kemp pochylił się i wziął z biurka napisaną na maszynie kartkę,

- To kopia listu znalezionej między rzeczami zmarłej pani Barton. Oryginał mamy tutaj; wręczyła go nam panna Iris Marie, która rozpoznała pismo swojej siostry.

Stephen odczytał:

„Najdroższy Tygrysku...”

Poczuł ogarniające go mdłości. Głos Rosemary... mówi... błaga... Czy przeszłość nigdy nie umrze? Nigdy nie pozwoli, by ją pogrzebano?

Wziął się w garść i spojrzał na Kempa.

- Być może nie myli się pan przypuszczając, że to pani Barton napisała ten list. Lecz nic nie wskazuje na to, że pisała do mnie.

- Czy zaprzecza pan, że płacił czynsz za mieszkanie przy Malland Mansions dwadzieścia jeden na EarPs Court?

Więc wiedzieli o tym! Zastanawiał się, czy wiedzieli od samego początku. Wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej jest pan świetnie poinformowany. Czy mogę spytać, dlaczego moje prywatne sprawy wyciąga się na widok publiczny?

- Nie zrobimy tego, chyba że okaże się, iż mają związek ze śmiercią George'a Barlona.

- Rozumiem. Sugeruje pan, że najpierw miałem romans z jego żoną, a potem zabiłem go.

- Cóż, panie Farraday, postawie to otwarcie. Był pan bliskim przyjacielem pani Barton, rozstaliście się, bo pan tego chciał, a nie ona. Jak widać z listu, mogłaby sprawić panu sporo kłopotów. Bardzo dogodnie dla pana umarła.

- Popelniła samobójstwo. Być może częściowo ponoszę za to winę. Mogę gardzić sobą, ale prawo nie ma (u nic do rzeczy).

- Może popelniła samobójstwo, a może nie. George Barton tak nie sądził. Zaczął prowadzić śledztwo na własną rękę - i umarł. To dość wiele sugeruje.

- Nie rozumiem, dlaczego miałby pan... czepiać się właśnie mnie.

- Przyznaje pan, że śmierć pani Barton nadeszła w bardzo dogodnym dla pana momencie? Skandal, panie Farraday, byłby wysoce niekorzystny dla pańskiej kariery.

- Nie byłoby żadnego skandalu. Pani Barton zachowałaby się rozsądnie.

- - Ciekawe! Czy pańska żona wiedziała o tym romansie, panie Farraday?

- Na pewno nie.

- Jest pan tego pewny?

- Tak. Moja żona uważa, że między mną a panią Barton nie było nic prócz przyjaźni. Mam nadzieję, że nigdy nie dowie się, iż było coś więcej.

- Czy pańska żona jest zazdrosną kobietą?

- Absolutnie nie. Nigdy nie okazała śladu zazdrości o mnie. Jest na to zbyt rozsądna.

Inspektor nie skomentował tego, zapytał za to:

- Czy kiedykolwiek w minionym roku znalazł się pan w posiadaniu cyjanku?

- Nie.

- Lecz trzyma pan zapas w wiejskiej posiadłości?

- Być może ma go ogrodnik. Ja nic o tym nie wiem.

- Nigdy nie kupował pan cyjanku w aptece ani w sklepie fotograficznym?

- Nie mam pojęcia o fotografii i powtarzam, że nigdy nie kupowałem cyjanku.

Kemp przycisnął go jeszcze, zanim pozwolił mu odejść.

Zwrócił się z namysłem do podwładnego:

- Bardzo szybko zaprzeczył, że żona wiedziała o jego romansie z Rosemary Barton. Ciekawe, dlaczego?

- Na pewno ma pietra, że się dowie.

- Możliwe, lecz sądziłem, że jest na tyle sprytny, by wiedzieć, że jeśli jego żona o niczym nie wiedziała, a wściekłaby się, gdyby jej ktoś powiedział - o n ma dodatkowy motyw, by uciszyć Rosemary Barton. Żeby uratować własną skórę, powinien twierdzić, że żona domyślała się jego romansu, lecz wolała to zignorować.

- Na pewno nie pomyślał o tym.

Kemp potrząsnął głową. Stephen Farrady nie był głupcem. Miał jasny i bystry umysł. A jednak z pasją przekonywał nadinspektora, że Sandra nie wiedziała o niczym.

- Cóż - odezwał się Kemp - pułkownik Race jest chyba zadowolony z tego, do czego się dokopał. Jeśli ma rację, Farradayowie są niewinni. Będę zadowolony, jeżeli okaże się to prawdą.

Podoba mi się ten facet. I osobiście nie sądzę, że jest mordercą.

Otwierając drzwi salonu, Stephen zawołał:

- Sandra?

Wyszła ku niemu z ciemności i objęła go gwałtownie, opierając dłonie na jego ramionach.

- Stephen?

- Dlaczego siedzisz po ciemku?

- Nie mogłam znieść światła. Powiedz mi.

- Wiedzą - odparł.

- O Rosemary?

- Tak.

- I co myślą?

- Wiedzą, że miałem motyw... Och, kochanie, w co ja cię wpakowałem. To wszystko moja wina. Gdybym tylko zostawił cię w spokoju po śmierci Rosemary... wyjechał, dal ci wolność... tak byś przynajmniej nie była zamieszana w tę okropną sprawę.

- Nie, tylko nie to.... Nigdy mnie nie opuszczaj.... Nigdy.

Uczepiła się go, rozplakała, Izy spływały po jej policzkach. Poczuł, jak drży.

- Jesleś całym moim życiem, Stephenie, całym życiem. Nigdy, mnie nie zostawiaj...

- Czy tak bardzo zależy ci na mnie, Sandro? Nigdy nie przypuszczałem...

- Nie chciałam, żebyś wiedział. Ale teraz...

- Tak, teraz... Siedzimy w tym razem, Sandro... i razem stawimy temu czoła... Cokolwiek się zdarzy, będziemy razem!

Stojąc tak, objęci w ciemności, poczuli przyływ siły.

Sandra stwierdziła z determinacją:

- To nie zniszczy naszego życia! Nie zniszczy! Nie zniszczy!

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Anthony Browne zerknął na wizytówkę, którą wyciągnął w jego stronę boy hotelowy.

Zmarszczył brwi, a po chwili wzruszył ramionami. Powiedział chłopcu:

- Dobrze, wprowadź go.

Kiedy do środka wszedł pułkownik Race, Anthony stał przy oknie, a jaskrawe słońce świeciło zza jego ramion.

Ujrzał wysokiego człowieka o żołnierskiej postawie, pobrużdżonej brązowej twarzy i stalowosiwych włosach. Widział go już wcześniej, chód od tamtej chwili minęło parę lat, i wiedział o nim całkiem sporo.

Race zobaczył ciemną, pełną gracji postać i zarys kształtnej głowy. Miły, opieszawy głos powiedział:

- Pułkownik Race? Był pan przyjacielem George'a Bartona, jak wiem. Mówił o panu zeszłego wieczoru. Proszę wziąć papierosa.

- Dziękuję, z chęcią zapalę.

Anthony ciągnął, trzymając płonącą zapalną:

- Spodziewaliśmy się pana tamtej nocy, tyle że pan się nie zjawił. W sumie dobrze pan zrobił.

- Tu się pan myli. To puste krzesło nie czekało na mnie.

Brwi Anthony\*ego uniosły się w górę,

- Naprawdę? Barton powiedział... Race przerwał mu.

- Być może George Barton tak mówił. Lecz jego plany były zupełnie inne. To krzesło, panie Browne, miała zająć - kiedy zgasły światła - aktorka nazwiskiem Chloe West.

Anthony spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Chloe West? Nigdy o niej nie słyszałem. Kim ona jest?

- To młoda aktorka, niezbyt znana, ale przejawiająca pewne powierzchowne podobieństwo do Rosemary Bar-ton.

\*\*\*- Anthony gwizdnął. ' & \* - Zaczynam rozumieć.

- Dostała fotografię Rosemary, by mogła skopiować jej fryzurę; miała też sukienkę, którą

Rosemary nosiła w noc swojej śmierci.

- Taki wiec był plan GeorgeY? Zapalają się światła i wszystkim zapiera dech z przerażenia. Rosemary wróciła. Winowajca jęczy: „To prawda... to prawda... ja to zrobiłem”.

Urwał, i dodał po chwili:

- Głupota - nawet jak na takiego osła, jak biedny stary George.

- Obawiam się, że nie rozumiem. Anthony uśmiechnął się szeroko.

- Och, proszę pana, przecież zatwardziały kryminalista nie zachowa się jak rozhisteryzowana pensjonarka. Jeśli ktoś z zimną krwią otruł Rosemary Barton i szykował się, by podać tę samą śmiertelną dawkę cyjanku George’owi Bartonowi, musiał mieć silne nerwy. Trzeba czegoś więcej niż aktorka przebrana za Rosemary, by on czy ona puścili farbę.

- Proszę pamiętać, że Makbet, z całą pewnością zatwardziały przestępca, załamał się w czasie uczty na widok ducha Bańka.

- Och, ale Makbet naprawdę zobaczył ducha! To nie był jakiś aktorzyzna w łachach Bańka! Jestem skłonny przyznać, że prawdziwy duch może wywołać grozę rodem z tamtego świata. Przyznam się nawet, że wierze

w duchy - wierzę w nie od sześciu miesięcy. Zwłaszcza w jednego,

- Doprawdy? A czyj to duch?

- Rosemary Barton. Może się pan śmiać, jeśli chce. Nie widziałem jej, ale czułem jej obecność. Z jakichś powodów biedna dusza Rosemary nie może pozostać martwa.

- Mógłbym podać przyczynę.

- Bo została zamordowana?

- Używając innego wyrażenia: wykończono ją. I co pan na to, panie Tony Morelli?

Zapadła cisza, Anlhony usiadł, zdusił papierosa

0 kratę kominka i zapalił następnego.

Potem odezwał się:

- Jak pan to odkrył?

- Przyznaje pan, że nazywa się Tony Morelli?

- Nie śmiałbym marnować czasu, usiłując zaprzeczyć. Widać, że telegrafował pan do Ameryki i



otrzymał pełne informacje.

- I przyznaje pan, że kiedy Rosemary Barton odkryła pańską tożsamość, groził pan, że ją wykończy, jeśli nie będzie trzymała języka za zębami?

- Zrobiłem wszystko, co mogłem, by nastraszyć ją

1 zmusić do milczenia - zgodził się uprzejmie Tony.

Pułkownika Race'a ogarnęło dziwne uczucie. Ta rozmowa nie przebiegała tak, jak powinna. Spojrzał na postać przed sobą, swobodnie wyciągniętą na krześle - i powróciło do niego wrażenie, że skądś ją zna.

- Czy mam zrekapitulować to, co wiem o panu, panie Morelli?

- To by było zabawne.

- Został pan skazany w Stanach za sabotaż w pracach nad samolotem Ericsena i musiał odsiedzieć wyrok w więzieniu. Po odsłużeniu kary wyszedł pan i władze

straciły pana z oczu. Następnie usłyszano, że zatrzymał się pan w Londynie w hotelu „ClaridgeY” pod nazwiskiem Anthony Browne. Zaznajomił się pan z lordem Dewsbury i przez niego poznał innych czołowych producentów broni. Zamieszkał pan w domu lorda Dewsbury i dzięki pozycji jego gościa pozwolono panu obejrzeć rzeczy, których nigdy nie powinien pan zobaczyć! To dość dziwny zbieg okoliczności, że ciąg niewytłumaczalnych wypadków i cudem unikniętych katastrof na dużą skalę miał miejsce tuż po pana odwiedzinach w ważnych zakładach i fabrykach.

- Zbiegi okoliczności - zauważył Anlhony - są rzeczywiście niezwykle.

- Wreszcie, po kolejnym upływie czasu, ponownie zjawił się pan w Londynie i odnowił znajomość z Iris Marie, wymawiając się od odwiedzenia jej w domu, żeby jej rodzina nie zorientowała się, w jak bliskich jesteście stosunkach. A na koniec próbował pan namówić ją, by w tajemnicy wyszła za pana,

- Wie pan, to naprawdę zdumiewające, jak potraficie odkryć tyle spraw - powiedział Anthony. - Nie chodzi mi o fabryki broni, ale o moje groźby wobec Rosemary i czułe bzdury, jakie szeptałem Iris. To na pewno nie wchodzi w zakres obowiązków M.I.5?

Race spojrział na niego ostro. ^ - Ma pan sporo do wyjaśnienia, panie Morelli.

- Wcale nie. Zakładając, że pańskie fakty są prawdziwe, co z tego? Odsiedziałem swój wyrok. Znalazłem paru interesujących znajomych. Zakochałem się w bardzo czarującej dziewczynie i naturalnie śpieszy mi się do ślubu.

- Tak bardzo, że wolałby pan, by ślub odbył się, zanim jej rodzina będzie miała szansę dowiedzieć się czegokolwiek o pańskim pochodzeniu. Iris Marie jest bardzo bogatą młodą kobietą.

Anthony zgodnie przytaknął.

- Wiem. Gdy w grę wchodzi pieniądze, rodzina staje się zwykle odrażająco wścibska. A Iris, widzi pan, nic nie wie o mojej mrocznej przeszłości. Uczciwie mówiąc wolałbym, żeby tak pozostało.

- Obawiam się, że wszystkiego się dowie.

- A to szkoda - rzucił Anthony.

- Możliwe, że nie zdaje pan sobie sprawy... Anthony przerwał mu ze śmiechem;

- Och, ależ potrafię postawić kropkę nad i. Rosemary Barton знаła moją kryminalną przeszłość, więc ją zabiłem. George Barton zaczynał mnie podejrzewać, więc i jego sprzątnąłem! Teraz chodzi mi o pieniądze Iris! Wszystko to bardzo ładnie się składa i trzyma się kupy, ale nie ma pan śladu dowodu.

Race patrzył na niego uważnie przez chwilę. A potem wstał.

- Wszystko, co powiedziałem, jest prawdą - stwierdził. - I nic się nie zgadza.

Anthony spojrzał na niego.

- Co się nie zgadza?

- Pan - Race wolno przemierzył pokój tam i z powrotem. - To wszystko pasowało do siebie, dopóki pana nie zobaczyłem. Ale teraz, kiedy pana poznałem, to nie ma sensu. Nie jest pan oszustem. A jeśli nie, należy pan do nas. Mam rację, prawda?

Anthony patrzył na niego w milczeniu, a na jego twarzy pojawiał się coraz szerszy uśmiech, a potem wymruczał cicho pod nosem:

- „Gdyż żona pułkownika i Judy O’Grady są w sercu siostrami.” Tak, to wręcz śmieszne, jak łatwo rozpoznaje się ludzi własnego gatunku. Dlatego próbowałem uniknąć tego spotkania. Obawiałem się, że domyśli się pan, kim jestem. Jak dotąd było ważne, by nikt tego

nie odkrył - aż do wczoraj. Teraz, na szczęście, balon poszedł w górę. Zagnaliśmy gang międzynarodowych sabotażystów do sieci. Pracowałem nad tym od trzech lat. Zjawiałem się na spotkaniach, agitowałem wśród robotników, zdobywałem odpowiednią reputację. Wreszcie złapałem ważną robotę i zostałem skazany. Całość musiała być prawdziwa, jeśli miałem ustalić swoje bona fide.

- Kiedy wyszedłem - ciągnął Anthony - sprawy zaczęły posuwać się do przodu. Stopniowo dotarłem do centrum wydarzeń, do olbrzymiej międzynarodowej siatki kierowanej ze Środkowej Europy. Przyjechałem do Londynu jako ich agent i zatrzymałem się w „Claridge’s”, Miałem rozkaz zaprzyjaźnić się z lordem Dewsbury. Takie było moje przeznaczenie - zostać lwem salonowym! W charakterze znanego w mieście atrakcyjnego młodzieńca poznałem Rosemary Barton. Nagle, ku

mojemu pr/erażeniu, odkryłem, że wiedziała, iż siedziałem w Stanach w więzieniu pod nazwiskiem Tony Morelli. Śmiertelnie bałem się o nią! Ludzie, z którymi pracowałem, zabiliby ją bez chwili wahania, gdyby domyślili się, co wie. Zrobiłem, co mogłem, by nastraszyć ją i zmusić do milczenia, ale nie liczyłem na wiele. Rosemary była urodzoną plotkarą. Uznałem, że zrobię najlepiej usuwając się, ale wtedy zobaczyłem Iris schodzącą po schodach i przysięgłem sobie, że kiedy skończę zadanie, wrócę i poślubię ją. Więc kiedy załatwiłem wszystko, pojawiłem się znowu i skontaktowałem z Iris, ale trzymałem się z dala od domu i jej krewnych, gdyż wiedziałem, że chcieliby sprawdzić moją przeszłość, a ja musiałem utrzymać kamuflaż trochę dłużej. Ale martwiłem się o nią. Wydawała się chora i przestraszona -a George Barton zachowywał się w bardzo osobliwy sposób. Nakłaniałem ją, by wyjechała ze mną i wyszła

za mnie. No cóż - odmówiła. Może miała rację. Potem znalazłem się na tym przyjęciu. Kiedy usiedliśmy za stołem, George wspomniał, że pan też przyjdzie. Szybko powiedziałem, że spotkałem znajomego i być może będę musiał wyjść wcześniej. Rzeczywiście spotkałem człowieka, którego znałem w Stanach - Monkey Colemana, choć on mnie nie poznał, Ale tak naprawdę nie chciałem spotkać się z panem. Wciąż jeszcze pracowałem. Wie pan, co stało się potem: George umarł. Nie mam nic wspólnego z jego zgonem czy ze śmiercią Rosemary. Nie wiem, kto ich zabił.

- Żadnych pomysłów?

- Musiał to być albo kelner, albo ktoś z piątki gości przy stole. Nie sądzę, żeby to był kelner. Na pewno nie ja ani Iris. Może Sandra Farraday albo Stephen Farraday, a może oboje. Lecz sam stawałbym na Ruth Lessing.

- Czy może pan udowodnić to przekonanie?

- Nie. Wydaje się najbardziej prawdopodobna, ale zupełnie nie rozumiem, jak mogłaby to zrobić! W obu przypadkach siedziała tak, że nie mogłaby dotknąć kieliszków - a im więcej zastanawiam się nad zeszłym wieczorem, tym mniej otrucie George'a wydaje mi się możliwe. A jednak go otruto!

Anlhony umilkł na chwilę. Po chwili zapytał:

- Jeszcze jedno mnie gnębi: czy odkryliście, kto napisał te anonimowe listy, które naprowadziły go na trop?

Race potrząsnął głową.

- Nie. Myślałem, że tak - ale myliłem się.

- Bo ciekawe jest to, że listy wskazują na istnienie kogoś - gdzieś - kto wie, że Rosemary została zamordowana. Więc jeśli nie zachowacie ostrożności, on zginie następnym!

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z informacji otrzymanych przez telefon Anthony wiedział, że Lucilla Drake wychodzi o piątej na filiżankę herbaty ze starą przyjaciółką. Oczekując chwilę na wypadek niespodziewanych opóźnień (powrotu po zapomnianą portmonetkę lub parasolkę „na wszelki wypadek” oraz odbywanej w ostatniej chwili pogaduszki na schodach) Anthony wyznaczył swoje przybycie na Elvaston Square dokładnie na dwadzieścia pięć minut po piątej. Chciał zobaczyć się z Iris, a nie z jej ciotką. A wszystko wskazywało na to, że gdyby zjawił się tam w obecności Lucilli, miałby małą szansę na spokojną rozmowę z panią swego serca.

Pokojówka (dziewczyna, której brakowało zuchwałej ogłady Betly Archdale) powiadomiła go, że panna Iris właśnie przyszła i jest w gabinecie.

Anthony rzucił z uśmiechem:

- Nie przeszkadzaj sobie. Sam znajdę drogę - i wyminął ją, kierując się w stronę pokoju.

Iris odwróciła się nerwowo, kiedy wszedł.

- Och, to ty. Podszedł do niej szybko.

- Co się stało, kochanie?

- Nic - urwała, a po chwili dodała pośpiesznie: - Nic. Tylko prawie że przejechał mnie samochód. Och, to moja wina. Zamyśliłam się i szłam przez ulicę nie patrząc, kiedy zza rogu wyjechał samochód i omal mnie nie potrącił.

Potrząsnął nią lekko.

- Nie wolno ci tego robić, Iris. Martwię się o ciebie. Nie chodzi mi o cudowną ucieczkę spod kół samochodu,

ale o przyczynę, dla której idziesz półprzytomnie po ulicy. O co chodzi, kochanie? Wydarzyło się coś szczególnego, prawda?

Przytaknęła. Jej oczy, podniesione ze smutkiem ku niemu, były olbrzymie i pociemniałe ze strachu. Zrozumiał, jeszcze zanim odezwała się cicho, pośpiesznie:

- Boję się.

Anthony odzyskał swoją spokojną, uśmiechniętą pozę. Usiadł obok Iris na szerokiej kozetce.

- No, dalej - powiedział - załatwmy to.

- Chyba nie chcę ci o tym powiedzieć, Anthony.

- Hej, przestań udawać bohaterkę trzeciorzędnej powieści z dreszczykiem, która w pierwszym rozdziale nie może o czymś powiedzieć, nie mając do tego żadnych powodów prócz chęci zirytowania bohatera i dążenia autora, by napisać następne pięćdziesiąt tysięcy słów.

Uśmiechnęła się blado.

- Powiedziałałabym ci, Anthony, ale nie wiem, co sobie pomyślisz... nie wiem, czy uwierzysz...

Anthony podniósł dłoń i zaczął kolejno zaginać palce.

- Możliwość pierwsza: nieślubne dziecko. Druga: kochanek cię szantażuje. Trzecia...

Przerwała mu z oburzeniem:

- Oczywiście, że nie. To nic z tych rzeczy,

- Ulżyło mi - stwierdził Anthony. - No, daj spokój, głuptasku.

Twarz Iris zachmurzyła się ponownie.

- Nie ma się z czego śmiać. Chodzi o... o ubiegłą noc.

- Tak? - rzucił ostrzejszym tonem. Iris powiedziała:

- Byłeś na rozprawie dziś rano. Słyszałeś... - urwała.

- Niewiele - dokończył za nią Anthony. - Chirurg policyjny podał techniczne szczegóły dotyczące cyjanku

i efektu, jaki trucizna wywarła na George'a; słyszałem przedstawiciela policji - głównego inspektora, ale nie Kempa. Tego z eleganckim wąsikiem, który pierwszy dotarł do „Luxembourg” i objął dowodzenie. Urzędnik z firmy George'a zidentyfikował ciało. Najwyraźniej dość pojętny koroner odłożył przesłuchanie na tydzień.

- Chodzi mi o inspektora - powiedziała Iris. - Powiedział, że znalazł pod stołem papierową torebkę ze śladami cyjanku.

Anthony zainteresował się.

- Tak. Najwyraźniej ktokolwiek wsypał truciznę do kieliszka George'a, upuścił torebkę, w której ją przyniósł. Najprostsza rzecz pod słońcem. Nie mógł ryzykować, że ją przy nim znajdą. Albo przy niej.

Ku jego zdumieniu Iris zaczęła gwałtownie drżeć. iV.- Och, nie, Anthony, nie. To wcale nie było tak.

- O czym mówisz, kochanie? Co o tym wiesz? Iris powiedziała:

- To ja upuściłam te paczuszkę pod stół. Zwrócił na nią zaskoczony wzrok.

- Posłuchaj mnie, Anthony. Pamiętasz, jak George wypił szmapana i potem... wiesz?

Przytaknął.

- To było okropne - jak zły sen. Stało się właśnie wtedy, gdy wszystko wydawało się w porządku. Chodzi mi o to, że po kabarecie, kiedy zapaliły się światła, poczułam ulgę. Ponieważ, jak wiesz, właśnie wtedy znaleziono Rosemary martwą. Nie wiem dlaczego, ale czułam, że to się powtórzy... Czułam, że siedzi tam, martwa, przy stole...

- Kochanie....

- Och, wiem. To tylko nerwy. Ale nie stało się nic okropnego i wydawało się, że to się wreszcie skończyło i można... nie wiem, jak to wyrazić... zacząć od nowa.

Więc zatańczyłam z George'em i poczułam, że w końcu dobrze się bawię. A potem wróciliśmy do stołu. Wtedy George zaczął nagle mówić o Rosemary i poprosił, byśmy wypili za jej pamięć, a potem umarł i koszmar powrócił.

- Byłam zupełnie sparaliżowana - ciągnęła. - Stałam tam i trzęsłam się. Podeszedłeś, by na niego spojrzeć, a ja cofnęłam się trochę, zjawili się kelnerzy, a ktoś zapytał o lekarza. Przez cały czas stałam tam jak kamień. Potem coś zaczęło mnie dławić w gardle i łzy popłynęły mi po policzkach, więc otworzyłam torebkę, by wyjąć chusteczkę. Pogrzebałam w torbie nie patrząc i wyjęłam chustkę, ale coś było w nią zawinięte - złożony kawałek białego papieru, taki, w jakich dostaje się czasem proszek z apteki. Tylko że tego nie było, kiedy wychodziłam z domu. Nie miałam nic takiego! Sama wkładałam rzeczy do zupełnie pustej torebki: puderniczkę, szminkę, chusteczkę, grzebień w futerale, szylinga i dwie sześćcio-pensówki. Ktoś włożył tę paczuszkę do mojej torebki. Na pewno tak było. Przypomniałam sobie, że znaleziono coś podobnego w torebce Rosemary po jej śmierci. W środku był cyjanek. Przeraziłam się. Och, Anthony, potwornie się przeraziłam. Dłonie mi zwilgotniały, a paczuszka wypadła z chustki pod stół. Nie podniosłam jej. Nic nie powiedziałam. Byłam zbyt przerażona. Ktoś chciał, żeby wyglądało na to, że to ja zabiłam George'a. Ale ja tego nie zrobiłam.

Anthony gwizdnął długo, przeciągle.

- Nikt nie zauważył? - zapytał. Iris zawahała się.

- Nie jestem pewna - powiedziała powoli. - Chyba Ruth to widziała. Lecz wydawała się tak oszołomiona, że nie wiem, czy naprawdę coś zauważyła, czy tylko patrzyła na mnie nieprzytomnie.

l L .L - J l

Anthony znowu gwizdnął.

- Niezłe bagno - zauważył,

- Jest coraz gorzej - ciągnęła Iris. - Tak bardzo się boję, że policja to wykryje.

- Ciekawe, czemu nie znaleźli twoich odcisków palców? To pierwsza rzecz, jakiej szukali.

- Pewnie dlatego, że trzymałam kopertę przez chustkę. Anthony skinął głową.

\* - Tak, miałaś szczęście.

- Ale kto włożył ją do mojej torebki? Przez cały wieczór miałam ją przy sobie.

- To nie jest tak niemożliwe, jak sądzisz. Kiedy poszłam tańczyć po kabarecie, zostawiłam torebkę na stole. Ktoś mógł w niej wtedy pogrzebać. No i kobiety. Czy mogłabyś wstać i zademonstrować mi, jak zachowują się kobiety w damskiej przebieralni? O takich sprawach nie mam bladego pojęcia. Czy zbieracie się na pogadu-szki, czy stajecie przy oddzielnych lustrach?

Iris zastanowiła się.

- Wszystkie podeszłyśmy do tego samego stołu -długiego, ze szklanym blatem. Postawiłyśmy na nim torebki i stanęłyśmy przed lustrami. No przecież wiesz.

- Niestety nie. Mów dalej,

- Ruth przypudrowała sobie nos, a Sandra przygładziła włosy i wpięła głębiej szpilkę. Ja zdjęłam lisa i podałam kobiecie w przebieralni, a potem zauważyłam, że pobrudziłam sobie rękę - była na niej smuga błota, więc podeszłam do umywalek.

- Zostawiając torebkę na szklanym stole?

- Tak. Umyłam ręce. Ruth wciąż poprawiała makijaż, a Sandra oddała swój płaszcz i podeszła do lustra. Ruth umyła ręce, a ja przeszłam do stołu i poprawiłam włosy.

- Więc każda z nich mogła włożyć coś do twojej torebki, a ty nie zobaczyłabyś tego?

- Tak, ale nie uwierzę, że któraś z nich to zrobiła.

- Masz za dobre mniemanie o ludziach. Sandra to postać rodem ze średniowiecza, która paliłaby wrogów na stosie. Z Ruth byłby najbardziej trzeźwo myślący truciciel, jaki kiedykolwiek stąpił po ziemi.

- Jeśli to była Ruth, dlaczego nie powiedziała nic widząc, co wyrzucam?

- Tu mnie złapałaś. Jeśli celowo podrzuciła ci cyjanek, sprawdzałaby uważnie, czy się go nie pozbędziesz. Wygląda więc na to, że to nie Ruth. W rzeczywistości najlepiej nadawałby się kelner. Kelner, ten kelner! Gdyby tylko obsługiwał nas ktoś obcy, niezwykle, na przykład wynajęty tylko na ten wieczór. Ale byli tylko Giuseppe i Pierre, a oni zupełnie nie pasują...

Iris westchnęła.

- Cieszę się, że ci powiedziałam. Nikt się o tym nie dowie, prawda? Tylko ty i ja?

Anthony spojrział na nią dość zakłopotany.

- Nic całkiem, Iris. Pojedziesz ze mną taksówką do starego Kempa. Nie możemy trzymać takiej informacji w sekrecie.

- Och nie, Anthony. Pomyślą, że zabiłam George'a.

- Na pewno tak pomyślą, jeśli sami odkryją, że siedziałaś cicho i nie im nie powiedziałaś! Twoje wyjaśnienia zabrzmiały bardzo kiepsko. Jeśli sama zgłosisz się teraz, istnieje prawdopodobieństwo, że ci uwierzą.

- Proszę, Anthony.

- Słuchaj, Iris, znalazłaś się w niepewnej sytuacji. Lecz poza wszystkim jest jeszcze coś takiego jak prawda. Nic możesz udawać, że nic się nie stało, i dbać o własną skórę tam, gdzie w grę wchodzi sprawiedliwość.

- Och, Anthony, czy musisz być taki praworządny?

- To był cios poniżej pasa - powiedział Anthony. - Mimo to jedziemy do Kempa. Natychmiast!

- Niechętnie wyszła z nim do przedpokoju. Jej płaszcz leżał rzucony na krzesło. Wziął go i pomógł jej włożyć. W jej oczach dostrzegł jednocześnie bunt i strach, ale nie ustąpił.

- Złapiemy taksówkę na końcu placu - powiedział. Kiedy podchodzili do drzwi, ktoś nacisnął dzwonek

i brzęczenie rozległo się w suterenie. Iris wykrzyknęła: \*Ifę.ą,t!s

- Zapomniałam! To Ruth. Miała przyjść tutaj z biura, by usłalić sprawę pogrzebu. Będzie pojutrze. Pomyślałam, że załatwimy wszystko szybciej, jeśli nie będzie ciotki Lucilli. Ona tak wszystko miesza.

Anthony postąpił krok naprzód i otworzył drzwi, wyprzedzając pokojówkę, która nadbiegła po schodach z dołu.

- Wszystko w porządku, Evans - rzuciła Iris i dziewczyna wróciła na dół.

Ruth wyglądała na zmęczoną i zaniedbaną. Niosła sporą aktówkę.

- Przepraszam za spóźnienie, ale w metrze był potworny tłok, a potem trzy autobusy wypadły z kursu, a nie nadjechała żadna taksówka.

Przeprosiny nie pasowały do zawsze kompetentnej Ruth - pomyślał Anthony. Kolejny znak, że śmierć George'a zdołała zniszczyć tę niemal nieludzką sprawność.

- Nie mogę teraz z tobą pojechać, Anthony - powiedziała Iris. - Musimy z Ruth wszystko



ustalić.

Anthony rzucił stanowczo:

-h: - Obawiam się, że to jest ważniejsze... Bardzo mi przykro, panno Lessing, że zabieram Iris, ale to naprawdę ważne.

Ruth powiedziała szybko:

- Wszystko w porządku, panie Browne. Załatwię to z panią Drake, kiedy wróci - uśmiechnęła się blado. - Nawet dobrze sobie z nią radzę.

- Jestem pewien, że pani poradziłaby sobie z każdym - odparł z uznaniem Anthony.

- Może masz jakieś szczególne życzenia, Iris?

- Nie. Proponowałam, byśmy załatwiły to razem, tylko dlatego, że ciotka Lucilla zmienia zdanie co dwie minuty i pomyślałam, że będzie ci ciężko. Masz tyle rzeczy na głowie. Ale naprawdę nie obchodzi mnie, jaki to będzie pogrzeb! Ciotka uwielbia pogrzeby. Ja ich nienawidzę. Zmarłych trzeba pochować, ale ja nie cierpię, kiedy robi się wokół tego tyle zamieszania. Nie ma to żadnego znaczenia dla zmarłych. Oni są już poza tym. Zmarli nie wracają.

Ruth nie odpowiedziała, a Iris powtórzyła wyzywająco, z uporem:

- Zmarli nic wracają!

- Chodźmy - powiedział Anthony i pociągnął ją za sobą.

Przez plac nadjechała wolno taksówka. Anthony zatrzymał ją i pomógł Iris wsiąść.

- Powiedz mi, moja piękna - rzucił, kiedy podał kierowcy adres Scotland Yardu - czyją obecność wyczułaś w holu, gdy uznałaś za konieczne podkreślić, że zmarli pozostają zmarłymi? George'a czy Rosemary?

- Nikogo! Absolutnie nikogo! Po prostu nienawidzę pogrzebów, mówiłam ci.

Anthony westchnął,

- Muszę być chory psychicznie - stwierdził.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Trzej mężczyźni siedzieli wokół małego, okrągłego stolika z marmurowym blatem.

Pułkownik Race i nadinspektor Kemp pili ciemnobrązową herbatę o dużej zawartości teiny. Anthony popijał to, co Brytyjczycy uznają za filiżankę smacznej kawy. On by jej tak nie nazwał, ale pił ją po to, by na równych prawach wziąć udział w konferencji pozostałych dwóch mężczyzn. Nadinspektor Kemp, z bólem serca sprawdzwszy listy uwierzytelniające Anthony'ego, zgodził się uznać w nim współpracownika.

- Jeśli mnie pytacie - powiedział teraz, wrzucając kilka kostek cukru do czarnego naparu i mieszając go łyżeczką - ta sprawa nigdy nie trafi do sądu. Nie zdobędziemy dowodów.

- Tak myślisz? - spytał Race.

Kemp potrząsnął głową i z aprobatą pociągnął łyk herbaty.

- Jediną nadzieją było zdobycie dowodu na to, że jedna z tych pięciu osób nabyła lub w jakiś sposób zdobyła cyjanek. Ale przy każdym nazwisku musiałem postawić kreskę. To jeden z tych przypadków, kiedy wiadomo, kto to zrobił, ale nie można tego udowodnić.

- Wiec wie pan, kto jest mordercą? - Anthony spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Cóż, jestem niemal pewny. Lady Alexandra Far-raday.

- A więc na nią stawiasz - rzucił Race. - A powody?

- Zaraz je przedstawię. Powiedziałbym, że jest szaleńczo zazdrosna, i władcza. Jak ta królowa, Elcanor

jakaśtam, która odkryła winę pięknej Rosamund Bower i dała jej do wyboru sztylet lub truciznę.

- Tylko że w tym wypadku - zauważył Anthony -piękna Rosemary nie miała żadnego wyboru.

Nadinspektor mówił dalej:

- Ktoś podsuwa Barlonowi wskazówkę. Facet nabiera podejrzeń. Zaznaczam, że były to bardzo konkretne podejrzania. Nie posunąłby się aż do kupna domu na wsi, gdyby nie chciał pilnować Farradayów. Na pewno uzmysłowił jej to, kiedy zaczął głądzić o przyjęciu i nakłaniał ich, by przyszli. Ona nie należy do kobiet, które czekają na to, co przyjdzie. Jest autokratyczna, więc wykańcza go! Powiecie, że jak na razie to teoria, oparta jedynie na jej charakterze. Ale według mnie jedyną osobą, która miała jakąkolwiek szansę, by wrzucić coś do szampana Bartona, zanim go wypił, była kobieta siedząca po jego prawej stronie.

- I nikt nie zauważył, że to zrobiła? - spytał Anthony.

- Właśnie. Mógł - ale nikogo takiego nie było. Powiedzmy, że była zręczna.

- Prestidigitatorska sztuczka.

Race chrząknął. Wyjął swoją fajkę i zaczął ubijać w środku tytoń.

- Jedna sprawa. Zakładając, że lady Alexandra jest osobą władczą, zazdrosną i namiętnie przywiązaną do męża oraz nie zawaha się przed morderstwem - czy sądzisz, że ktoś taki jak ona wrzuciłby obciążający dowód do torebki niewinnej dziewczyny? Weź to pod uwagę: zupełnie niewinnej, która nigdy jej nie zaszkodziła? Czy taka jest tradycja Kidderminsterów?

Nadinspektor poruszył się niepewnie na krześle i zajął do filiżanki.

- Kobiety nie grają w krykieta - rzucił. - Jeśli o to ci chodziło.

w - Właściwie sporo z nich gra - odparł Race z uśmiechem. - Ale rad jestem, że czujesz się niezręcznie.

Kemp uciekł przed dylematem, zwracając się protekcyjnie ku Anthony'emu.

- Przy okazji, panie Browne (nadal tak będę pana nazywał, jeśli pan pozwoli), jestem bardzo zobowiązany, że tak szybko sprowadził pan dziś wieczór pannę Marie, by opowiedziała nam o tej sprawie.

- Musiałem to zrobić natychmiast - powiedział Anthony. - Gdybym czekał, prawdopodobnie w ogóle bym jej nie przywiózł.

- Oczywiście, nic chciała przyjść - powiedział pułkownik Race.

- Porządnie się wystraszyła, biedactwo - wyjaśnił Anthony. - To było zupełnie naturalne.

- Oczywiście - przyznał nadinspektor i nalał sobie następną filiżankę herbaty. Anthony ostrożnie napił się kawy.

- Cóż - zaczął Kemp - jak sądzę, uspokoiliśmy ją. Wyszła do domu zupełnie szczęśliwa.

- Mam nadzieję - powiedział Anthony - że po pogrzebie wyjedzie na trochę na wieś. Dwudziestoczworgodzinny spokój i odpoczynek od bezustannej paplaniny ciotki Lucilli dobrze jej zrobi, jak sądzę.

jejfc- Paplanina ciotki Lucilli przynosi pewne korzyści - zauważył Race.

- Może tobie - stwierdził Kemp. - Na szczęście nie uważałem za konieczne stenografować jej zeznań. Gdyby nie to, ten biedak trafiłby do szpitala ze skurczem nadgarstka,

- No cóż, na pewno się pan nie myli, nadinspektorze, twierdząc, że ta sprawa nigdy nie trafi do sądu - zauważył Anthony - ale to bardzo niezadowolające zakończenie. Jest jeszcze jedna rzecz, której dalej nie

wiemy: kto napisał listy do George'a Bartona twierdząc, że jego żona została zamordowana? Nie mamy najmniejszego pojęcia, kim ta osoba jest. Race zapytał:

- Ciągłe podejrzewasz tę samą osobę, Browne?

- Ruth Lessing? Tak, nadal jest moją kandydatką. Mówiłeś, że przyznała ci się, iż kochała George'a. Wszystko wskazuje na to, że Rosemary nie traktowała jej najlepiej. A gdyby raptem dostrzegła szansę pozbycia się jej i była przekonana, że skoro usunie Rosemary z drogi, będzie mogła z miejsca poślubić George'a?

~ Tu możesz mieć rację - przyznał Race. - Zgadzam się, że Ruth Lessing jest spokojna, praktyczna i skuteczna jak ktoś, kto może zaplanować i popełnić morderstwo i być może brakuje jej tej litości, która z reguły wypływa z wyobraźni. Tak, masz rację, jeśli idzie

o pierwsze morderstwo. Ale nie wyobrażam sobie, żeby mogła popełnić drugie. Nie uwierzę, że spanikowała

I otruła człowieka, którego kochała i chciała poślubić! Jeszcze jedno ją wyklucza: dlaczego milczała widząc, jak Iris wrzuca paczkę z cyjankiem pod stół?

- Może wcale tego nie widziała? - podsunął dość niepewnie Anthony.

- Jestem pewien, że widziała - stwierdził Race, - Kiedy ją pytałem, odniosłem wrażenie, że zatrzymała coś dla siebie. Sama Iris przypuszcza, że Ruth ją zauważyła.

- No, dalej, pułkowniku - odezwał się Kemp. - Powiedz, kogo sam typujesz. Bo masz kogoś na oku, prawda?

Race skinął głową.

- Więc załatwmy to. Jak uczciwie, to do końca. Poznałeś naszych kandydatów i miałeś obiekcje.

Race przeniósł zamyślony wzrok z twarzy Kempa na Anthony'ego i na nim się zatrzymał.

·«;\*. Anthony podniósł brwi.

t4s: - Nie mów, że nadal uznajesz mnie za łajdaka.

Race powoli potrząsnął głową. Ł,~, - Nie znajduję żadnego powodu, dla którego miałbyś zabić Bartona. Myślę, że wiem, kto zabił i jego...

i Rosemary Barton.

- Kto?

Race powiedział z zadumą:

- Ciekawe, że wszyscy wybraliśmy kobiety. Ja też podejrzewam kobietę - urwał i po chwili zakończył cicho:

- Myślę, że winna jest Iris Marie.

Anthony odsunął ze zgrzytem krzesło. Na chwilę jego twarz oblała się czerwienią. Potem z wysiłkiem odzyskał samokontrolę. Kiedy przemówił, jego głos drżał lekko, lecz Anthony świadomie mówił jak zawsze lekko i żartobliwie.

- Bezwzględnie musimy przedyskutować tę możliwość. Dlaczego Iris Marie? A jeśli ona, dlaczego dobrowolnie powiedziała mi o wyrzuceniu pod stół paczuszki z cyjankiem?

- Ponieważ wiedziała, że Ruth Lessing to zauważyła - odparł Race.

Anthony zastanowił się nad tym, przechylając lekko głowę. Wreszcie przytaknął.

- Przyjmuję - stwierdził. - Idźmy dalej. Dlaczego w ogóle ją podejrzewasz?

- Motyw - wyjaśnił Race. - Rosemary otrzymała olbrzymi majątek, w którym Iris nie miała udziału. Mogła przez lata walczyć z poczuciem niesprawiedliwości. Wiedziała, że jeśli Rosemary umrze bezdzietnie, wszystkie pieniądze przechodzą na nią. A Rosemary była przygnębiona, nieszczęśliwa, osłabiona po grypie - w nastroju, w którym orzeczenie o samobójstwie przyjęto by bez pytań.

- Tak, zrób z dziewczyny potwora! - rzucił Anthony.

- Nie potwora - powiedział Race. - Podejrzewałem ją jeszcze z jednego powodu - słabo kojarzącego się z tą sprawą, jak może ci się wydać. Mówię o Yictorze Drake'u.

- Co ma z tym wspólnego Yictor Drake? - Anthony spojrział na niego ze zdumieniem.

- Zła krew. Widzisz, nie słuchałem Lucilli Drake bez powodu. Wiem wszystko o rodzinie Marle'ów. Yictor Drake - człowiek nie słaby, lecz zdecydowanie zły. Jego matka - niezbyt rozumna i niezdolna do koncentracji. Hector Marie - słaby, zdeprawowany, pijak. Rosemary - niezrównoważona emocjonalnie. Rodzinna historia słabości, podłości i niezrównoważenia. Chodzi mi o predyspozycje.

Anthony zapalił papierosa. Jego ręka drżała.

- Nie sądzisz, że w słabym czy nawet złym stadzie może zjawić się jedno zdrowe jagnię?

- Możliwe. Ale nie jestem pewien, czy jest nim Iris Marie.

- A moje słowo się nie liczy - powiedział wolno Anthony - ponieważ ją kocham. George pokazał jej listy, a ona wystraszyła się i zabiła go? Tak to miałyby być, prawda?

- Tak, W jej przypadku panika jest możliwa.

- A jak wrzuciła truciznę do kieliszka George'a?

- Tego, przyznaję, nie wiem.

- Cieszę się, że jest coś, czego nie wiesz - Anthony kiwał się na krześle. Jego oczy były złe i groźne. - Masz odwagę, żeby to wszystko mi mówić.

Race odparł cicho:

- Wiem. Ale uznałem, że trzeba to powiedzieć. Kemp obserwował ich obu z zaciekawieniem, ale nie

odzywał się. Z roztargnieniem mieszał swoją herbatę.

‘-'^- - Bardzo dobrze - Anthony usiadł prosto. - Sytuacja się zmieniła. Nie chodzi już o siedzenie przy stoliku, picie odrażających płynów i wygłaszanie akademickich teorii. Tę sprawę trzeba rozwiązać. Musimy pokonać wszelkie trudności i dotrzeć do prawdy. To będzie moje zadanie i jakoś je wykonam. Muszę sprawdzić wszystkie punkty, których nie znamy - bo jeśli je poznamy, cała sprawa będzie jasna. Jeszcze raz ustalmy problem. Kto wiedział, że Rosemary została zamordowana? Kto napisał o tym do George'a? Dlaczego? Teraz same morderstwa. Zapomnijmy o pierwszym. Zdarzyło się zbyt dawno

nie wiemy dokładnie, co się stało. Lecz drugie popełniono na moich oczach. Widziałem je. Dlatego powinienem wiedzieć, jak. Idealną chwilą, by wsypać truciznę do kieliszka George'a, były występy kabaretu. Lecz wtedy niczego nie wsypano, bo pił szampana zaraz po przedstawieniu. Widziałem to. A potem nikt nie mógł wsypać mu niczego do kieliszka. Nikt go nie dotykał, tym niemniej, kiedy znowu się napił, kieliszek był pełen cyjanku. Nie mógł zostać otruty - a jednak został! W jego kieliszku znalazł się cyjanek, lecz nikt nie mógł go tam wsypać! Czy posuwamy się naprzód?

- Nie - stwierdził nadinspektor Kemp.

- Tak - powiedział Anthony. - Doszliśmy do magicznej sztuczki. Albo chodzi o duchy. Wyłożę wam teraz moją teorię o duchach. Kiedy tańczyliśmy, duch Rosemary zjawia się nad kieliszkiem George'a i wsypuje doń trochę sprytnie zmaterializowanego cyjanku - przecież każdy duch potrafi stworzyć cyjanek z ektoplazmy. George wraca, pije jej zdrowie i... na Boga!

Obaj mężczyźni popatrzyli na niego z zaciekawieniem. Obejmował głowę dłońmi. Kołysał się do przodu i do tyłu, jakby torturowany myślami. Powtarzał:

- To jest to... to jest to... torebka... kelner....

- Kelner? - Kemp stał się czujny. Anthony potrząsnął głową.

- Nie, nie. Nie chodzi mi o to, o czym myślisz. Kiedyś uważałem, że potrzebny nam kelner, który nie jest kelnerem, lecz magikiem, kelner zatrudniony dzień wcześniej. Zamiast tego mamy

kelnera, który pracował w restauracji od zawsze małego pomocnika pochodzącego z królewskiego rodu kelnerów, cherubinka poza wszelkimi podejrzeniami. I nadal jest poza podejrzeniami, ale odegrał swoją rolę. Tak, na Boga, odegrał swoją rolę jak prawdziwa gwiazda.

Patrzyli na niego zdumieni.

- Nie rozumiecie? Jakiś kelner mógł wsypać truciznę do szampana, ale ten kelner tego nie zrobił. Nikt nie dotykał kieliszka George'a, ale George został otruty. Jakiś - zaimek nieokreślony. Ten - zaimek określony. Kieliszek George'a! George! Dwie odrębne rzeczy. I pieniądze - mnóstwo pieniędzy! A kto wie, może i miłość? Nie patrzcie na mnie, jakbym oszalał. Chodźcie, pokaże wam.

Odsuwając gwałtownie krzesło poderwał się z miejsca i chwycił Kempa za ramię.

- Chodźcie ze mną.

Kemp rzucił żalosne spojrzenie na w połowie pełną filiżankę.

- Muszę zapłacić - wymruczał.

- Nie, nie, za chwilę wrócimy. Chodźcie. Muszę wyprowadzić was na zewnątrz. Chodźcie, Race.

Odsuwając stół, zabrał ich do westybulu.

- Widzicie aparat telefoniczny?

- Tak?

Anthony przetrząsnął kieszenie.

- Cholera, nie mam dwupensówki. Nic nie szkodzi. Po namyśle wolałbym nie załatwiać tego w ten sposób. Wracamy.

Wrócili do kawiarni, najpierw Kemp, za nim Race i Anthony trzymający mu dłoń na ramieniu.

Kemp marszcząc brwi usiadł na krześle i wziął swoją fajkę. Wydmuchał ją starannie i zaczął w niej dłubać szpilką do włosów, wyciągniętą z kieszeni kamizelki.

Race ze zmarszczonym czołem i zdziwieniem w oczach patrzył na Anthony'ego. Odchylił się na oparcie krzesła, podniósł swoją filiżankę i osuszył ją do dna.

- Niech to szlag! - wykrzyknął gwałtownie, -W środku jest cukier!

Popatrzył ponad stołem na twarz Anthony'ego, rozjaśniającą się w coraz szerszym uśmiechu.

- Hej - rzucił Kemp, kiedy napił się ze stojącej przed nim filiżanki. - A co to u diabła jest?

- Kawa - wyjaśnił Anthony. - I raczej nie będzie ci smakować. Mnie nie smakowała.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Anthony z przyjemnością obserwował, jak w oczach jego towarzyszy pojawia się nagle zrozumienie.

Jego satysfakcja trwała krótko, gdyż kolejna myśl uderzyła go niemal jak fizyczny cios.

Wykrzyknął głośno:

- Mój Boże! Ten samochód! Skoczył na równe nogi.

- Ależ ze mnie głupiec! Idiota! Powiedziała mi, że jakiś wóz omal jej nie przejechał, a ja ledwie słuchałem. Chodźcie, szybko! fo/s^tm.

Kemp powiedział:

- Wychodząc z Yardu powiedziała, że idzie prosto do domu.

- Tak. Dlaczego nie poszedłem razem z nią?

- Kto jest w domu? - spytał Race.

- Była tam Rum Lessing, czekała na panią Drake. Możliwe, że nadal omawiają urządzenie pogrzebu.

- Oraz wszystko inne, jeśli znam panią Drake -dodał Race. Zapytał gwałtownie: - Czy Iris Marie ma jeszcze jakichś krewnych?

- Nic o tym nie wiem.

- Rozumiem, w jaką stronę zmiierzają twoje myśli. Ale czy to jest fizycznie możliwe?

- Tak sędzę. Sam rozważ, jak wiele uznaliśmy za pewnik, opierając się wyłącznie na zdaniu jednej osoby.

Kemp zapłacił rachunek. Wyszli pośpiesznie. Nadin-spektor zapytał:

- Czy uważasz, że niebezpieczeństwo jest duże? Dla panny Marie?

- Tak.



Anthony, klnąc pod nosem, zatrzymał taksówkę. Wsiedli i polecili kierowcy jechać na Ewaston Square i to tak szybko, jak to tylko możliwe.

Kemp powiedział powoli:

rf: - Na razie mam tylko ogólne pojęcie o sprawie. To wyklucza Farradayów?

- Tak.

^- - Dzięki Bogu za to. Ale na pewno nie będzie kolejnej próby morderstwa... tak szybko?

- Im szybciej, tym lepiej - zauważył Race. - Zanim morderca się zorientuje, że wpadliśmy na właściwy trop. Szczęście po raz trzeci - tak będzie rozumował.

Po chwili dodał:

- Iris Marie powiedziała mi w obecności pani Drake, że wyjdzie za ciebie tak szybko, jak będziesz chciał.

Mówili gwałtownie rzucając słowa, gdyż taksówkarz wziął ich polecenie dosłownie: ścinał zakręty i wyprzedzał inne samochody z ogromnym entuzjazmem.

Ścinając ostatni zakręt, wjechał na plac i z piskiem opon zatrzymał się przed budynkiem.

Dom przy Elvaston Square nigdy nie wyglądał spokojniej.

Anthony, z wysiłkiem odzyskując swoje zwykle opanowanie, wymamrotał:

- Zupełnie jak w kinie. Zaczynam czuć się jak idiota.

Ale był już na górnym stopniu i dzwonił do drzwi, kiedy Race płacił za taksówkę i razem z Kempem zaczął wchodzić po schodach.

Drzwi otworzyła pokojówka.:- Anthony spytał ostro: s\* - Czy panna Iris już wróciła?

Evans wyglądała na lekko zaskoczoną.

- Och, tak, proszę pana. Jakies pół godziny temu.

Anthony odetchnął z ulgą. Wszystko wokół wydawało się tak spokojne i zwyczajne, że zawstydził się swoich melodramatycznych obaw.

- Gdzie jest?

- Chyba w salonie, razem z panią Drake. Anthony skinął głową i pobiegł lekko schodami na górę. Race i Kemp szli tuż za nim.

W salonie, spokojnym w półmroku elektrycznego oświetlenia, Lucilla Drake z nadzieją przetrząsała szufladki biurka, pochłonięta swym zajęciem niczym szukający kości terier, i mruzczała ledwie słyszalnie:

- O mój Boże, no gdzie ja położyłam list od pani Marsham? Niech no sprawdzę...
- Gdzie Iris? - rzucił gwałtownie Anthony. Lucilla odwróciła się i wlepiła w niego wzrok.
- Iris? Ona... Bardzo pana przepraszam - wyprostowała się. - Czy mogę zapytać, kim pan jest?

Race wysunął się do przodu i twarz Lucilli rozjaśniła się. Nie dostrzegła jeszcze nadinspektora Kempa, który jako ostatni wszedł do pokoju.

- Ach, mój Boże, pułkownik Race! Jak miło, że pan przyszedł! Szkoda, że nie zjawił się pan trochę wcześniej, chciałam poradzić się pana w sprawie pogrzebu. Męskie zdanie jest bardzo cenne, a ja byłam tak zdenerwowana, jak powiedziałam panie Lessing, że nie mogłam myśleć. Muszę przyznać, że tym razem panna Lessing okazała się bardzo sympatyczna i zaproponowała, że zrobi wszystko, co może, by mnie odciążyć. Tylko że, jak rozsądnie zauważyła, ja wiem najlepiej, jakie hymny George lubił najbardziej. Nie, żeby wiedziała to naprawdę, gdyż obawiam się, że George niezbyt często chodził do kościoła, ale oczywiście, jako żona duchownego... to znaczy wdowa po nim wiem, co jest odpowiednie...

Race wykorzystał chwilową pauzę, by zapytać:

-\*· - Gdzie jest panna Marie? -

^ - Iris? Wróciła jakiś czas temu. Powiedziała, że boli ją głowa i idzie prosto do swojego pokoju. Coś mi się wydaje, że dzisiejsze dziewczęta nie mają dość sił. Nie jedzą szpinaku. Chyba nie chce rozmawiać o pogrzebie, ale przecież ktoś musi się tym zająć. Chce mieć poczucie, że wszystko zrobiono jak najlepiej i zmarłemu okazano należny szacunek... Chociaż sama nie uważałam nigdy, że te współczesne karawany są najbardziej dostojne. To jednak nic to, co konie z długimi, czarnymi ogonami. No, ale oczywiście powiedziałam od razu, że niech tak będzie i Ruth (mówię do niej Rulh, a nie panno Lessing) i ja radziłyśmy sobie świetnie, tak więc nawet dobrze, że Iris wszystko nam zostawiła. Kemp zaytał:

- Panna Lessing już wyszła?

- Tak, ustaliłyśmy wszystko i wyszła jakieś dziesięć minut temu. Zabrała ze sobą ogłoszenia do gazet. Żadnych okolicznościowych kwiatów, a mszę odprawi kanonik Westbury...

Paplanina ciągnęła się dalej. Anlhony po cichu wysunął się z pokoju. Wyszedł, zanim Lucilla, przerywając raptownie swoją opowieść, wykrzyknęła:

- Kim by] ten młody człowiek, który przyszedł z panami? Najpierw nie zdawałam sobie sprawy, że to wy go przyprowadziliście. Myślałam, że to jeden z tych okropnych reporterów. Mieliśmy z nimi tyle kłopotów. &· Anlhony wbiegał lekko po schodach. Usłyszał za sobą czyjeś kroki, odwrócił się i uśmiechnął szeroko do nadinspektora Kempa.

- Też pan wyszedł? Biedny stary Race! A- Kemp wymamrotał:

- Potrafi załatwiać takie sprawy. Ja nie cieszę się popularnością w tym zakresie.

Znaleźli się na drugim piętrze i właśnie zamierzali wejść na trzecie, kiedy Anthony usłyszał, jak ktoś cicho schodzi na dół. Zaciągnął Kempa za uchylone drzwi łazienki.

Kroki ucichły na parterze.

Anthony wyszedł na schody i pobiegł na górę. Wiedział, że sypialnia Iris mieści się w małym pokoju na tyłach. Zastukał delikatnie do drzwi.

- Hej, Iris!

Odpowiedź nie padła, więc zastukał i zawołał ją jeszcze raz. Spróbował poruszyć klamką, ale drzwi były zamknięte.

Z niepokojem uderzył w nie pięścią.

- Iris... Iris!

Po dwóch sekundach odsunął się i spojrzał na podłogę. Stał na jednym z tych wełnianych, staromodnych chodników, które kładziono pod drzwiami, by uniknąć przeciągów. Ten przysunięto tuż pod drzwi. Anthony odrzucił go kopnięciem. Szpara między drzwiami a podłogą była dość szeroka - pomyślał, że wycięto ją kiedyś, by wszedł pod nią dywan przykrywający poplamione deski.

Nachylił się do dziurki od klucza, ale nie zobaczył niczego. Nagle podniósł głowę i pociągnął nosem. Potem położył się na podłodze i przysunął twarz do szpary pod drzwiami.

Skoczył na nogi i krzyknął:

- Kemp!

Nie było ani śladu nadinspektora. Anthony zawołał ponownie.

Po schodach wbiegł pułkownik Race. Anthony nie pozwolił mu się odezwać. Powiedział:

- To gaz... wydostaje się stamtąd. Musimy wyłaniać drzwi.

Race był mężczyzn<sup>^</sup> potężnej postury. Szybko rozprawili się z przeszkodą. Zamek odskoczył z trzaskiem, sypiąc wokół drzazgami.

Odsunęli się na chwilę i Race powiedział:

- Jest przy kominku. Wbiegnę do środka i stłukę okno. Wyniesiesz ją.

Iris Marie leżała przy gazowym piecyku, z twarzą tuż przy palniku.

W dwie minuty później, krztusząc się i charcząc, Anthony i Race położyli nieprzytomną dziewczynę na podeście, w przeciągu spowodowanym przez stłuczone okno.

Race odezwał się:

- Zajmę się nią. Sprowadź szybko lekarza. Anthony popędził na dół. Race krzyknął za nim:

- Nie martw się. Wyzdrowieje. Dotarliśmy na czas. W holu Anthony złapał za telefon, wykręcił numer

i zaczął mówić do słuchawki. Z tyłu dobiegały okrzyki Lucilli Drake.

Wreszcie odwrócił się i rzucił z ulgą:

- Złapałem go. Mieszka po drugiej stronie placu. Będzie za parę minut.

- ...ale ja muszę wiedzieć, co się stało. Czy Iris jest chora?

Tak brzmiał ostatni jęk Lucilli. Anthony powiedział:

- Była w swoim pokoju. Drzwi zamknięto na klucz. Głowę trzymała w piecyku, odkręconym na cały regulator.

- Iris? - pani Drake krzyknęła przenikliwie. - Iris popełniła samobójstwo? Nie wierzę. Nie wierzę w to!

Na usta Anthony'ego powrócił cień jego dawnego uśmiechu:

- Nie musi pani - powiedział. - To nieprawda.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

- Czy teraz, Tony, możesz mi wszystko opowiedzieć? Iris leżała na sofie, a listopadowe słońce rzucało

błyski przez okna „Little Priors”,

Anthony spojrzał na pułkownika Race'a, który siedział na parapecie, i uśmiechnął się promiennie:

- Przyznam się otwarcie, Iris, że czekałem na te chwile. Jeśli zaraz nie opowiem komuś, jaki byłem mądry, to chyba eksploduje. W tym sprawozdaniu nie będzie skromności. Tylko bezwstydną przechwałki przerywane pauzami, abyś mogła wtrącić: „Jak sprytnie z twojej strony, Anthony” lub „Cudownie, Tony”, bądź coś podobnego. Ehm! Przedstawienie czas zacząć. Do dzieła.

Całość wyglądała dość prosto. To znaczy, jak zwyczajny przypadek przyczyny i skutku. Śmierć Rosemary, uznana w swoim czasie za samobójstwo, nie była samobójstwem. George nabrał podejrzeń, zaczął śledztwo, prawdopodobnie zbliżał się do prawdy i zanim mógł zdemaskować mordercę, sam został zabity. Kolejność zdarzeń, jeśli mogę powiedzieć, wydaje się całkiem jasna.

Lecz niemal od pierwszej chwili natrafiamy na pewne sprzeczności. Takie jak: A. George nie mógł zostać otruty. B. George został otruty. Oraz: A. Nikt nie dotykał kieliszka George’a. B. Ktoś go dotykał.

W rzeczywistości przegapiłem bardzo znaczący fakt: różnorodne użycie zaimka dzierżawczego. Ucho George’a jest bezdyskusyjnie jego uchem, gdyż jest przymocowane do jego głowy i nie można go oddzielić bez operacji chirurgicznej! Lecz mówiąc „zegarek George’a” mam na myśli jedynie zegarek, który George ma na

ręku. Może powstaje pytanie, czy należy do niego, czy też ktoś mu go pożyczył. A kiedy wspominam o kieliszku George’a lub jego filiżance, muszę zdać sobie sprawę, że mówię o czymś bardzo niejasnym. Mam na myśli jedynie kieliszek czy filiżankę, z których George pił przed chwilą - i których nie można odróżnić od innych filiżanek i kieliszków o tym samym wzorze. fe By to zilustrować, zrobiłem eksperyment. Race pił herbatę bez cukru, Kemp z cukrem, a ja piłem kawę. Na oko te trzy płyny miały ten sam kolor. Siedzieliśmy wokół stolika z marmurowym blatem, pośród takich samych stolików. Pod pretekstem nagłego pomysłu zmusiłem pozostałych, by opuścili swoje miejsca i przeszli za mną do westybulu. Kiedy wstawaliśmy, odepchnąłem krzesła i zdołałem przesunąć fajkę Kempa, leżącą przy jego nakryciu, na miejsce obok mojej filiżanki. Nie zauważył tego. Jak tylko byliśmy na zewnątrz, znalazłem jakąś wymówkę i wróciliśmy, przy czym Kemp siedział z przodu. Przysunął krzesło do stołu i usiadł naprzeciw nakrycia z fajką. Race usiadł jak przedtem po jego prawej, a ja po lewej. Lecz zauważcie, co się stało: nowa sprzeczność! Pierwotnie filiżanka Kempa zawierała herbatę z cukrem. A teraz w jego filiżance była kawa. Dwa sprzeczne twierdzenia, które nie mogą być prawdą - ale są. Określeniem wprowadzającym w błąd jest „filiżanka Kempa”. Filiżanka, kiedy odchodził od stolika, i filiżanka, kiedy wrócił, nie są jedną i tą samą filiżanką. To właśnie, droga Iris, stało się tamtej nocy w „Lu-xembourgu”. Po kabarecie, kiedy poszliście tańczyć, upuściłaś swoją torebkę. Podniósł ją kelner - nie ten, który obsługiwał stół i wiedział, gdzie siedziałaś - lecz inny. Przestraszony, zabiegany kelner, którym każdy pomiatał, pędził akurat z sosjerką, nachylił się w pośpiechu, podniósł torebkę i położył przy nakryciu. W rzeczywistości

przesunął ją o jedno miejsce na lewo od twojego krzesła. Razem z George’em wróciliście jako pierwsi i bez zastanowienia poszłaś prosto na miejsce z twoją torebką - tak jak Kemp na miejsce ze swoją fajką. George usiadł, jak sądził, na swoim krześle, po twojej prawej. A kiedy wznosił toast za pamięć Rosemary, wypił z, jak myślał, swojego kieliszka, lecz nie był to naprawdę jego kieliszek, lecz twój - w który można było wsypać truciznę z łatwością i bez magicznych sztuczek, gdyż jedyną osobą, która nie piła szampana po kabarecie, była oczywiście osoba, której zdrowie pito!

Jeśli prześledzimy wszystko jeszcze raz, cała sprawa kompletnie się zmienia! To ty miałaś być ofiarą, nie George! Wygląda na to, że zginął przypadkiem. Gdyby sprawy potoczyły się zgodnie z planem, jak brzmiałaby przedstawiona światu historyjka? Powtórka przyjęcia sprzed roku i powtórka... samobójstwa! Wszyscy stwierdziliby, że najwyraźniej rodzina ma skłonności samobójcze! W twojej torebce znaleziono by kopertę z resztką cyjanku. Sprawa oczywista! Biedna dziewczyna rozmyślała o śmierci siostry. Smutne, ale bogate dziewczęta z reguły są neurotyczkami.

Iris przerwała mu, krzycząc:

- Lecz dlaczego ktokolwiek miałby zabijać mnie? Dlaczego? Dlaczego?

- Wszystko przez śliczne pieniądze, aniele. Pieniądze, pieniądze i jeszcze'raz pieniądze! Po śmierci Rosemary ty odziedziczyłaś majątek. Przypuśćmy, że umrzesz, zanim wyjdiesz za mąż. Co stałoby się z majątkiem? Przeszedłby na twojego najbliższego krewnego, czyli twoją ciotkę Lucillę Drake. Biorąc pod uwagę charakter drogiej pani Drake, nie wyobrażam jej sobie jako morderczyni. Ale może ktoś jeszcze odniósłby korzyść? Tak, rzeczywiście. Yictor Drake. Gdyby pieniądze miała Lu-

cilla, byłoby to tak samo, jakby miał je Yictor - już on by tego dopilnował! Zawsze potrafił zrobić z matką wszystko, co chciał. I całkiem łatwo wyobrazić go sobie jako mordercę. Od samego początku natrafialiśmy na wzmianki o Yictorze. Ta ciemna, niematerialna, złowroga postać miała być na pełnym morzu.

- Ależ Yictor naprawdę był w Argentynie! Siedzi w Ameryce Południowej od ponad roku.

- Naprawdę? Dochodzimy do tego, co nazywa się podstawowym wątkiem każdej fabuły. „Dziewczyna spotyka chłopca”. Kiedy Yictor spotkał Ruth Lessing, zaczęła się nasza historia. Zdobył ją. Myślę, że mocno się w nim zakochała. Te ciche, zrównoważone, posłuszne prawu dziewczęta często zakochują się w najgorszych typach.

Zastanówcie się chwilę, a odkryjecie, że wszystkie dowody o bytności Yictora w Ameryce Południowej opierały się na słowach Ruth. Nie zostały sprawdzone, gdyż nigdy nie uważaliśmy tego?, a istotne. Ruth powiedziała, że widziała Yictora wyruszającego na S.S. „Cristobal” przed śmiercią Rosemary. To Ruth zaproponowała, by w dzień śmierci George’a zadzwonić do Buenos Aires, a potem wyrzuciła z pracy telefonistkę, która mogła mimowolnie wygadać się, iż panna Lessing wcale nie dzwoniła.

Oczywiście łatwo to teraz sprawdzić! Yictor Drake przybył do Buenos Aires statkiem, który wypłynął z Anglii dzień po śmierci Rosemary. Ogilvie w Buenos Aires nie rozmawiał telefonicznie z Ruth w dzień śmierci George’a. Yictor wyjechał z Buenos Aires do Nowego Jorku parę tygodni temu. Łatwo mógł zaaranżować wysłanie w określonym terminie telegramu w jego imieniu. Był to jeden z tych dobrze znanych telegramów z prośbą o pieniądze, który zdawał się dowodzić, że Yictor przebywa o tysiące mil stąd. Tymczasem...

- Tak, Anthony?

- Tymczasem - powtórzył Anthony, z ogromną przyjemnością zmierzając do kluczowego punktu - siedział w „Luxembourgu” przy stoliku obok nas, z wcale nie tak głupią blondynką!

- Przecież nie był tym okropnie wyglądającym facetem?

- Żółtą, krostowatą cerę i przekrwione oczy łatwo podrobić, a bardzo zmieniają one wygląd. Właściwie z wszystkich gości ja byłem jedyną osobą (poza Ruth Lessing), która kiedykolwiek widziała Yictra Drake’a, a ja nigdy nie znałem go pod tym nazwiskiem! W dodatku siedziałem plecami do niego. Kiedy byliśmy w barze, pomyślałem, że rozpoznaje człowieka, którego znałem z więzienia. Nazywał się Monkey Coleman. Lecz ponieważ prowadziłem już szacowne życie, niezbyt paliłem się do tego, by mnie zobaczył. Ani przez chwilę nie podejrzewałem, że Monkey Coleman miał coś wspólnego z morderstwem, a jeszcze mniej - że on i Yictor Drake są tą samą osobą.

- Ale nie rozumiem, jak to zrobił? Opowiadanie podjął pułkownik Race.

- W najprostszym w świecie sposób. W czasie kabaretu poszedł zadzwonić, mijając nasz stół. Drake był niegdyś aktorem i, co jeszcze ważniejsze - kelnerem. Nałożyć makijaż i odegrać rolę Pedra Moralesa było dziecinną zabawą dla aktora, lecz przejść spokojnie wokół stołu zwinnym krokiem kelnera, napełnić kieliszki szmapanem - wymagało wiedzy i umiejętności człowieka, który kiedyś był prawdziwym kelnerem. Niezgrabny ruch przyciągnąłby waszą uwagę, lecz skoro zachował się jak kelner bona fide, nikt z was go nie zauważył. Patrzyliście na kabaret, nie dostrzegając części restauracyjnego wyposażenia, czyli kelnera!

„j Iris zapytała z wahaniem w głosie:

- A Ruth? Anthony powiedział:

- To oczywiście Ruth włożyła cyjanek do iwojej torebki, prawdopodobnie w szatni, na początku wieczoru. Tak samo postąpiła rok temu z Rosemary.

- Zawsze sądziłam, że to dziwne, iż George nie wspomniał Ruth o listach - zauważyła Iris. - Radził się jej we wszystkim.

Anthony roześmiał się krótko.

- Oczywiście, że jej powiedział, i to od razu. Wiedziała, że to robi. Dlatego je napisała. Potem zaaranżowała cały jego „plan”, najpierw dobrze go opracowawszy. Miała scenografię zbrodni, świetnie pasującą do samobójstwa numer dwa. A gdyby George uwierzył, że to ty zabiłaś Rosemary i popełniłaś samobójstwo z żalu lub paniki - no cóż, Ruth nie sprawiłoby to najmniejszej różnicy!

- I pomyśleć, że ją lubiłam, bardzo lubiłam! Nawet chciałam, by wyszła za George’a.

- Prawdopodobnie byłaby dobrą żoną, gdyby nie spotkała Yictora Drake’a - powiedział Anthony. - Morał: każda morderczyni była niegdyś miłą dziewczynką.

Iris zadrzała.

- I wszystko to dla pieniędzy!

- Ty niewiniątko, właśnie dla pieniędzy popełnia się morderstwa. Yictor na pewno zrobił to dla pieniędzy. Ruth - częściowo dla pieniędzy, częściowo dla Yictora, a częściowo, jak sądzę, z nienawiści do Rosemary. Tak, odbyła długą drogę do czasu, gdy próbowała potrącić cię samochodem, i zaszła jeszcze dalej, kiedy zostawiła Lucillę w salonie, trzasnęła wejściowymi drzwiami i pobiegła na górę do twojej sypialni. Jak się zachowywała? Czy była w ogóle podniecona?

Iris zastanowiła się.

- Nie sądzę. Po prostu zastukała w drzwi, weszła i powiedziała, że wszystko zostało ustalone i ma nadzieję, że dobrze się czuję. Powiedziałam że tak, tylko że jestem trochę zmęczona. Potem wzięła moją dużą latarkę z ogumowaną rączką, stwierdziła, że to ładna latarka... a potem już nic nie pamiętam.

- Oczywiście, kochanie - rzucił Anthony. - Ponieważ zgrabnie i niezbyt mocno walnęła cię w kark swoją ładną latarką. Potem ułożyła cię artystycznie przy piecyku, zamknęła dokładnie okna, włączyła gaz, wyszła, zamykając drzwi i wsuwając pod nie kluz., przysunęła chodnik pod samą szparę, by powietrze nie wydostawało się za zewnątrz, i cichutko zbiegła po schodach. Kemp i ja w samą porę schowaliśmy się w łazience. Popędziłem do ciebie, a Kemp poszedł za nieświadomą tego panną Ruth Lessing do miejsca, gdzie zaparkowała samochód. Wiesz, pomyślałem, że było coś podejrzanego w tym, jak Ruth próbowała nas przekonać, że przyjechała metrem i autobusem.

Iris wzdrygnęła się.

- To okropne - pomyśleć, że ktoś był aż tak zdeterminowany, by mnie zabić. Czy tak bardzo mnie nienawidziła?

- Och, nic przypuszczam. Ale panna Lessing jest niezwykle kompetentną młodą kobietą. Brała już udział w dwóch morderstwach i nie chciała ryzykować własną głową dla niczego. Nie wątpię, że Lucilla Drake z miejsca powiadomiła ją o twojej decyzji wyjścia za mąż, a w takim razie Ruth nie miała czasu do stracenia. Gdybyś za mnie wyszła, to ja byłbym twoją najbliższą rodziną, a nie Lucilla.

- Biedna Lucilla. Tak bardzo mi jej żal.

- Chyba nam wszystkim. Taka z niej nieszkodliwa, życzliwa dusza.

- Czy aresztowaliście go?

Anthony spojrział na Race'a, a ten przytaknął.

- Dziś rano, kiedy przyплыł do Nowego Jorku.

- Czy zamierzał poślubić Ruth... później?



- Tak sądziła Ruth. Myślę, że i tego by dopięła.

- Anthony... chyba niezbyt lubię moje pieniądze.

- Dobrze, kochanie, przeznaczymy je na jakiś szlachetny cel, jeśli chcesz. Mam dość pieniędzy, by żyć, a także by zapewnić żonie niezbędną wygodę. Rozdamy wszystko, jeśli chcesz: na sierocińce dla dzieci, bezpłatny tytoń dla starców albo... może na kampanię lepszej kawy w całej Anglii?

- Trochę sobie zatrzymam - powiedziała Iris. - Żeby, jeśli będę kiedyś chciała, móc zachować się jak wielka dama i porzucić cię bez słowa.

- Nie sądzę, Iris, by był to odpowiedni nastrój jak na początek małżeńskiego pożycia. A przy okazji: ani razu nie powiedziałaś: „Jak wspaniale, Tony” albo „Jak mądrze z twojej strony, Anthony”!

Pułkownik Race uśmiechnął się i wstał z miejsca.

- Idę do Farradayów na herbatę - obwieścił. W jego oku pojawił się lekki błysk, kiedy zwrócił się do Anthony'ego:

- Ty chyba nie? Anthony potrząsnął przecząco głową i Race wyszedł

z pokoju. Zatrzymał się w drzwiach, by rzucić przez ramię:

- Dobre przedstawienie.

- T o - zaczął Anthony, kiedy z a pułkownikiem zamknęły się drzwi - oznacza najwyższą pochwałę z ust Brytyjczyka.

Iris spytała spokojnym tonem:

- Myślał, że ja to zrobiłam, prawda?

- Nie nastawiaj się przeciwko niemu - odparł Anthony. - Widzisz, znał tyle pięknych szpiegów w spód-

nicy, wykradających tajne formuły i wyciągających sekrety od generałów, że skwasiło to jego charakter i zniekształciło osąd. Po prostu myśli, że w każdej sprawie musi być piękna dziewczyna!

- Skąd wiedziałeś, że to nie ja, Tony?

- To pewnie miłość - odparł lekko Anthony.

A potem wyraz jego twarzy zmienił się, stał się nagle poważny. Dotknął małego flakonu obok Iris, w którym stała pojedyncza szarozielona gałązka z fioletowym kwiatem.

- Jakim cudem on kwitnie o tej porze roku?

- Zdarza się czasami, jeśli jesień jest łagodna. Anthony wyjął ją z dzbanka i na chwilę przytulił

do policzka. Przymknął oczy i ujrzał gęste, kasztanowe włosy, roześmiane niebieskie oczy i czerwone, namiętne wargi...

Rzucił lekkim, konwersacyjnym tonem:

- Już jej tu nie ma, prawda?

- O kim mówisz?

- Dobrze wiesz. O Rosomary... myślę, że wiedziała, że znalazłaś się w niebezpieczeństwie.

Dotknął delikatelnej gałązki wargami i wyrzucił ją swobodnym gestem za okno.

- Żegnaj, Rosemary, i dziękuję... Iris powiedziała miękko:

- To znaczy pamięć...

I jeszcze bardziej miękko:

- Niech miłość pamięta...